

PODGLĄD

Kwartalnik literacki Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

ISSN 2392-2753

Rok IV • Nr 1 (12)

2018

J. Andrzejczak	G. Łatuszyński
J.J. Arreola	J. Marciniak
Baśka eR.	D. Matuła
Z. Beszczyńska	P. Müldner-Nieckowski
K. Beśka	W. Oramus
J. Binkowski	J. Pankiewicz
T. Bołdak-	M. Pękała
-Janowska	M.K. Piekarska
K. Boruń-	J. Polkowski
-Jagodzińska	K. Rodowska
J. Brković	K.S. Schreyer
G. Carnero	J. Seipp
S. Csóóri	A. Sobol-
M. Cwietajewa	-Jurczykowski
A. Dagan	J. Sochoń
Z. Dmitroca	S. Sterna-
J. Durski	-Wachowiak
J.P. Grabowski	M. Strękowska-
W. Kaliszewski	-Zaremba
W. Karwowska	J. Strękowski
E. Kasjanowicz	K. Sutarski
G. Kołodziej	J.J. Szczepański
A. Kulik	J. Śleszyński
G. Kurylewicz	B. Świecimski
A. Liber	M. Tinsley
A. Lizakowski	P. Wojciechowski



Jan Józef Szczepański



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa

<http://sppwarszawa.pl>

**POD
GLĄD**

Kwartalnik literacki

ISSN 2392-2753
Rok IV Nr 1 (12) 2018

Adres Redakcji

<http://podglad.com.pl>
e-mail: redakcja@podglad.com.pl
00-079 Warszawa
ul. Krakowskie Przedmieście 87/89
tel. +48 22 826 31 78, +48 22 826 05 89
Konto: 06 1020 1156 0000 7602 0058 1520

Redaktor naczelna

Małgorzata Karolina Piekarska
Prezes OW SPP

Zastępca redaktora naczelnego

Piotr Müldner-Nieckowski

Sekretarz redakcji

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Kolegium

Krzysztof Beśka, Krzysztof Bielecki,
Michał Dąbrowski, Manula Kalicka
Małgorzata Strękowska-Zaremba,
Zbigniew Zbikowski

Korekta

Krzysztof Beśka,
Małgorzata Strękowska-Zaremba

Skład

Piotr Müldner-Nieckowski

Wydawca

Zarząd Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich
Druk Mazowieckie Centrum Poligrafii
05-270 Marki, ul. Duża 1, www.c-p.com.pl

Z ŻYCIA OW SPP

Małgorzata Karolina Piekarska

Nowa redakcja, czyli nowe... 3

Sergiusz Sterna-Wachowiak

Sceny z życia codziennego

artystów. Jan Józef Szczepański... 4

Piotr Wojciechowski

Gwiazda na klepsku... 9

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Tryptyk mikołajski.

Smutno i wesoło... 11

Walentya Karwowska

Wiersz o NIM... 14

Anna Liber

Przy blasku świec, Kraina Serce... 16

Marek Pękała

Pastorałka... 17

Krzysztof Saturnin Schreyer

Mikołaj Wspaniały... 18

Piotr Müldner-Nieckowski

XII Międzynarodowy Festiwal

Poezji w Nowym Sadzie... 20

Jan Strękowski

„Bibula” – a co to takiego?... 24

DLA DZIECI – MŁODZIEŻY

Zofia Beszczyńska

Bajka o jajkach... 27

Wiersze o stworzeniach... 30

Małgorzata Karolina Piekarska

Dzika... 33

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Marszałek Józef Piłsudski... 39

FELIETON

Piotr Wojciechowski

Kłoszard, prorok, cwaniura... 44

KRYTYKA

Jerzy Binkowski

„Polska moja miłość” Jana

Polkowskiego... 49

„Ślady krwi” Jana Polkowskiego... 52

„Dżokej” Gai Kołodziej... 55

Jan P. Grabowski

Opowieści ze słonecznego ogrodu

[Magdalena Tinsley]... 57

Wojciech Kaliszewski	
Widok na Montenegro	
[Grzegorz Łatuszyński].....	61
Grzegorz Łatuszyński	
Słowo jest wszystkim i wszystko	
w słowie [Jevrem Brković]	67
Dominika Matuła	
W poszukiwaniu tożsamości	
[Krzysztof Beśka]	71
Piotr Müldner-Nieckowski	
Dwa świetne przekłady [K. Boruń-	
-Jagodzińska, Z. Dmitroca, Avigdor	
Dagan, Maryna Cwietajewa]	73
Krystyna Rodowska	
Mój Wrocław poetycki	76
Konrad Sutarski	
Sándor Csoóri i jego polskie	
powiązania	85
POEZJA	
Janusz Andrzejczak	
Kurko..., A jeśli.....	91
Baśka eR.	
Babcia, * * *	93
Jerzy Binkowski	
Jesienne westchnienie	95
Eugeniusz Kasjanowicz	
* * *	97
Adam Kulik	
chwilo opadająca, kwitnące drzewa,	
hymn II, hymn VIII, hymn XXX	
rumianki dla Alkestis	98
Gabriela Kurylewicz	
Św. Roch i pies	100
Grzegorz Łatuszyński	
Gdyby cię kto pytał, Oby...,	
Olimpijski krążek	101
Piotr Müldner-Nieckowski	
Sędzia losuje, co się z tobą..., Szuflady	
piwnic, Miłość jest po to	106
Krystyna Rodowska	
Głośno i bez głosu	107
Krzysztof Saturnin Schreyer	
Miłość życia	108
Jerzy Seipp	
Kolejny poemat religijny... ..	109

Jerzy Śleszyński	
Parafraza, Dotykane drzewa	112
ks. Jan Sochoń	
Poezja, Matka Boska Czuła, Wszech-	
świat, Proch, W tym świecie,	
Wędrownica, Niebo, Drżenie ust ...	114
Bogdan Świecinski	
Kłopotliwe pytanie, Wydmuszka,	
Milczenie, ***, Tak blisko,	
Ucieczka, Jak taniec	119
Piotr Wojciechowski	
Dżems Bond	123

PROZA

Janusz Andrzejczak	
Zawsze w tobie wiosna	124
Krzysztof Beśka	
Przepustka do piekła	128
Tamara Bołdak-Janowska	
„Nielegalna zajęczka męczy	
Heideggera i innych filozofów” ...	132
Jacek Durski	
Z wujem.	139
Gaja Kołodziej	
Żłodzię stulecia	144
Adam Lizakowski	
Zapiski znad Zatoki San Francisco. .	146
Jerzy Marciniak	
Krokusy	154
Piotr Müldner-Nieckowski	
Bank Oszczędności	160
Wiesława Oramus	
Za czym?	162
Jacek Pankiewicz	
Zbuntuj się przeciw sobie!,	
Zgadnij, kiedy jesteś zdrajcą	165

PRZEKŁADY

Krystyna Rodowska	
Guillermo Carnero	172
Andrzej Sobol-Jurczykowski	
Juan José Arreola	180

Na okładce wykorzystano portret fotograficzny Jana Józefa Szczepańskiego wykonany przez Witolda Szuleckiego.

Małgorzata Karolina Piekarska

Nowa redakcja czyli nowe rozdanie

Niniejszy numer naszego kwartalnika powstał pod nową redakcją. W listopadzie 2017 roku odbyły się wybory do zarządu oddziału warszawskiego (p. „Podgląd” nr 4 (11) 2017, s. 4), a tym samym ukonstytuował się nowy zespół kwartalnika. Dziękując za pomoc przy redagowaniu jedenastu numerów Grzegorzowi Łatuszyńskiemu i Maciejowi Parowskiemu, witamy w „Podglądzie” nowych redaktorów, oprócz Piotra Müldner-Nieckowskiego, który czasopismo składa, i Małgorzaty Strękowskiej-Zaremby, która jest jego korektorką, oraz Katarzyny Boruń-Jagodzińskiej, sekretarza redakcji, do zespołu dołączyli redaktorzy: Krzysztof Beška, Krzysztof Bielecki, Michał Dąbrowski, Manula Kalicka i Zbigniew Zbikowski. Mamy wielką nadzieję, że dzięki nim praca nad „Podglądem” będzie przebiegała jeszcze sprawniej.

Tym razem przed czytelnikami numer cieńszy, ale nie brak w nim tekstów i dla dorosłych, i dla dzieci czy młodzieży. Nie brak wierszy, prozy, tekstów krytycznych i tłumaczeń. Jednym słowem jak zwykle oddajemy do rąk czytelników pismo, które uważamy za kwartalnik rodzinny, bo każdy znajdzie w nim coś dla siebie.

Jako członkowie Stowarzyszenia Pisarzy Polskich staramy się też pamiętać o naszych Ojcach Założycielach. Stąd wspomnienie o Janie Józefie Szczepańskim, którego rocznica śmierci przypada w tym roku. Wielu z nas nie może w to uwierzyć, bo zdjęcia w naszym archiwum wydają się mówić, że to, które jest na okładce, zrobione zostało... wczoraj. Tymczasem od śmierci naszego byłego prezesa mija właśnie 15 lat...

Wierzymy, że patrzy na nas z góry i podgląda „Podgląd”, a także nas wszystkich przy pracy, i życzy wszystkiego najlepszego w nowym 2018 roku.

Sergiusz Sterna-Wachowiak

Sceny z życia codziennego artystów

Jan Józef Szczepański

Straszne śniadanie u Jana Józefa Szczepańskiego



Sergiusz Sterna-Wachowiak czyta drukowane tu wspomnienia na poświęconym pamięci Jana Józefa Szczepańskiego wieczorze zorganizowanym przez Zarząd Główny SPP dn. 20 lutego 2018 r. w Domu Literatury w Warszawie

Szesnastego marca 1985 w opactwie benedyktynów w Tyńcu pod osłoną „Dni Skupienia” rozpoczyna się tajny zjazd delegatów polskiego podziemia literackiego, powstałego po rozwiązaniu w stanie wojennym Związku Literatów Polskich. Z Poznania do Krakowa udaje się z Ewą Najwer i Egonem Naganowskim nocnym pociągiem sypialnym, dalej pojedziemy samochodami tamtejszych kolegów. Sza-

rym świtem na dworcu w Krakowie wita nas Jan Józef Szczepański, ostatni prezes rozwiązanego ZLP, i przed wyjazdem do Tyńca zaprasza do siebie na Helclów 21. Jest już tam czwarty poznański delegat, Jerzy Korczak, który dojechał z Zakopanego, gdzie wypoczywa, dołączają pisarze z Warszawy, Gdańska, Wrocławia, Łodzi, Katowic, Szczecina, Lublina, Torunia, miejscowi – Kornel Filipowicz, Tadeusz Chrzanowski, Wiesław Paweł Szymański, Włodzimierz Maciąg, Kazimierz Traciewicz – dojadą bezpośrednio do opactwa. Posadzeni za dużym okrągłym stołem, mamy zjeść śniadanie.

O tak wczesnej porze, poza filiżanką kawy, nie jestem w stanie czegośkolwiek przełknąć.

Prezes Szczepański siada naprzeciwko, pyta Naganowskiego o podróż i o poznańskie nowiny, bawi się wygasał fajką i trochę mi się przygląda. Wszyscy żwawo jedzą, pani domu zastawiła stół półmiskami specjałów, ja popijam kawę i na nic więcej nie mam apetytu.

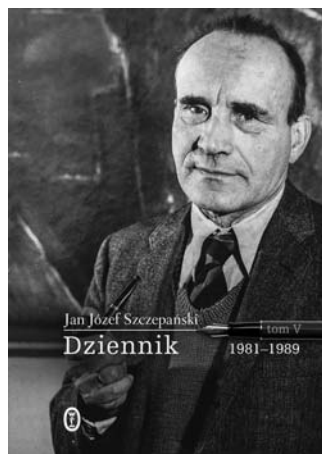
Po chwili Jan Józef przesuwa ku mnie półmisek twarogu ze szczypiorkiem. Uprzejmie dziękuję.

Po kilku minutach pan domu przysuwa ku mnie talerz gotowanych jaj i krótko potem parującą miskę jajecznicy na maśle, nie przestając rozmawiać. Przepraszam, ale dla mnie jest za wcześnie na śniadanie.

Po krępująco długiej pauzie gospodarz proponuje mi sery pleśniowe, żółte i bryndzę oraz pszenną bułkę. Grzecznie się uśmiecham, ale przecząco kręcę głową. Gwar rozmów cichnie, literaci, przyjezdni i miejscowi, obracają ku mnie zdumione oblicza i unoszą brwi.

Prezes wstaje, idzie do kuchni, wraca i bez słowa stawia przede mną słoik dżemu i drugi, z miodem. Naprawdę, przykro mi, chciałbym poprzestać na tej świetnej kawie.

Czuję w sobie narastający popłoch. Mam poczucie Gombrowiczowskiej pupy i Witkacowskiej dziwności istnienia w jednym, ale w ich niepodejrzanych, nieprzyjemnych wersjach.



Od lewej: Sergiusz Sterna-Wachowiak, były prezes SPP; Anna Nasiłowska, obecna prezes SPP; Piotr Matywiecki mówiący o Janie Józefie Szczepańskim, ostatnim prezesie dawnego ZLP i pierwszym prezesie SPP.

Po długiej jak wieczność chwili gospodarz wstaje i w milczeniu przenosi ku mnie salaterkę ryby w galarecie. Grzecznie odmawiam. Mam wypieki, pali mnie nieokreślona odmiana winy, czuję się osaczony. Wydaje mi się, że prezes na tym skończy, ale postanawiam, że jeśli nie – trudno, dla świętego spokoju, a raczej dla przywrócenia równowagi w Kosmosie przełknę to, co mi teraz proponuje.

W najgorszych myślach nie przyszłoby mi do głowy, że Jan Józef uda się do kuchni po pęto wiejskiej, tłustej, podwędzanej kiełbasy z Kasinki Małej w Beskidzie Wyspowym, gdzie ma góralski domek. Kładzie przede mną deskę z okazałym wieńcem grubej wędliny, żytnim chlebem i wielkim nożem. Czerwony jak burak, zbity z pantaląku, pamiętając o postanowieniu odkrawam porcję, zjadam kiełbasę i zagryzam razowcem. Dla świętego spokoju, a raczej dla przywrócenia równowagi w świecie.

– Tak przypuszczałem – oznajmia pan domu donośnie, a mnie pali wstyd i chcę zapaść się pod podłogę. Pisarz wraca za stół, podejmuje rozmowę z gośćmi, oddaje się nabijaniu fajki tytoniem i więcej nie zwraca na mnie uwagi.

Przed wyjazdem do Tyńca na „Dni Skupienia” z figlarnym błyskiem w oku zachęca mnie tylko do skorzystania z ubikacji. „W krzaczki korytarzem prosto i w prawo” – wskazuje cybuchem trzymanej w dłoni fajki. Idę tam, pokonany, z pokorą. Strach pomyśleć, co by to było, gdybym odmówił.

16 marca 1985

Alpinista encyklopedysta

Dwudziestego dziewiątego września 1993 w poznańskim Teatrze Nowym trwa wieczór Sceny Verbum, którego gościem jest Jan Józef Szczepański. W pierwszej części spotkania siedzę z pisarzem na widowni, a aktorzy Antonina Choroszy, Mariusz Puchalski i Waldemar Szczepaniak czytają fragmenty „Kadencji” i „Maleńkiej encyklopedii totalizmu”, przetykane wierszami Wojciecha Bąka z czasów stalinowskich, kiedy obłęd władzy i zniewolenie literatury sięgały zenitu.

Po zakończeniu czytań prowadzę niezłomnego opozycjonistę w czasach PRL-u, członka Zarządu polskiego PEN Clubu, prezesa honorowego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, człowieka radykalnie wolnego, pana już prawie siedemdziesięcioletniego, ku bocznym schodkom z widowni na scenę. Nagle, w połowie drogi, Szczepański – w garniturze, zapiętej na wszystkie guziki marynarce, białej koszuli i pod krawatem – jednym kocim rzutem ciała wskakuje na scenę, której wysokość sięga mu do klatki



Prezes SPP Anna Nasiłowska i były prezes SPP Piotr Wojciechowski w czasie dyskusji

piersiowej, staje na środku i rozgląda się za mną. Widownia zamiera w szoku, ja wchodzę po schodkach, zapraszam pisarza do zajęcia krzesła przy stoliku i jakby nigdy nic rozpoczynam rozmowę. Do końca półtoragodzinnej debaty nie mogę jednak zapomnieć jego akrobatyczno-komicznego wyczynu i czuję, że tłumnie przybyła publiczność, ułożeni, powściągliwi poznańczanie też nie mogą ochłonąć z wrażenia.

W finale zadaję Szczepańskiemu pytanie, które wiąże się z „Maleńką encyklopedią totalizmu”. Na to przede wszystkim, by zamknąć wieczór klamrą, wyprowadzić publiczność z oszołomienia, sprowadzić wszystko na ziemię, uczynić teatralnie sensownym, sprawić wrażenie, że wszystko było pod kontrolą i według scenariusza: – Zaczął pan jak alpinista, skończył jako encyklopedysta, widzimy w tym jedność czynów i osoby!

Na widowni daje się słyszeć westchnienie ulgi. Publiczność odpręża się, rozlegają się brawa.

29 września 1993

Pisarz, góral i lew

Przy kolacji po Scenie Verbum dwudziestego dziewiątego września 1993, której gościem jest Jan Józef Szczepański, zatytułowanej Śpiew ponad obłędem, czyli literatura wobec zniewolenia – wracają wątki mojego publicznego dialogu z pisarzem o wolności literatury, jej powinnościach oraz

odpowiedzialności i moralnych skutkach słów i czynów. Autor „Kadencji”, a przede wszystkim powieści „Polska jesień” czy tomu szkiców „Przed Nieznanym Trybunałem” – postanawia zdradzić mi swój niedościgły ideał pisarza:

Nocowałem kiedyś u górali w chacie z widokiem na Tatry. Wstałem wczesnym rankiem, wyszedłem na ganek i zobaczyłem, że na ławie siedzi stary góral. – A co tu tak, gazdo – spytałem – robicie? – A tak se siedzem psed chałpą i se patrzem na te nase góry, haj. Kieby lew!

29 września 1993

Post scriptum

Dwudziestego ósmego września 2013, w ramach obchodów dziesiątej rocznicy śmierci Szczepańskiego, w Kuncewiczówce, dawnym domu wujostwa pisarza w Kazimierzu Dolnym, odbywa się konferencja „Jan Józef Szczepański – życie i dzieło”. Opowiadam anegdotę o pisarzu, góralu i lwie. Córka autora „Portek Odyssa”, Katarzyna, po konsultacji z nieobecny na sympozjum synem pisarza, Michałem, przekazuje mi inną wersję anegdoty:

Krótko po drugiej wojnie światowej w Zakopanem lub Nowym Targu Jan Józef Szczepański przechodzi obok miejscowego aresztu i w zakratowanym okienku widzi Józka Krzeptowskiego, sławnego kuriera, który za swoją działalność wojenną został zesłany gdzieś na Syberię, uciekł stamtąd i wrócił na Podhale. W areszcie znalazł się pewnie po jakiejś burdzie czy bijatyce. Pisarz dziwi się, widząc znajomą twarz za kratkami, i pyta: – A cóż ty tu robisz, Józku? – A tak se siedzem i patrzem, haj. Kieby lew!

To jest wciąż przypowieść o pisarzu, góralu i lwie – myślę głośno – tyle że w wersji z wolnego świata i w wersji ze świata zniewolonego, gdy pisarzy i górali chętnie wsadzano za kratki. Znowu wracają wątki mojego publicznego dialogu ze Szczepańskim o wolności literatury, jej powinnościach, oraz o odpowiedzialności i moralnych skutkach słów i czynów. Nie zmienia się też jego niedościgły ideał pisarza.

5 października 2013

Sergiusz Sterna-Wachowiak

Boże Narodzenie 2017

hasło: **Święty Mikołaj**

W czasie spotkania opłatkowego czytaliśmy wiersze własne, tym razem wywoływane na hasło: „Święty Mikołaj”, ale jak to artyści, nie wszyscy się podporządkowali... W rozmowie poetyckiej brali udział także członkowie Stajni Literackiej, tj. uczestnicy Warszawskiej Szkoły Pisania SPP, w tym Walentyna Karwowska i Anna Liber, których utwory również drukujemy.

Piotr Wojciechowski

Gwiazda na klepisku

W Betlejemie za rogatką w dolinie
 Pobudował się chłop niebogaty
 Boga chwalił i pracował pilnie
 Ale dzieci ledwie odział w szmaty
 Ledwie gęby zatkał podłomykiem
 W ową noc, gdy przybyszom dał grootę
 Józefowi i pięknej Brzemiennej
 Spał jak kłoda, nic nie słyszał o tym
 Że się niebo otwarło i śpiewem
 Rozjarzyły się obłoki ciemne
 W ową noc, gdy w żłobie na sianie
 zapłakało dzieckiem Słowo Boże
 Nie zbudziło go juhasów granie
 Pod kożuchem chrapał w komorze
 Nalał rano chudej zupy miskę
 Posłał córkę z miską do stajni
 A sam chlipnął ledwie parę łyżek
 Bo do biedy byli tu zwyczajni
 Ledwie wyszedł za próg na klepisko
 Ledwie zaczął poranny obrządek
 Spod sandała jakiś promyk mu błysnął

A to gwiazda leżała pod snopkiem
 Ledwie podniósł zagadała światłem
 Masz ty człeczko od Boga łaskę
 Idźże teraz w kraje najdalsze
 Powiedz królom: nowina wesola
 Bóg do swego Syna was zawołał
 Powiedz mędrcom: gloria w niebiosach
 Zaprowadzi was gwiazda radosna
 Gwiazda znikła, chłop stał zadziwiony
 Gdzie to jechać, jak zacząć od pieca
 Nagle czuje – łeb ma rozjaśniony
 Nagle czuje – skrzydła ma na plecach
 Do swej ślubnej wrócił po godzinie
 Jeszcze trochę pijany od światła
 I usłyszał: jak są sprawy pilne
 To ty zawsze nie wiedzieć gdzie latasz.
 Tu pasterze ser przynieśli, dary sute
 Ja chleb piekę ciasta pełna dzieża
 Patrz za stołem już Józef z Jezusem
 A Maryja uczy dzieci pacierza



Orszak. Rys. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Tryptyk mikołajski. Smutno i wesoło

1. Pastorałka melancholijna

Do nas Mikołaj nie przyjdzie, bo jeszcze się nie urodził.
Pastuszek przysiadł na piętach. Piosenkę smętną zawodzi.
Patrzy czy ser im smakuje. Ten Pan wąs z mleka otarł.
Na polu beczą barany. Na polu mgła dziś i słota.

Ta Pani nie wybrzydza na nasze skromne dary.
Nad ogniem suszy pranie. Unosi się obłok pary.
Siedzimy, leżymy w chłodzie. Da się wytrzymać, jest siano.
Ciemno. Patrzymy w niebo, jak w przyszłość zawsze nieznaną.

Obok zwierzęta. Spokojne, choć pachną nie najpiękniej.
Jakby ktoś strzelał (na wiwat?), to się Dzieciątko złęknie,
I rozpierzchną się owce, a ptaki skrzydła połamią.
Zawali się dach i skała, porani piękną Panią.

Do nas Mikołaj nie przyjdzie. Nie znamy takiego pana.
Myśmy tu biegli po nocy, choć spać mogliśmy do rana.
Trąby nas jakieś zerwały i trzepot. Wstała gromada.
Jedna mizerna gwiazdeczka na daszku się blaskiem pokłada.

A ktoś z kagankiem i workiem do groty jednak się zbliża,
cień się od żłobu skrada. Wyciąga się w kształt krzyża.

2. Naciągnął kaptur na głowę nierozpoznany człowiek...

(*gawęda Dziadka M.*)

Pastorał, ornat, pectorał schowane są w skrzyni, a może wiszą w szafie.
Naciągam kaptur na głowę, dyskretniej nie potrafię.
Nie wciskam się kominem pocieszoną figurą i janczary u sań mi nie grają.
Nie rzucam się w oczy w krasnej kurteczce ani w złotej lamie, tylko tak bają.
Nie kłamię, w zakazane zaułki nie zapuszczam się w infule ani w tiarze,
W ornacie ani w kapie, z której złoto aż kapie, się nie pokażę.
Kaptur na głowę i zamiast pastorału solidna antypka,
trzewiki cichostępy nie srebrem haftowane,
w pewnych dzielnicach spotkać możecie podobnego typka.
Wieczór, we dnie, w nocy, nad ranem, ja bywam tam wielkim panem.

Bez obstawy kusej i skrzydlatej włóczę się światem.
Tam pies parszywy się łąsi, kawał chleba mu rzuce,
tu nawet kot łapczywie zajada, choć buła sucha,
nie tylko wróbel zbiera mizerne okruchy.
Stałem pod oknem przy murze, słucham.
Patrzę, a tu dziewczuchy,
biedne, załamują ręce, siąkają nosem,
„Tatku, nie spiesz się, z tą sprzedażą,
jeszcze się losy nasze wyżej ważą,
my możemy do kuchni, do miotły, do igły
– jedna przez drugą jęczy –
do przędzenia wełny,
a nie na pohańbienie, choć tam lepiej płacą.
Sprzedasz nas i sam zostaniesz tu bez nikogo. Na co?
Wstrzymaj się, tato...”
„Pogodzić się trzeba z losem. Dajcie mi spokój, baby,
wszak się nie powieszę...”
Coś upadło. Urwane płacze. Coś chrząści czy brzęczy.
Ojciec odwrócił głowę, łzę otarł.
„Baby, co się dzieje?
Złodzieje to czy szczury? ”
Uchyłonym okienkiem wpadł z góry mieszek. Pełny.

Dorzucam gratis spokój, zgodę i nadzieję.
Tam choremu na czoło dłoń położę jak kompres.
Ówdzie wesoło zanucę, a gdzie indziej do snu.
Mówią mi cudotwórca, mówią – uzdrowiciel.
A ja nocami, po prostu, gdy nie zasnę,
lubię sam chodzić sobie miastem.
Od lat. I dziś tak chadzam, choć mnie nie widzicie.
Jasne?

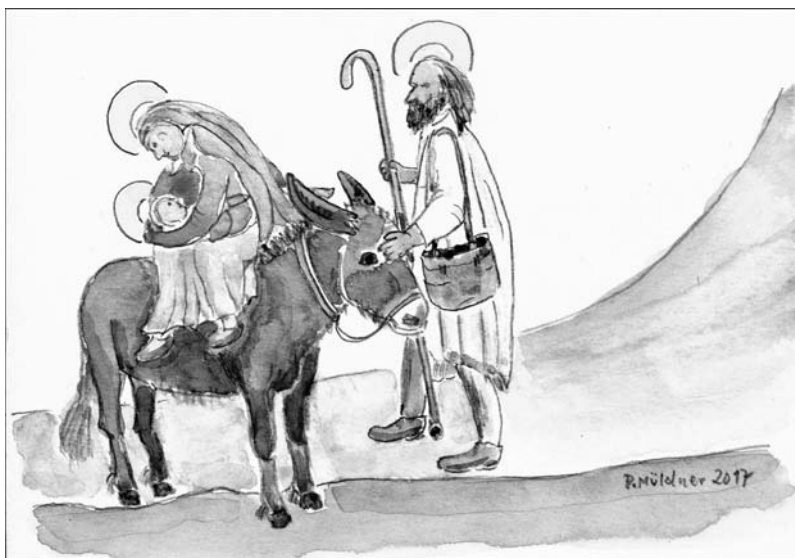
3. Św. Mikołaj donosi

Rozwiązały się wory, zbójów wypuścili.
Jakiś pleń siwobrody rozlaźł się po krajach,
a każdy się przedstawia, że od Mikołaja.

Pije napój słodzony, wciska się kominem.
 Jeden uwiódł dziewczynę,
 Drugi emerytce skradł srebrne widelce,
 Trzeci kogoś zaskoczył, nie wytrzymało serce.
 Czwarty podrzucił bombkę, skorzystał z prawa łaski.
 Piąty nieletnim pokazywał niestosowne obrazki,
 Szósty słowa powtarzał, na kogo nie powiem,
 że niby coś wie na temat moralności mamy...
 Siódmy pijany leży, niech leży, na zdrowie..

Ustalmy, ja wiem, że to wcale
 nie żadni moi krewni. Fałszywi krasnale!
 Lecz tak się w niebie rumienie, czerwienie,
 że tak już wyglądam jak ich nosy i jak te reklamy...
 nęcące.
 Byle dotrzeć do postu, do jaja, do palmy.
 Wtedy pogadamy.
 Z zającem...

Katarzyna Boruń-Jagodzińska



Ucieczka. Akwarela. Piotr Müldner-Nieckowski

Walentyna Karwowska *

Wiersz o NIM

Patrz!
Puch
Płatek za płatkim
Gwiazdkami
Pada śnieg

Po nim saniami mknie
W stronę naszej bramy
On

Gwiazdy prowadzą Go
Do wigilijnego stołu

My, wypełnieni radością
Pyłek z krzeseł zmiotamy
Żeby mógł usiąść utrudzony

Krótkie spotkanie z Nim
Szczęściem napawa

Nowe życie przed nami

Ileż to gwiazdek było od św. Mikołaja
Różnie bywało u tego Pana
Raz było skromnie
Raz bogactwem obfitowało

Skąd różnica?
Powstaje pytanie

Czy to wynik klęski żywiołów
Niezapowiedzianych?

* Stajnia Literacka OW SPP

Tak czy tak
Czekamy

Dzwoneczkami popędzany
Uwikłany w nasze świętowanie
Lubi być z nami – mniemamy

Bez Ciebie św. Mikołaju
Boże Narodzenie
Również dziwne by się stało

19.12.2017



Szopa. Rys. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Anna Liber *

Przy blasku świec

grzecznością
obsadziłam rok

grudniowy plon
pierwszej gwiazdki
zebrać
jestem gotowa

przy blasku świec
i dzwonekch sań
Mikołaj
prezent śle
poezji lekkie słowa

12.12.2017

Kraina Serce

w ośnieżonej krainie Serce
szczodry Mikołaj
świętecznie zamieszkał

długością roku oszczędny
śladami w śniegu bogaty
sanie duszą dzwonią

dla słodczy radość
małych rączek oklaski
gwiazdką mruga
Mikołaj
z ośnieżonej krainy Serce

13.12.2017

* Stajnia Literacka OW SPP

Marek Pękala

Pastorałka

Witaj, witaj Maluteńki,
co przynosisz spokój wielki.
Niech na święta tego roku
wszyscy mają choć po trochu.

Swarów, dąsów – ani deczka,
nie potośmy do dom przyszli.

A opłatka śnieżyneczka
niech rozjaśni wspólne myśli.

Nie zaśnij, nie zaśnij, maluteńki Boże
– przy telewizorze!

Dzieciąteczko, któreś przyszło,
ulżyj też i ateistom.

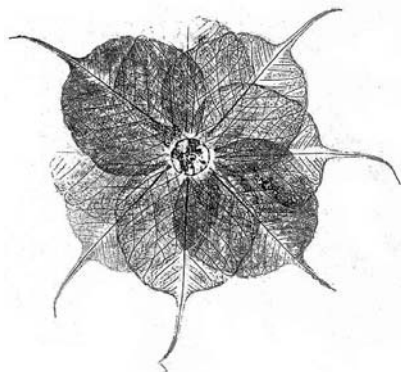
Niech nam będzie nie po grudzie,
wszyscyśmy są przecie ludzie.

Nie zaśnij... itd.

Miłe dary choinkowe,
bombki też nieatomowe.

Kiedyś przyszło Dzieciąteczko,
koniec świata znów daleczko.

Nie zaśnij, nie zaśnij maluteńki Boże
– przy TELEWIZORZE!



Rys. Dorota Suwalska

Krzysztof Saturnin Schreyer

Mikołaj Wspaniały

Nie da się tego ukryć, święta się zbliżają,
 na ulicach i w sklepach pełno Mikołajów –
 czerwone kaptury, sztuczne srebrne brody,
 wiek różny, ale stroje są tej samej mody.
 Powszechnego zwyczaju przykłady tak liczne
 mają swoją przyczynę, a więc historycznie
 należałoby zbadać, niejeden to powie ,
 ten zwyczaj, który wnieśli nasi pradziadowie.
 W wiedzę o nim nauka współczesna uzbraja
 tych, którym spać nie daje problem Mikołaja.
 W kręgach teologicznych budziło zwątpienie
 jego dzieło, a nawet już same istnienie,
 wiec o biskupie z Mirry dyskurs trwał na szczytach –
 spreczne treści głosiła tu rzymska elita,
 aż z różnorodnych głosów jeden miał się ostać –
 niestety, jest to tylko legendarna postać.
 Lecz na to opór wielki wśród ludzi się wzmaga,
 bo wielkiej jest świętości, kto ludziom pomaga,
 i wątpić w Mikołaja nikt się nie odważy,
 zwłaszcza, że jest patronem krajów i piekarzy,
 i mieszkańcem małego, dzielnego narodu,
 gdzie mieszka, myślę, w igloo zbudowanym z lodu.

Ogrzawszy się przy ogniu, wyrusza saniami,
 z górą podarków wszelkich i z reniferami,
 choć współczesne dzieciaki, techniką karmione,
 nie są wcale widokiem częstym zaskoczone,
 kiedy w bezśnieżną zimę miast człapać na dworze,
 on jedzie samochodem, albo na motorze.
 Zaś prezenty, ściągnięte listem w Internecie,
 dla niektórych są sprawą najzwyczajszą w świecie.

Ja widząc Mikołajów inflację światową,
 pograżam się w zadumie nad tą niby znową
 sklepów dużych i małych, wielkich korporacji
 mnożących Mikołajów z dobrej kalkulacji.

Raz, znużony świat blichtrzem, stałym karnawałem,
 zasnąłem i w śnie mocnym w czasie się cofałem.
 Choinka, na niej świeczki palą się woskowe,
 wiszą gwiazdki z papieru, bombki kolorowe
 także czerwone jabłka i złote cukierki
 posklejane łańcuchy, ze słomy tancerki
 i aniołki, a niżej szopka z dykty mała –
 krów, owiec i pastuszków klęczy rzesza cała.
 Łomot nagły za progiem, wielkie przerażenie,
 bo jest to w drzwi zamknięte potężne walenie.
 Otwierać! Już nikt dłużej się nie zastanawia
 i oto przeogromna postać się pojawia
 z kosturem dużym, workiem i w szacie czerwonej
 i głosem wielkim mówi dziatwie przestraszonej
 o tej wielkiej podróży, o przygodach wielu,
 jak wbrew licznym trudnościom On dotarł do celu!
 Matka szybko podaje wino na rozgrzewkę,
 – Ho, ho – grzmi mocnym głosem – a macie nalewkę?
 W końcu wyjmuje z worka niezwykle prezenty,
 dostojny, z pańskim gestem, Mikołaj nasz Święty!
 Mój prezent, choć jest prosty, budzi zachwyt wielki –
 dwa czerwone wagony linowej kolejki.
 Sen się kończy, zatrzymać go już nie mam siły.
 O tym że wagoniki szybko się rozbiły –
 na sznurku z wielkiej szafy zjeżdżając – śnię jeszcze.
 Gdy się budzę, odczuwam jeszcze dawne dreszcze,
 w pamięci mam Wigilii pięknej wieczór cały,
 lecz nad wszystkim góruje Mikołaj Wspaniały!

10 XII 2017

Piotr Müldner-Nieckowski
XII Międzynarodowy Festiwal Poezji
w Nowym Sadzie, Serbia, 2017

Дванаести Међународни новосадски књижевни фестивал 2017



Jedna z wielu wieczornych sesji poetyckich w Nowym Sadzie

Dwunasty Międzynarodowy Festiwal Poezji w Nowym Sadzie nad Dunajem odbył się na przełomie sierpnia i września 2017 r. Czas świetny, bo ulice, place i bary tego pięknego miasta jeszcze były wypełnione tłumami turystów i amatorów ciekawych imprez, wakacyjne życie toczyło się w pełni do trzeciej w nocy, pogoda była iście tropikalna, ale zdumiewająco znośna, a nastroje bajecznie beztroskie. Nikt się nie spieszył, nikt nie napinał i denerwował. Słowem atmosfera południa Europy, ale i środka też trochę, ze względu na słowiański język i zdobnictwo. Na wysokości Nowego Sadu w rzece jest woda, która zdążyła ścieknąć z sześciu krajów.

Można tam jechać tysiąc dwieście kilometrów samochodem przez Czechy lub Słowację i Węgry, po drodze parę razy pozdrawiając Dunaj. Najlepiej pokonać trasę w dwa dni. Motele i zajazdy są wszędzie dostępne i niedrogie. Albo ignorując przemysł hotelarski, lecieć samolo-



Jovan Zivlak

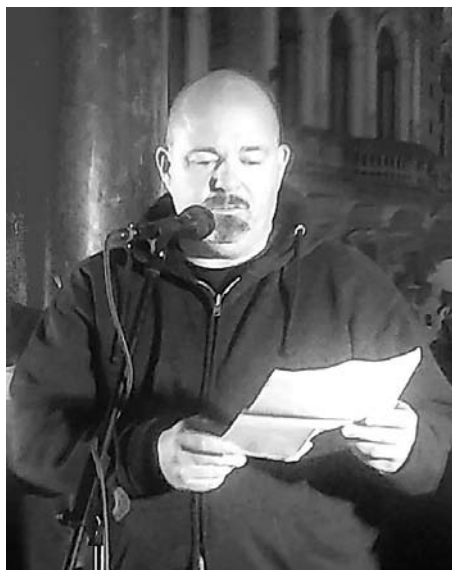
tem do Belgradu, a potem zrobić skok do Nowego Sadu autobusem.

Pomysłodawcą i dyrektorem festiwalu jest znakomity poeta, krytyk, wydawca, naczelny redaktor periodyku literackiego „Zlatna greda” – Jovan Zivlak, a rzecz odbywa się pod egidą Stowarzyszenia Literatów Wojwodiny, którego Jovan był wieloletnim prezesem, a którego obecny sekretarz Aleksandar Antić zawiaduje najbardziej uciążliwymi sprawami organizacyjnymi i opieką nad gośćmi.

Wystąpień przed publicznością codziennie należało odbyć kilka. Trzeba było tylko mieć wiersze przy sobie. Teraz nosi się je w smartfonie i najlepiej w wersji angielskiej, choć organizatorzy zadbali, aby biogramy i wybrane teksty osób zaproszonych były przełożone na język serbski, a to głównie do czytania przez doskonałego aktora z nowosadzkiego Serbskiego Teatru Narodowego.

Jovan Zivlak tegoroczne panowanie poetów w mieście rozpoczął od przywitania na konferencji prasowej, która na barce Belgradzkiego Teatru Rzecznego na Dunaju skupiła i pokazała ludności ponad dwudziestu zaproszonych twórców z wielu krajów Europy i Ameryki. Wieczorem burmistrz Nowego Sadu wygłosił przemówienie powitalne, poeci jednak już zdążyli odbyć kilka spotkań w różnych punktach miasta.

Niektórzy uczestnicy próbowali podwójnie zaznaczać swoją obecność, tak jak pewien poeta z Moskwy, który ostentacyjnie pokazywał się w koszulce z sierpem, młotem i napisem „CCCP” na piersi, ale nie wywołało to żadnych istotnych reperkusji. Nie były potrzebne, bo i tak całe



Johan Jönson, laureat Nagrody Festiwalu

miasto wiedziało, że „są poeci”, a poeci wiadomo jacy są. Raczej wzruszano ramionami i z ochotą przyglądano się poetkom lub towarzyszkom poetów, ponieważ piękny jest ten świat. Z jeszcze większą atencją reagowano na do-



Hans Thill

niedbywać kultury. Serbia ma nie mniej atrakcji niż Chorwacja, Słowenia czy Bośnia i Hercegowina i organizatorzy festiwalu starali się to pokazać, zabierając uczestników na wycieczki do ciekawych miejsc. Belgrad już nie tak interesujący, z wyjątkiem może samego centrum, ale Nowy Sad przepiękny, zadbany, odświeżony, nocą rozświetlony. Komercja nie przytłacza



Greta Stoddart

bre wiersze i ciekawe ilustracje muzyczne występów.

Kraj prawie zupełnie pozbył się już śladów walk towarzyszących rozpadowi Jugosławii i wojnie w Kosowie w latach 90. Czuje się jednak, że Serbia nie należy do Unii Europejskiej, zwłaszcza na granicy, gdzie służby mogą zatrzymać podróżnika na godziny stania w kolejkach. Widać też, że cywilizacyjnie coraz bardziej zostaje w tyle, choć czyni się tam wiele wysiłków, żeby nie tracić turystów i nie zaniedbywać kultury. Serbia ma nie mniej atrakcji niż Chorwacja, Słowenia czy Bośnia i Hercegowina i organizatorzy festiwalu starali się to pokazać, zabierając uczestników na wycieczki do ciekawych miejsc. Belgrad już nie tak interesujący, z wyjątkiem może samego centrum, ale Nowy Sad przepiękny, zadbany, odświeżony, nocą rozświetlony. Komercja nie przytłacza naturalnych jego wdzięków.

Publiczność bardzo ochotna. Gremialnie słuchano wystąpień w kwiatkach, z mikrofonem i przy muzyce. Codziennie sesje odbywały się na balkonie klubu „Absolut” nad głównym nowosadzkim deptakiem i przyciągały tłumy obserwatorów; były także wieczorne i nocne. Słuchacze żywiołowo wyróżniali ciekawsze wiersze, wznosili okrzyki, zachęcając do dalszych prezentacji. Bywało podniosłe, gdy któryś autor grzmiał z przejęciem, ale i wesoło, jeśli mówił żartobliwie, lub wydawano pomruki w odpo-



Naddunajski Nowy Sad (Нови Сад) o drugiej w nocy

wiedzi na poetyckie syczenie jadem. Podobnie, choć nieco dostojniej (poeci bywali lepiej ubrani), działa się na placu w pobliżu rynku na wieczornocnych posiedzeniach z akompaniamentem świetnych miejscowych muzyków z wyższej szkoły muzycznej w Nowym Sadzie i z grup rokowych lub jazzowych, także na spotkaniach w klubach i w bibliotekach.

W 2017 r. gościem z Polski był niżej podpisany, a w latach poprzednich bywali tu znakomity tłumacz i poeta Grzegorz Łatuszyński i m.in. Anna Janko i Maciej Cisło, Adriana Szymańska, Wojciech Kaliszewski, Eugeniusz Kasjanowicz, Jan Krzysztof Piasecki, Jarosław Mikołajewski czy Krzysztof Karasek, któremu w „roku polskim” 2012 przyznano Międzynarodową Nagrodę Festiwalu. Teraz „narodowymi gośćmi” byli Szwedzi, a nagrodę otrzymał Johan Jönson ze Sztokholmu. Ja bym ją dał również Hansowi Thillowi z Niemiec i Grecie Stoddart z Anglii, ale nie miałem z sobą medali, a rok nie był ani niemiecki, ani angielski. Natomiast jakość była na pewno.

W ostatnim dniu zawieziono poetów między Nowy Sad a Belgrad do ludowej restauracji, na wieś w głąb kraju, z dala od gór i Dunaju, ale blisko Sawy, której woda też ma wzór ha-dwa-o, na suty obiad z mnóstwem serbskich specjałów i radosną rakiją. Stamtąd nasyceni smakami i rozmowami, dowcipnymi a niekoniecznie z użyciem metafor, pojechaliśmy na zakończenie imprezy do centrum Nowego Sadu. Publiczność znowu dopisała.

Tekst i zdjęcia Piotr Müldner-Nieckowski

Bibuła – a co to takiego?

I dlaczego Bibuła ma znaczenie w życiu SPP?

(o antologii rocznika Stowarzyszenia Wolnego Słowa)

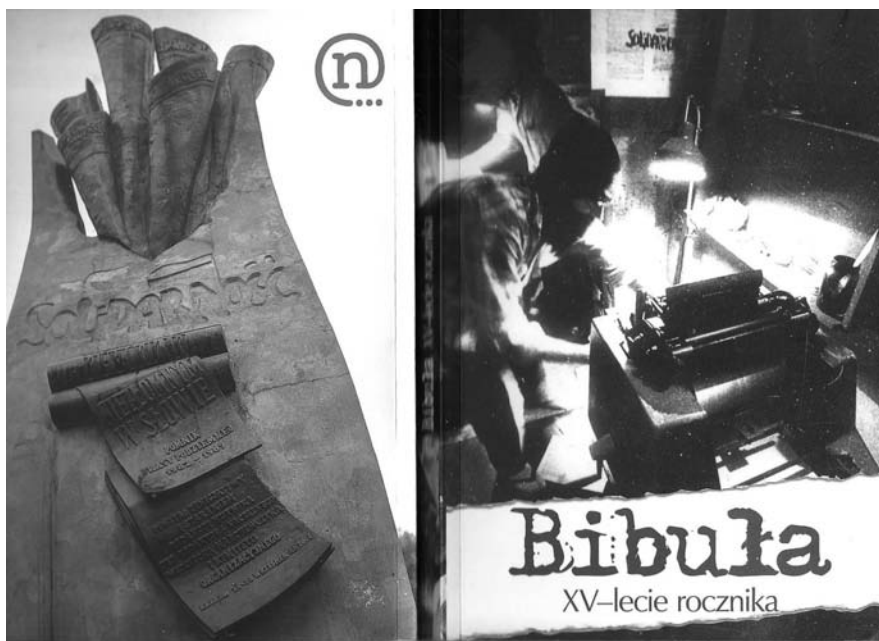
Warto wspomnieć w „Podglądzie” o tej publikacji nie tylko dlatego, że pomysłodawcą „Bibuły”, redaktorem naczelnym i autorem wielu tekstów jest nasz kolega – pisarz, publicysta i filmowiec – Jan Strękowski, wielce zasłużony dla prasy i kultury podziemnej, oraz że wśród wielu osób współtworzących rocznik są dwie członkinie zarządu OW SPP, które dbały m.in. o to, aby w „Bibule” zaistniały materiały związane z literaturą, aby odnotowywano dzieje Związku Literatów Polskich i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (choć nie wszystkim czcigodnym członkom spodobał się tytuł artykułu na 20-lecie naszego stowarzyszenia – „SPP – a co to takiego?” odzwierciedlający przecież wiedzę (niewiedzę) o SPP nawet wśród ludzi zainteresowanych literaturą; żadne media nie rozpieszczały SPP reklamą, dobrze więc, że chociaż w „Bibule” pojawiło się parę słów na ten temat). „Bibuła” zasługuje na uwagę m.in. z tego powodu, że geneza powstania SPP ściśle wiąże się z kulturą niezależną. Antologia wydana przez Stowarzyszenie Wolnego Słowa jest ze wszech miar pożyteczna – ma walor edukacyjny, ukazuje w bynajmniej nie drętwy sposób tzw. „historię najnowszą” („współczesną”, ale niestety już przyproszoną kurzem zapomnienia, zaniedbywaną lub ignorowaną), tym, którzy jej nie znają. Do książki papierowej dołączono płytę z numerami czasopisma w wersji elektronicznej. Jednocześnie „Bibuła” jest zbiorem dokumentalnym o walorach sentymentalnych dla „kombatantów”, którzy brali udział w podziemnym ruchu oporu czasów PRL-u, jak i dla tych, którzy otarli się o tę działalność lub byli odbiorcami, „konsumentami” owoców pracy działaczy podziemia – czytelnikami, słuchaczami, widzami, których serca były krzepione wolnym słowem.

Oddajmy głos redaktorowi naczelnemu...

(kbj, msz)

14... 14... 14...

Tyle lat istniał zorganizowany niezależny ruch wydawniczy w PRL. Od 1976 do 1990 roku, kiedy to przestał definitywnie istnieć przesławny i zarazem niesławny Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk,



Rozłożona okładka książki pt. „Bibuła. XV-lecie rocznika”

ISBN 978-83-62699-19-3

Redakcja: Jan Strękowski, Wojciech Borowik

Korekta: Małgorzata Ilka, Wojciech Borowik

Przygotowanie do druku: Jacek Giżyński

Druk i oprawa: EFEKT, Warszawa, ul. Lubelska 30/32

Wydanie I, Warszawa, sierpień 2017.

Wydawca: Stowarzyszenie Wolnego Słowa



00-626 Warszawa, ul. Marszałkowska 7, tel. (22) 405 66 30, www.sws.org.pl

Wydanie dofinansowane przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.



mający swoją siedzibę na ulicy Mysiej w Warszawie. Tam, gdzie od paru lat stoi (czy raczej leży, bo ma kształt rozwiniętej rolki karty papieru) Pomnik Wolnego Słowa.

14 to także liczba wydanych numerów dorocznego periodyku Stowarzyszenia Wolnego Słowa „Bibuła”. Zaczęliśmy w 2003 roku, nie wiedząc wtedy, że tytuł ten towarzyszyć nam będzie przez kilkanaście (w sumie 14) kolejnych lat.

14 to też liczba numerów „Bibuły”, z której dokonaliśmy, a raczej dokonał niżej podpisany, trudnego wyboru tematów i tekstów. Trudnego, bo

chodziło o zaprezentowanie przede wszystkim tego, co zapisaliśmy w tytule naszego pisma: *bibuły*. Jej historii, jej perypetii, ludzi, którzy uczestniczyli w pracach niezależnego obiegu wydawniczego czy szerzej – kulturalnego. Stąd też nie ma w naszym wyborze tekstów, które skupiały się na historii ostatnich lat PRL i historii opozycji w PRL w czasach przed i posierpniowych, czyli przed powstaniem „Solidarności”, gdy opozycja była jeszcze marginesem i wtedy, gdy pod sztandarami „Solidarności” występowały miliony Polaków. Tekstów często bardzo ciekawych, ale cóż.

Nie wszystko mogło się zmieścić. 14 wydań „*Bibuły*” to księga licząca ponad 1000 stron maszynopisu. Wybraliśmy z tego mniej niż jedną trzecią. Dlatego też nie ma w naszym wyborze przedruków, a także tekstów, które znalazły się wcześniej w innych wydawnictwach Stowarzyszenia Wolnego Słowa.

W jednym z numerów „*Bibuły*” pisałem: „Każdy ma swoją własną historię podziemia. Jedni pamiętają wpadki, inni zachowali w pamięci atmosferę, jeszcze inni wspominają swoje przewagi nad czerwonym. Tak samo trudno nakreślić panoramę działalności podziemnej. Wydawnictwa, prasa, ulotki, znaczki i przeróżne inne patriotyczne gadżety, podziemne radio, kasety, filmy, produkcja i naprawa sprzętu. Podziemne teatry, wystawy i przeróżne inne imprezy kulturalne i polityczne. To wszystko robiliśmy, czasem na raz”.

A w innym: „Było »mydło i powidło« i były różne drogi i pomysły na życie i uprzykrzanie życia niekochanemu systemowi”.

W „*Bibule*” (wybranej czy może przebranej?) przeczytają Państwo także o radości z odzyskanego śmietnika i goryczy tych, którzy choć wygrali, czują się przegrani. Niepotrzebni. Zapomniani.

A przecież, jak napisała w publikowanym w naszym wyborze wierszu sowiecka dysydentka i poetka Klaudia Rotmanova: „Myśmy istnieli, myśmy istnieli...”.

Jan Strękowski

Zofia Beszczyńska

Bajka o jajkach

Była raz dziewczynka trochę podobna do ciebie, a trochę nie. Miała włosy żółte i nastroszone jak wiązka słomy, oczy czarne jak jagody, a na imię Natalia, w skrócie Nata. Pewnego ranka, gdy tylko otworzyła oczy, poczuła, że ma ochotę na jajko.

Tylko jakie? – zastanawiała się, ciągle leżąc w łóżku. – Miękkie, półmiękkie, półtwarde czy twarde, w szklance czy w jajecznicy, a może w omlecie? Pomyślę o tym później – zdecydowała i w piżamie, na bosaka, poszła do kuchni. Otworzyła lodówkę i zobaczyła, że na półce z wgłębieniami na jajka leży tylko jedno.

W sam raz dla mnie! – ucieszyła się Nata.

Wyjęła jajko z lodówki i położyła na stole. Ale niestety w trakcie tej czynności zawadziła nim o drewnianą krawędź i na skorupce pokazała się szczelina.

W takim razie zjem jajecznicę... albo omlet – zaczęła myśleć Nata, ale nie skończyła. Bo oto nagle ze szczeliny wydobył się syk, a po nim żółty blask. Szczelina rozszerzyła się trochę... i jeszcze trochę... aż w końcu jajko tego nie wytrzymało. Pękło na dwie skorupki, a pomiędzy nich wyskoczył żółty kurczak. W jednej chwili wyskoczył, w następnej był już dwa razy większy.

– Cześć! – zapiszczał, ale zaraz odchrząknął i dodał trochę grubszym głosem: – Mam na imię Kurczak, w skrócie Kur, a ty?

– Nata – szepnęła Nata. – To znaczy w skrócie, bo naprawdę... – próbowała wyjaśnić, ale Kurczak-Kur wcale jej nie słuchał. Z dumą rozpostarł skrzydła koloru żółtka i zapiał donośnie niczym dorosły kogut:

– Ku-kuryku-kuuu!

Zadarł przy tym i głowę, i ogon, z którego natychmiast wyrosły długie tęczowe pióra. Po czym podskoczył trochę... i jeszcze trochę...

– Hej, Kurze – szepnęła Nata – co ty właściwie robisz?

– Jak to co! – odburknął. – No chyba widzisz: odfruwam!

I rzeczywiście odfrunął. Prosto w otwarte okno, w kierunku niedalekiego lasu. Porzucone skorupki zakołysały się smutno na stole. Nata też posmutniała.

I co ja mam teraz zrobić? Co zjeść na śniadanie? – myślała. – Ale skoro Kur polecał do lasu, może i ja znajdę tam coś dla siebie?

Zamknęła oczy i w tej samej chwili była pod domem: na ścieżce w ogródku do furtki, następnie na ścieżce przez pole – i następnie już w lesie.

Dziś z jajkiem mi się nie udało – myślała dalej – zostawię je na kiedy indziej. Ale las to dopiero coś! Może znajdę tam jagody? Albo ukradziony i zapomniany przez niedźwiedzia plaster miodu? A do picia leśną rosę, jak w gościnie u elfów. Takie śniadanie podobałoby mi się absolutnie najbardziej!

Humor jej wrócił i powędrowała przed siebie, a żeby zagłuszyć coraz głośniejsze burczenie w brzuchu, wyśpiewała znane i nieznane piosenki, aż ptaki na gałęziach drzew i krzewów zamilkły zdumione. Szła tak, szła, aż doszła do niewielkiej polany. A tam – niespodzianka! – na samym środku stały sobie dwa jajka w kieliszkach. Jedno było ugotowane na półmiętko, drugie na półtwardo. Oba patrzyły na nią beczelnym wzrokiem. To na półtwardo w dodatku jakby złośliwie, może z powodu lekkiego zeza.

Nata tak się tym zdumiała, że stanęła między nimi nieruchomo jak solniczka. Przynajmniej tak to sobie wyobrażała.

– Nie podobasz nam się! – wykrzyknęły jajka chórem. Bo rzeczywiście. Podczas gdy one były dwoma grubaskami, jednym okrąglejszym od drugiego, to owo coś, co mogłyby uznać za solniczkę, było chude, spiczaste i sterczące w górę, zupełnie bez sensu. W dodatku miało włosy żółte jak żółtko, a resztę białą jak białko. Oczy tego czegoś błyszczwały niby kulki czarnego pieprzu.

– Ładny mamy dziś dzień – usłyszała Nata za plecami. Odwróciła się i ujrzała Kromkę Chleba.

– Mmm – dobiegło ją westchnienie z drugiej strony.

Stała tam Kostka Masła.

Nata milczała, bo nie wiedziała, co powiedzieć.

To jakiś koszmarny sen! – przebiegło jej przez głowę.

A wiadomo, że najlepszym sposobem na koszmarny sen jest mocno zacisnąć oczy i zaraz otworzyć je na nowo, mocno przy tym wierząc, że to, co zdarzy się w następnej chwili, zdarzy się już na jawie.

I tak było również z Natą.

Dziewczynka znów leżała we własnym łóżku z białą kołdrą i żółtym jaśkiem. Odetchnęła głęboko, z ulgi, ale i przyjemności. Bo spoza uchylonych drzwi, z kuchni płynęły ku niej niezwykle kuszące zapachy.

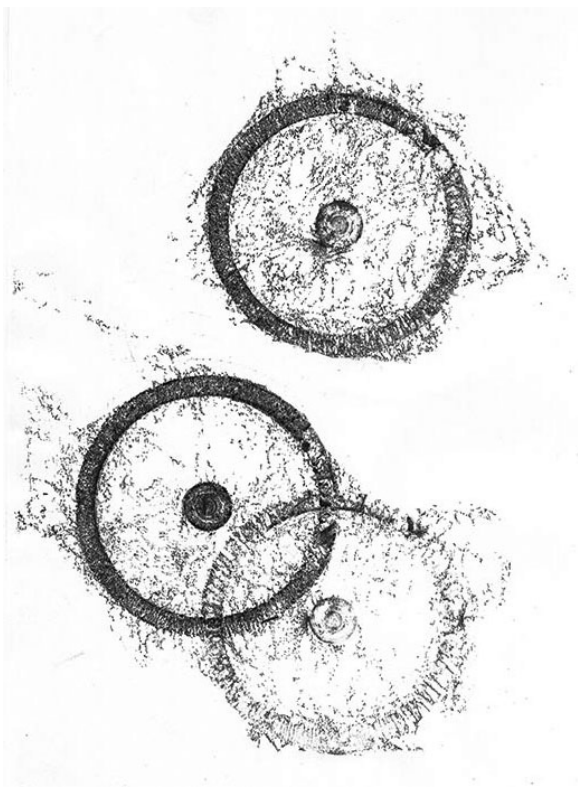
Do pokoju wsunęła się kędzierzawa głowa mamy.

– Nata, ty leniu, wstawaj wreszcie! Śniadanie na stole! – powiedziała. I znikła.

Tknięta straszlwym przecuciem dziewczynka skoczyła na równe nogi.

– Tylko żeby nie było żadnych jajek! – wrzasnęła. – Żadnych i ani jednego! Mam dosyć jajek już do końca życia!

Zofia Beszczyńska



Rys. Dorota Suwalska

Zofia Beszczyńska

wiersze o stworzeniach

*

pani nietoperzowa
przed światłem się chowa

a pan nietoperz?

też

*

w powietrzu brzęczy
jak w ulu:
przyleciały pszczoły!
zielone jak to wiosną

zielone czułki na głowie
zielone skrzydła im rosną

i miód też dadzą zielony
jestem tego pewna –
gdy zakwitnie mniszek
szczaw polny
i czarnuszka siewna

*

pokrzywowa wróżka
chodzi na paluszkach
i płacze cichutko:
dlaczego
nikt nie chce mnie w swoim ogródku?

*

we młynie mieszka rusałka
śpi pod kamieniami

zabłąkała się z lasu
i została z nami

*

u mojej babci pod jabłonką
mieszka dziwne stworzonko

ma rumiane policzki
i nogi jak patyczki
ogonek zakręcony
i różki jak jelonek

mówią że go nie ma
że sobie go wymyśliłam
a ja wiem lepiej bo nieraz
jabłko z nim jadłam
mleko z miodem piłam

*

w studni zamkniętej na głucho
gnieździ się stara ropucha
w studni na samym dnie
czeka aż na dno coś spadnie

jej serce dudni głucho
pod twardą brązową skorupą
myślisz że woda bulgoce
a to jej serce łomoce

nie podchodź do studni nocą
żeby ropuchę całować
bo nagle spod brzydkiej skorupy

wychynie piękna królowa
zgubiona w studni jak we śnie –

naprawdę do domu ją weźmiesz?

*

śpiewamy spod kamieni
nawet gdy nie słyszysz

jesteśmy tam maleńcy
maleńcy i cisi

w głębi w ciemności
w kamiennej ciszy

Zofia Beszczyńska

Małgorzata Karolina Piekarska**Dzika***(fragment)*

*Dedykuję Eileen A., która zniknęła z mojego życia,
ale wciąż jest w mojej pamięci*

Rozdział 1**Spotkanie**

– Patrz! Dzika! Dzika! – okrzyki wyrostków wyrwały Rafała z zadumy.

Stał w Albercie z siatką i bezmyślnie patrzył na listę zakupów. Niewiele tego było, ale zawsze coś. Głównie produkty na drogę, bo przecież jutro wyjeżdżał na obóz. Babcia zapłaciła za wszystko. Nawet za Złot Grunwaldzki. I jeszcze mundurek mu kupiła. Dziś pół dnia biegał a to do Tasiemca, a to do Kuby i patrzył, co gdzie powinno być przyszyte. Bo przecież jutro o siódmej rano... jedzie! Nareszcie!

– Dzika! Cha, cha! Co się czaisz?! Nie wiesz, jak się banany prostuje?

Rafał się rozejrzył. Niedaleko niego przy regale z owocami stała wysoka, szczupła, czarnoskóra dziewczyna. Miała usta wykrojone w serduszko, czarne oczy i długie czarne włosy poskręcane w sprężynki. Gdyby schować je pod chustką, wyglądałaby jak Madonna. O! Tego Rafał był pewien. W jednym ręku trzymała dorodnego grejpfruta, a w drugim drobne pieniądze, które najwyraźniej przeliczała w myśli. Rafał ją widział pierwszy raz, a przecież był niemal stałym bywalcem sklepu. Ale może mieszkała przy którejś z ambasad? W końcu nie brak ich na Saskiej Kępie. Może przyjechała tu tylko na wakacje? Ukradkiem przyglądał się dziewczynie. Była mniej więcej w jego wieku. „Bardzo ładna” – pomyślał i dalej obserwował, z jakim spokojem dziewczyna liczy pieniądze. Może nie zna polskiego? Może trzeba jej pomóc? Z angielskiego nie był wprawdzie orłem, ale... Już oczyma wyobraźni widział siebie rozmawiającego po angielsku z tą piękną. Spyta, czy jej nie pomóc...

– Dzika! Wprostowałeś banana?! – wyrwało go z zamyślenia.

Dziewczyna z grejfrutem stanęła w kolejce do kasy. Rafał machinalnie włożył do koszyka pełnego kartonów z sokami i butelek wody mineralnej trzy paczki minirolalików i stanął tuż za nią. Okrzyki zabrzmiały bliżej. Rafał dopiero teraz przyjrzał się zaczepiającym dziewczynę. Znał ich. Zwłaszcza Adasia. Chodzili razem do podstawówki i mieszkali na jednym podwórku.

– Rafek, przybij piątkę. – Adaś wyciągnął w jego kierunku brudną dłoń zwróconą wierzchem do góry.

Rafał dotknął jej z rozmachem.

– Cześć – mruknął.

– Dziką znasz? – spytał Adaś.

Rafał pokręcił głową.

– To poznaj... Właśnie się tu sprowadziła i nie chce powiedzieć, skąd jest.

– Może nie rozumie po polsku... – zaczął Rafał, ale nie dokończył, bo w tym momencie dziewczyna doszła do kasy i dał się słyszeć jej śpiewny, dźwięczny głos:

– Ile płacę?

– Widzisz, że kuma? Wszystko kuma! Tylko panisko rżnie! Ale cóż... nic nie kuma, że Murzyna miejsce jest na asfalcie.

– To zdecyduj się – kuma czy nie kuma.

– Te... o co ci chodzi? – Adaś spojrzał podejrzliwie na Rafała, ale ten nie odpowiedział, bo akurat przyszła jego kolej na płacenie.

Wyszedł ze sklepu. Dziewczyna szła tuż przed nim. Na nierównym chodniku rozlegał się równy stukot pantofelek na malutkim obcasiku.

– Dzika! Banany prostujesz?! – wołał Adaś, biegnąc tuż obok niej.

Był już sam. Reszta gdzieś się ulotniła. Dziewczyna udawała, że nie słyszy tych wrzasków, ale... musiała je słyszeć. Adaś krzyczał tak głośno, że ludzie na ulicy spoglądali na niego z politowaniem. Pokrzykiwanie najwyraźniej mu się znudziło, bo podbiegł do dziewczyny i jednym szybkim ruchem wyrwał jej z rąk grejfruta. Zrobił to jednak tak nieporadnie, że żółta kula upadła na chodnik i potoczyła się jak piłka wprost pod nogi Rafała.

– Kopnij! – krzyknął Adaś, ale Rafał nie posłuchał. Podniósł owoc i podał dziewczynie.

– Proszę...

– Dzięki – odparła i ruszyła przed siebie.

Rafał odprowadził ją wzrokiem, aż zniknęła za zakrętem.

– Ocipiałeś? – spytał Adaś, patrząc w kierunku, w którym oddaliła się dziewczyna. – Taka fajna zabawa, a ty wszystko psujesz.

– Ale mi zabawa... – prychnął Rafał. – Co ty? Pięć lat masz?

Adaś wzruszył ramionami.

– Co robisz w wakacje? – spytał i wyjął z kieszeni paczkę papierosów.

– Jadę na obóz – odparł Rafał. – Jutro – dodał, chcąc uniknąć dalszych pytań. Z niesmakiem patrzył, jak kolega zapala papierosa.

– Chcesz? – spytał Adaś i podsunął paczkę. Rafał pokręcił głową. – A ten obóz to jaki? Sportowy?

– Nie. Harcerski.

– Beznadzieja. W życiu bym się do harcerstwa nie zapisał. Ale teraz rozumiem, czemu nie chcesz zająć. Harcerzyk. A nie wiesz, że harcerz pije i pali, byleby go nie złapali? A kto pije i pali, ten nie ma robali!

– Oj, daj spokój, Adaś – mruknął Rafał. Obecność kolegi z podwórka zaczęła go drażnić.

Niestety, szli w tym samym kierunku.

Dopiero za bramą Adaś się oddalił. Okrążył go zresztą spory tłumek chłopaków z podwórka, którzy wcześniej byli z nim pod sklepem. Teraz jeden przez drugiego wołali:

– Miałeś jej pilnować i co?! Wróciła przed chwilą...

Rafał nie słuchał dłużej ich paplaniny, tylko wszedł na klatkę. Domyślił się jednak, że rozmowa dotyczyła czarnoskórej dziewczyny. Jak ma na imię? Ciekawe... Mieszka gdzieś tu? Też ciekawe...

* * *

Upychał właśnie plecak, siadając na nim całym ciężarem ciała. Nie szło mu to zbyt dobrze. Tasiemiec obiecał wpaść i pomóc w pakowaniu. Babcia była w sanatorium – nie mogła więc w tym uczestniczyć. Ojciec dorwał jakąś robotę, a macocha po raz kolejny pojechała do swojej córki na wybrzeże. Rafał, drapiąc się w głowę, przeglądał listę rzeczy, którą dostali od druha Tomka. Trampki są, traperki są, spodnie dwie pary są... krótkie spodenki trzy pary są, ręczniki sztuk dwa... są, piżama... jest, prześciera-dło... też jest, śpiwór... jest, sweter... jest, kurtka... też jest, bluza od dresu, dres... skarpetki sześć par... Rafał już po raz kolejny analizował listę. Czy niczego nie zapomniał? Nagle się wzdrygnął. Po całym podwórku rozniósł się piskliwy kobiecy krzyk:

– Alicja!!!

– Jestem tu! – odparł znany mu już śpiewny i dziewczęcy głos.

– Wracaj już z Pimpusiem! To stary pies!

– Dobrze, babciu!

Rafał podszedł do okna. Ciemnoskóra dziewczyna wyprowadzała na spacer Pimpka starej Rudnickiej. I jeszcze mówiła do niej babciu! „A to ci heca!” – pomyślał Rafał i nieoczekiwanie się ucieszył. Już wiedział, jak ma na imię i gdzie mieszka piękność ze sklepu. Alicja. „Ładne imię” – stwierdził i odsunął się od okna. Poszedł do przedpokoju i stanął przed lustrem. Przyjrzał się krytycznie swojemu odbiciu. Chuda postać patrzyła na niego uważnie. Długie ręce, długie nogi, szare oczy, szare piegi, uszy lekko odstające, nos... jak to kiedyś Adaś powiedział? Jak klamka od zakrystii? Ech... Czy taki ktoś jak on mógłby podobać się takiej dziewczynie? Wzruszył ramionami. Stał jeszcze chwilę przed lustrem i wrócił do sprawdzania bagażu.

– Siedem par majtek... – mruczał, upychając plecak i starając się odpedzić wspomnienie odbicia z lustra. Odbicia, które nigdy go nie zadowalało.

* * *

– Witam was na pierwszym obozowym apelu – rozpoczął drużyna Tomek. Właśnie skończyli śpiewać hymn harcerski, sprawdzili stan liczebny drużyny i wysłuchali rozkazu komendanta hufca. – Tegoroczny obóz to Wyspa Szczęśliwych Narodów. Macie trzy dni na wybranie nazw dla zastępów i zgłoszenie ich oboźnemu. Tydzień na przygotowanie obrzędowości, piosenek, okrzyków i tak dalej. Równy za tydzień czeka nas wielkie święto obozowe, kiedy wszystkie zastępy się zaprezentują. Jest o co walczyć. A teraz baaaczność! Spocznij! Do organizowania obozu rozejść się!

– Co wybierzemy? – spytał Kuba, gdy znaleźli się w namiocie.

Od zeszłego roku bardzo się z Rafałem zaprzyjaźnili. Chociaż nie chodzili do jednej klasy, a ich domy były tak różne. Kuba mieszkał w przedwojennej kamienicy po dziadku, w wielkim mieszkaniu pełnym rodzinnych pamiątek przypominających czasy powstań narodowych. W domu Rafała zamiast obrazów i starych fotografii królowały rozpadające się, bynajmniej nie historyczne meble i stary telewizor. Jedyną rodzinną pamiątką było ślubne zdjęcie rodziców. Macocha Rafała – Krystyna – wzdychała ciężko, ilekroć omiała je z pajęczyn.

– No... jak narody, to może... wikingowie? – zaproponował Młody.

– Do bani z wikingami – stwierdził Tasiemiec i odrzucił do tyłu długą grzywkę.

Zapuszczał włosy, choć nauczyciele nie patrzyli na to zbyt przychylnie.

– Dlaczego? – spytał Młody i nadął się. Nie lubił, gdy jego pomysły nie spotykały się z aprobatą.

– Bo to będzie trudno zrobić.

– Co?

– No... hełmy i w ogóle... – Tasiemiec zatoczył ręką krąg, który miał w jego mniemaniu wiele znaczyć, ale zdaniem Młodego nie znaczył nic.

– Czepiasz się – powiedział, ale pomysłu z wikingami nie podchwycił nikt.

– Może Chińczycy? – zaproponował Kuba. – Zrobimy sobie pałeczki, z papieru czapki, ryż kupimy w sklepie...

– Ta... a piosenka obrzędowa będzie brzmiała: „Pchamy! Taczki! Towarzysze, pchamy! Pchamy! Pchamy! Gówno z tego mamy!” – Tasiemiec zaintonował piosenkę, którą kiedyś usłyszał w radiu.

– Oj! Widzę, że dziś nic ci się nie podoba... – Kuba pokręcił głową i westchnął ciężko.

– Podoba mi się – odparł Tasiemiec. – Tylko jestem za czymś banalnie prostym.

– To banalnie prości są jaskiniowcy – stwierdził Rafał.

Spojrzeni na niego pytającym wzrokiem.

– No tak... owinąć się trzeba skórą... a za skórę może robić wiele rzeczy. Poza tym okrzyk¹³

ki mogą być nieartykułowane. W końcu ludzie pierwotni nie mówili...

– A skąd ty wiesz? Może po swojemu mówili? – spytał zaczepnie Młody. Był zły, że nikt nie podchwycił pomysłu z wikingami.

– Ale nie znamy tej mowy, więc możemy ją zmyślić... – wyjaśnił Rafał. Zapadła cisza. Chłopcy spojrzeli po sobie.

– Kto jest za? – spytał Łukasz, który od września pełnił funkcję zastępowego.

Łukasz zawsze drażnił Kubę. Głównie dlatego, że siostra Kuby, Ola, która przyjaźniła się z siostrą Łukasza, Patrycją, bez przerwy trajkotała o wspaniałości brata przyjaciółki. Z Rafałem było inaczej. Od początku lubił Łukasza. Wydawał mu się sprawiedliwy i dojrzały, a właśnie taki pragnął być Rafał.

– No? Kto jest za? – powtórzył pytanie Łukasz. Tym razem wszyscy, nawet Młody, choć niezbyt chętnie, podnieśli ręce. – Okej, idziemy zgłosić to obożnemu. Może będziemy pierwsi?

– Wszyscy idziemy? – spytał Młody.

– Nie – odparł Łukasz. – Pójdą Kuba i Rafał.

– A gdzie jest jego namiot? – zainteresował się Kuba, kiedy wraz z Rafałem szli świeżo wydeptaną w wysokiej trawie ścieżką.

Jakby w odpowiedzi na to pytanie dobiegł ich głos, który z pewnością należał do oboźnego Witka, druha słynącego z tego, że wrzeszczał, czy miał ku temu powody, czy nie.

– Przestańcie krzyczeć, do jasnej cholery!

Chłopcy zarechotali. Pobiegli pędem w tamtym kierunku i już po chwili wiedzieli, że tym razem jest powód. Przed namiotem stało trzech harcerzy i kłócili się jeden przez drugiego.

– My pierwsi zgłosiliśmy nazwę Murzyni!

– Nieprawda! – oponował drugi. – My byliśmy pierwsi, tylko wy wepchnęliście się przed nas.

– My byliśmy pierwsi – twierdził trzeci. – Tylko nie zdążyliśmy się odezwać, bo wy zaczęliście wrzeszczeć jeden przez drugiego.

– Spokój, czarnuchy! – ryknął oboźny Witek i zrobił przy tym taką minę, że Kuba z Rafałem znów zarechotali. – Będzie losowanie. Zastęp Murzynów może być tylko jeden. Co i tak nie zwolni jego członków od mycia się – zauważył filozoficznie, po czym zniknął w namiocie, by przygotować losy.

Rafał westchnął. No tak. Na obozie każdy chce być Murzynem. W końcu wystarczy na przykład zrobić sobie na biodra opaskę z liści. A w życiu? I przed oczami stanęła mu ta dziewczyna ze sklepu, którą jeszcze długo po wyjściu z niego gonił okrzyk Adasia:

– Dzika! Banany prostuj!



Małgorzata Karolina Piekarska, *Dzika*
Wydawnictwo Nasza Księgarnia Sp. z o.o.
Stron 288
Wydanie II. Warszawa 2017
ISBN 978-83-10-12996-3

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Marszałek Józef Piłsudski

(fragmenty)

Tajemnica talerza zupy

Ledwie otworzyły się drzwi mieszkania dziadków, wykrzyknąłem:

– Cześć babciu! Cześć dziadku! Tata zarejestrował mnie w Akademii Piłkarskiej Legii! Muszę czekać na zaproszenie na próbne treningi. Chyba pęknię z niecierpliwości. Tylko gdzie ja będę ćwiczył do tego czasu? – dodałem zmartwiony.

– Na wszystko znajdzie się rada – powiedział dziadek Paweł i ucałował mnie mocno na powitanie.

– Łaskoczesz. Obiecałeś zgolić wąsy – przypominałem mu.

Udał wielkie zdziwienie. – Naprawdę? Nic podobnego.

– No dobrze, nie ty obiecałeś, tylko babcia Zosia – sprostowałem.

Dziadek zerknął na babcię z ukosa. – Babcia Zosia ma wąsy? Pierwsze słyszę. Jeśli ma, niech je zgoli, ja swoich nie dam tknąć.

Roześmiałem się, bo wyobraziłem sobie babcię z wąsami i golarką w ręku.

– Babcia obiecała, że cię przekona – wyjaśniłem dziadkowi.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego wciąż nosi wąsy. Nie dość że łaskotały przy pocałunku, to były niewygodne. Moczyły się w herbacie, w kawie, w zupie. Faj! Ja nie będę nosił wąsów. Gdy byłem młodszy, dziadek opowiadał mi bajki o „żółto brzuskach”, stworach które mieszkają w wąsach jak w gęstym lesie. Czasem śniły mi się, i to nie były przyjemne sny. Teraz już nie wierzę w żadne wymyślone stwory.

– Widzisz, wnusiu, wąsy czasami kryją różne tajemnice... – dziadek zniżył głos aż do szeptu.

– Twoje też? – spytałem z niedowierzaniem.

Zawahał się. – Możliwe, ale myślę o innym wąsaczu, którego wąsy były znane i sławne w całej Rzeczypospolitej Polskiej, a nawet poza jej granicami.

– I kryły tajemnicę? – upewniłem się.

Dziadek widząc moje zainteresowanie, uśmiechnął się pod wąsem. Oho, powiedziałem sobie, znów wymyśli coś fantastycznego, jakieś zielonooczeki albo krzywozabki. Uschnę z nudów, zanim skończy o nich opowiadać.

– Zapraszam na obiad – babcia Zosia zmieniła temat. – Zjesz z nami? – spytała tatę.

– Dziękuję. Muszę gnać. Dziś przyjeżdża elektryk – tata zburzył mi włosy. – Będziesz cierpliwie czekał na wiadomość o próbnych trenin-gach, prawda? – rzucił z uśmiechem i już go nie było.

Cierpliwie? To niemożliwe. Tata dobrze wie, że akurat cierpliwości brakuje mi najbardziej. Przywiozł mnie do dziadków na wakacje, bo rodzice są bardzo zajęci. Pracują i budują nowy dom pod Warszawą. A poza tym chcą, żebym lepiej poznał stolicę. Będę tu przecież trenował. Taką mam nadzieję.

Po chwili siedziałem przed talerzem zupy pomidorowej i wzdychałem. U dziadków zawsze jest obiad trzydaniowy, a ja nie lubię zup. Pomieszałem łyżką w talerzu i się skrzywiłem. Dziadek Paweł i babcia Zosia spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

– Adasiu, powiedz mi, ile łyżek zupy jest w twoim talerzu? – zapytał dziadek.

Zaskoczył mnie takim pytaniem. Spojrzałem na talerz z zupą. Był napełniony do połowy, ale ile łyżek zupy mieści?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziałem. – To ważne?

– Bardzo ważne. Jeśli nie wiesz, policz, wnusiu, a odkryjesz jedną z tajemnic wąsacza, o którym ci wspomniałem. I sprawisz nam przyjemność.

Obiecałem rodzicom, że nie przysporzę dziadkom kłopotu, postanowiłem więc spełnić niezwykłą prośbę. Nappełniłem łyżkę. – Jedna – odliczyłem i połknąłem jej zawartość, żeby sięgnąć po drugą i kolejną. Gdy doszedłem do dwunastej, talerz był pusty.

– Brawo! – babcia zaklaskała, a dziadek podkręcił wąsa.

– To był podstęp! – zrozumiałem, ale nie gniewałem się na dziadka, bo zupa okazała się wyjątkowo smaczna. – Sprytny jesteś – pochwaliłem go.

– To nie ja, to wymyślił ten wąsacz, o którym ci wspomniałem. A wiesz, tak sobie teraz myślę, że szczególnie ty powinieneś poznać go bliżej – zaznaczył i ciągnął dalej. – Kiedy jego córki, Wanda i Jagoda, grymasiły przy obiedzie, pytał je o liczbę łyżek zupy w talerzu. Oczywiście nie wiedziały, więc radził liczyć podczas jedzenia.

Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Śmiałem się trochę z siebie, a trochę z tych córek wásacza, które dały się tak nabrać swojemu tacie.

Tajemnica cygańskiej wróżby

Lubię odwiedzać dziadków, ale tym razem przyjechałem niezbyt chętnie. Odwiedziny to nie to samo co kilkutygodniowy pobyt. Dziadkowie nie mają telewizora. Wyobrażacie to sobie? Uważają, że nie jest im potrzebny do szczęścia. W dodatku ich komputer jest tak stary, że nie można na nim pograć w żadną ciekawą grę. Gdybym chociaż miał własny smartfon. Niestety, nie mam.

– Dobra nowina, jutro przyjedzie Paulinka. Namówimy ją, żeby pokopała z tobą piłkę – babcia Zosia przyniosła tę wiadomość, gdy rozpakowywałem plecak.

O nie!, jęknąłem w duchu. Paulina to moja cioteczna siostra. Jestem od niej młodszy o dwa lata i tylko dlatego traktuje mnie jak jakiegoś malucha ze smoczkiem w zębach.

– Moja cierpliwość zostanie wystawiona na wielką próbę – powiedziałem poważnie, mimo to dziadkowie wybuchnęli śmiechem.

Już wolałbym pokopać piłkę z tym wásaczem od zupy, niż z Pauliną. Ciekawe dlaczego zdaniem dziadka szczególnie ja powinienem poznać go bliżej? Może to piłkarz?

– Dziadku, czy wásacz ma coś wspólnego z piłką nożną? – spytałem.

– Hm, dobre pytanie. Mieszkał przez jakiś czas w Anglii, w kołbie współczesnego futbolu, a gdy wrócił do Warszawy, mówił z podziwem o zamiłowaniu Anglików do sportu, szczególnie do piłki nożnej. „Anglik ma drgawki w nogach, on nie może czegoś nie pchnąć nogą, ciągle coś popycha” – mówił żartobliwie, bo należał do ludzi, którzy lubią żartować.

To ciekawe. – Sam też grał? – spytałem.

– Niestety, miał ważniejsze sprawy niż piłka nożna. Ale bywał na meczach i cenił sport. A poza tym – dziadek się zawahał. – Co ci tu będę podpowiadał, resztę sam odkryjesz. Przy okazji poćwiczmy twoją cierpliwość. Niecierpliwy piłkarz to nieszczęście dla drużyny. Popęlnia więcej pomyłek niż inni, włącznie ze strzelaniem do własnej bramki.

– Żartujesz – powiedziałem bez przekonania i pomyślałem, że wąsacz był wyjątkowo dziwnym człowiekiem. Czy jest coś ważniejszego od piłki nożnej? Moim zdaniem, nie ma.

– Może jednak jest. Na przykład wolność, niepodległość, możliwość mówienia we własnym języku i życie w pokoju bez wojen i strachu – wtrąciła babcia Zosia.

– Przecież jesteście wolni, Polska jest niepodległa i mówimy we własnym języku, niektórzy nawet fantazjują o żółto brzuskach – zerknąłem z ukosa na dziadka Pawła.

Babcia się roześmiała, a dziadek uniósł dłonie. – Nie doceniacie mojej fantazji, to sobie idę. Ale pamiętajcie, że wyobraźnia pozwala przetrwać najtrudniejsze chwile w życiu. Wąsacz trzykrotnie siedział w więzieniu i gdyby nie umiał fantazjować, nie wytrzymałby w zamknięciu.

Dziadek wycofał się do swojego pokoju. Nie mogłem pojąć, dlaczego chciał, żebym zapoznał się z kimś, kto siedział w więzieniu, poszedłem więc za nim.

Na stoliku leżały karty ułożone w rządku.

– Układam pasjansa. Jeśli wyjdzie, będziemy mieć piękną pogodę tego lata – powiedział, nie odrywając oczu od kart. – Wiesz, że ten wąsacz, o którym ci wspominałem, też lubił układać pasjansy. Nadawał im różne nazwy, na przykład: „piramidka”, „zegar”, „ogonki”, „choinki”, „prześcieradło” – podniósł na mnie wzrok. – Chcesz, żebyśmy sprawdzili, czy spełni się twoje marzenie o grze w reprezentacji Polski?

Skinąłem głową. Dziadek potasował i rozłożył karty. Śledziłem jego ruchy, nie zdając sobie sprawy, że wstrzymuję oddech.

– Wąsacz w dzieciństwie też miał jedno wielkie marzenie – opowiadał dziadek. – Marzył, że jak będzie miał czternaście lat, „to świat do góry nogami wywróci, a zacznie się to od powstania...”

Chciał zmienić cały świat? Niezły z niego marzyciel, roześmiałem się w duchu.

– Wyszedł! – ogłosił zadowolony dziadek, zbierając karty ze stolika. – Jestem mistrzem w układaniu pasjansów – pochwalił się.

– Wierzysz w takie wróżby? – spytałem.

– Wierzę w te wróżby, które się spełniły. Gdy nasz wąsacz był młodzieńcem, poprosił cygankę o wróżbę. Cyganka ujęła go za rękę, spojrzała i w jej oczach pojawił się strach. Krzyknęła: „będziesz carem”, czyli władcą, i uciekła.

– I został nim? – zaciekałem się na dobre.

A dziadek na to: „Cierpliwości, wnusiu”.

Ojej, znowu ta cierpliwość! – Chociaż powiedz, czy wywrócił świat do góry nogami? – Pomyślałem, że jeśli jemu udało się spełnić marzenie, to może i moje się spełni.

– Tyle mogę ci zdradzić. Wywrócił swój świat nie tylko do góry nogami, ale i do góry brzuchem – odparł dziadek i zaśmiał się cicho.

Małgorzata Strękowska-Zaremba,

Marszałek Józef Piłsudski

Seria *Polscy Superbohaterowie*

Wydawnictwo RM, Warszawa 2017, ss. 103,

ISBN 978-83-7773-757-6, oprawa twarda

W serii ukazała się również książka

M. Strękowskiej-Zaremby pt. *Rotmistrz Witold*

Pilecki oraz M. Sobieszczak-Marciniak pt.

Maria Skłodowska-Curie



Piotr Wojciechowski

Kloszard, prorok, cwaniura

Dla potrzeb mojego laptopa z grubsza przetłumaczyłem parę nazw internetowych. Twitter to u mnie ćwierkun, Facebook to *gęboksięga*, a You Tube to *Ty Rura*. O ćwierkunie i gęboksiędze nic nie powiem, bo nie ma kiedy ich używać, chęci też brak. Za to na Ty Rurze czasem się coś znajdzie. Ostatnio posłuchałem radiowych wiadomości o konferencji, jaka obradowała w Bydgoszczy, poszukałem na Ty Rurze i znalazłem. 9 godzin, 21 minut i 1 sekunda nagrania, można posłuchać i zobaczyć, jak twórcy, naukowcy, urzędnicy państwowi, prawnicy radzą razem nad statusem prawnym i społecznym artysty. Tytuł sympozjum, jednego z serii państwowo społecznych sympozjonów „Artysta profesjonalny na rynku pracy – definicje, narzędzia, uprawnienia”.

Radzono tam o nas, ale nie bez nas, reprezentowała pisarzy pani mece-nas Monika Mosiewicz z Pabianic, poetka i laureatka nagród poetyckich, ostatnio współtworząca z prozaikiem Jackiem Dehnelem stowarzyszenie o nazwie Unia Literacka.

Nie miałem czasu, aby oglądać materiały z sympozjum minuta po minucie, zorientowałem się jednak, że zwołano to spotkanie, bo z Unii Europejskiej nadeszła dyrektywa, aby świat kultury i sztuki lepiej uporządkować. Chodziło więc o to, kogo należy uznać za twórcę lub artystę, jak ustawić wokół niego przepisy opodatkowania, składek zdrowotnych, emerytury, państwowego wspierania twórczości.

Kiedy spotykam kogoś – rozpoznaję czy jest on artystą czy nie. Nie myślę się nigdy. Nikomu jednak nie potrafię powiedzieć, po czym poznać artystę. Słowa są na powierzchni, a ta prawda jest głęboko. Nie pojmuję więc, jak można było jechać do Bydgoszczy na taką konferencję. Wypada jednak przypuszczać, że większość uczestników, pojechała tam z poczuciem, że trzeba, że coś wyniknie z tego spotkania.

Zdziwiłbym się, gdyby wynikło. Nie trzeba być profesorem socjologii, ani dyrektorem departamentu, aby wiedzieć, że gdyby władzę namówiono do załatwienia czegoś artystom, gdyby dano im prawo do darmowych pobyków w domach pracy twórczej, do taniej i skutecznej pomocy prawnej w kontaktach z wydawcami, właścicielami galerii, producentami

i dyrektorami teatrów – gdyby utworzono dogodny systemu ubezpieczeń, zwiększono pulę zapomóg dla słabych i chorych twórców, nic by to nie dało. Pomoc dotarłaby do zwartej i roszczeniowej hordy uzurpatorów, do cwaniactwa łasego na darmość. Do prawdziwych twórców niewiele by dotarło. Albo nic. Oni nie będą się pchać, oni wytrzymają, albo zginą. Oni nie po to są twórcami.

A może mimo to, warto? Warto sypnąć grosza cwaniakom i kombinatorom, jeśli jest choćby mała szansa, że pieniądze wspomogą zagubiony talent, bezradnego samotnika szlifującego arcydzieło, albo niebieskiego ptaka, który nie zna się na stopach procentowych, ale sypie jak z rękawa radość i wzruszenie. Czy są jeszcze tacy?

Wśród zabierających głos na konferencji wielu było takich, którzy świetnie znają organizację rynku sztuki w bogatych państwach Zachodu i w USA, poznali tam i studiowali nawet zasady polityki państwowej wobec artystów. W dyskusji wynikało wielokrotnie, że ich wiedza nie na wiele może się przydać u nas. Czterdzieści lat realnego komunizmu, czterdzieści lat kształtowania się stylu bycia artystą w PRL-u, uformowało środowiska, związki twórcze, sposób myślenia urzędników i polityków. Minęło ćwierć wieku nowej wolności, zmieniły się konstytucje, kodeksy, instytucje, ale niewiele zmieniło się w głowach. Inercyjnie myśli się modelem, który zrodził „domy pracy twórczej”. Ten nowy kapitalistyczny świat okazuje się zbyt skomplikowany, poplątane ma zależności popytu, podaży, mediów, prestiżu, rządów i samorządów. Dyskutanci w Bydgoskim Teatrze bezradnie krążyli wobec podstawowych pytań.

Pamiętam, że jeden z mędrców, jakich mi dane było spotkać w młodości, wrocławski profesor Mieczysław Cena mówił o charyzmacie twórczego spokoju i twórczego skupienia, a mnie wtedy nawet do głowy nie przychodziło, że mogę zarabiać pisanem. Teraz myślę, że taki charyzmat nadaje się na jedno z kryteriów wyróżniających artystę z tłumu współziomków. Byłoby to kryterium niezawodne, a równie bezużyteczne jak wszelkie inne proponowane na konferencji.

A proponowano ich bardzo wiele. Uznać za artystę czy twórcę tego, co należy do stowarzyszenia twórców. Uznać tego, co ukończył właściwe studia artystyczne, albo jako ekstern zdał egzamin przed odpowiednią komisją. Muzycy postulowali kryterium mistrzostwa warsztatowego i osiągnięcia klasycznych ideałów piękna. Poetka i pani adwokat w naszym imieniu proponowała, aby twórcą był ten, który uzyskuje przychód z działalności artystycznej. Bez oceniania jakości dzieł – jeśli się sprzedają, jest przychód.

Mówiła też, aby oddzielić definicję artysty od definicji działalności twórczej. Inni domagali się komisji, która oceniałaby dorobek. Tancerzom potrzebna jest ustawa pozwalająca na wcześniejszą emeryturę. Inni chcieli, aby liczył się staż w zawodzie artystycznym. Albo żeby komisja opracowała katalog czynności twórczych. Jaki sens tego? Co postanowi władza? Bardzo gorzko i słusznie mówił o braku solidarności artystów aktor Olgierd Łukaszewicz. Co mogą o sobie zadecydować artyści, jeśli im brak solidarności?

Te podstawowe pytania warto stawiać. Oddalam się od dyskutantów i idę drogą własnych obserwacji i doświadczeń.

Dlaczego idzie się „na artystę”? Są przecież godne zawody, zawody zawsze potrzebne – dentysta, piekarz, policjant, kolejarz. Kiedy przychodzi mi stykać się ze studentami wyższych szkół artystycznych, zawsze proszę ich – odpowiedzcie sobie w sercu – dlaczego nie wybraliście uczciwego zawodu. I zawsze ich ostrzegam – zawody artystyczne to są zawody ryzyka. Tego jestem pewien szczególnie teraz, kiedy jakiś miesiąc temu wysłuchałem konferencji o pięknie w serii spotkań z cyklu „Dziedzinić dialogu”. Usłyszałem, że w biegu po piękno sztuka przegrała z masową produkcją towarów luksusowych. One są naprawdę piękne. Artyści wiedzą, że przegrali. Ci, co chcą pozostać na rynku, odżegnują się od piękna, ozdabiają swoje dzieła agresywną szpetotą, albo słuszością społeczną, albo erotyczną drastycznością czy nadętą tajemniczością. A społeczeństwo zaczyna sobie uświadamiać, że da się żyć bez artystów i bez tego, co oni dziś oferują. Ludziom brakuje przecież czasu nawet na skonsumowanie rozrywki!

Nie na darmo nazywa się twórców cyganerią. Cygan nie czuje się społeczeństwem – on widzi społeczeństwo jak las. On nie jest lasem. Ale wie, że jak się potrudzi, jak będzie miał szczęście, jak się nie da przyłapać – nazbiera jagód i grzybów, przyniesie chrustu na gorąjkę, wypasie konie na polanie. Nie będzie pytał, czy mu wolno, nie będzie domagał się praw do chrustu i popasu na polanie. Zostanie, albo go wypędzą.

Artysta jest wypędzony ze społeczeństwa przez charyzmat, przez talent, przez swoje zranienie, przez nadmiar, którego już nie daje się udźwignąć. Artysta jest wezwany do społeczeństwa przez społeczną krzywdę, przez arogancję i pazerność władzy, przez swoją własną arogancję, która pozwala mu rozdawać piękno. Rozdawać nawet tym, którzy nie piękna chcą, a rozrywki.

Artysta przenika absurd świata. I właśnie ci artyści, którzy nie dbają o pozycję na rynku, z tą swoją arogancją pozwalają sobie dawać odpowiedzi na pytania o sens – o sens życia i przemijania, o sens wojen i miłości,

o sens historii. Pytają ich czy nie pytają, formułują odpowiedzi starając się, aby były piękne, mądre i oryginalne.

Artysta formułuje więc odpowiedzi dotyczące sensu, pisze je, maluje, zamyka w dźwiękach muzyki, w formach budowli. A potem boryka się ze swoim sumieniem, czy zrobił to dość mądrze, dość pięknie. Bo są tacy, którzy pięknu próbują być wierni.

Całe życie idzie artysta po kruchym lodzie – jego zarobki są niepewne, jego sława chwilowa, jego talent kapryśny. Jak się idzie po kruchym lodzie, to chce się czegoś chwycić. Nic więc dziwnego, że artysta próbuje być także kim innym. Chwyta się biznesu, czy choćby rzemiosła, chwyta się polityki, chwyta się urzędów, chce do czegoś należeć, być w grupie. A twórczość wymaga samotności – dlatego próby życia podwójnego kończą się frustracją, alkoholizmem, uzależnieniem, rozpadem rodzin, depresją. Często wyniosła samotność prowadzi do tego samego, albo i niżej. Bo kto idzie po kruchym lodzie, to czasem upada, czasem idzie pod lód.

Artysta musi jednak być pyszny i wyniosły, jakże bowiem inaczej wśród wrzawy sensacji i promocji mógłby domagać się wysłuchania, wysokich ocen, honorariów, nagród. Musi pchać się na pierwsze miejsca,



Optymir i jego guru. Rys. Piotr Wojciechowski

bo konkurencja rośnie, a po tak zwanych kryteriach został popiół i śmietnik. Postmoderniści rozwalili kryteria i odeszli nie zostawiając właściwie niczego poza ponętą ideą „różnicy”. A jak jej użyć, skoro daremne jest szukać różnicy pomiędzy artystą a cwany partaczem?

Artysta, nawet ten z sukcesem, sławą, prasą dostaje nieustanne lekcje pokory. Dają mu je ci, którzy mu zazdroszczą, dają mu krytycy, jurorzy, publiczność, najbardziej jednak gorzkie dostaje sam od siebie. Tak przynajmniej twierdzą ci, którzy czytali zapiski Andrzeja Wajdy. Można to także wyczytać w wypowiedzi Józefa Czapskiego, zanotowanej w czerwcu 1985 roku w rozmowie z Jacquesem Cousteau:

Hokusai, kiedy miał lat 80 uznał, że musi żyć lat 110, bo tylko wtedy uda mu się zostać prawdziwym malarzem. Zmarł jednak, przypadkiem, w 92 roku życia. Przedtem wyznał, że gdyby dane mu było jeszcze pięć lat, to wtedy zostałby wielkim malarzem. A Cézanne! Aż do końca mówił, o czym pisał w liście do syna: „myślę, że czynię wreszcie nieznaczące postępy”. I to jest, uważam, właściwy sposób myślenia malarza.

Tak, ten sposób myślenia jest właściwy prawdziwym malarzom, wszystkim prawdziwym artystom. Wątpię, czy urzędnicy, politycy, prawnicy i profesorowie potrafią na podstawie tej wypowiedzi określić status artysty i zapisać go w kodeksy. Andrzej Strumiłło, uczeń Strzemińskiego, kolega ze studiów Andrzeja Wajdy, Andrzeja Wróblewskiego, Waleriana Borowczyka, ma już 90 lat. Pisarz, malarz, fotograf, kolekcjoner, zaczyna rzeźbić w kamieniu.

Piotr Wojciechowski

Jerzy Binkowski

„Polska moja miłość” Jana Polkowskiego

Książka wzrusza czułą wrażliwością. Inspiruje głębią komentarzy. Autor wstrząsająco celnie formułuje diagnozy. Zachwyca precyzją opisów. Szokuje radykalizmem sądów. Jan Polkowski jest gotów oddać życie swoje, aby obronić Umiłowaną. Pragnie uchronić tajemnicę życia, które Ona – Polska skrywa w sobie.

Polska z zadrą zdrady

„Zdrada” – to gorzkie (bo pełne goryczy) słowo, zdaje się przenikać każdą myśl o samotnej Polsce, umieszczonej przez los pomiędzy wschodnio morderczym ruskim nacjonalizmem i komunizmem a zachodnio wyrafinowanym i zbrodniczym niemieckim faszyzmem. Bezwzględność bandytów okraszona została tłustą zdradą Anglików i Amerykanów. Samotność Polski jest „(...) śmiertelnie ukryta w wojskowych rozkazach, politycznych manifestach, międzynarodowych traktatach, dyplomatycznych uprzejmościach, programach szkolnych, moralnych zaklęciach i religijnych modłach” (...) Wojny nie mają zwycięzców. Zostawiają i zostawiły krwawe rany w ojcach naszych ojców, w naszych ojcach a w nas – igrają cienie zbrodniarzy i odbłask łez ofiar zbrodni a także krzyk bohaterów budzących do walki – wydawałoby się beznadziejnej – o wolność, o honor, o Matkę.

Dlaczego potomkom komunistycznych bonzów, posadzonych na stołkach IV władzy przez rodziców uwikłanych w morderczy system, których dzieci nie miały sił i odwagi aby go zanegować (analogicznie jak większość potomków zbrodniarzy niemieckich), tak bardzo zależy, aby Polska nie była Polską? Aby Polski nie było? Jej kultury? Języka? Religii? To jest dopiero ZDRADA – krzyczy w rozpacz Jan Polkowski, nawiązując do sposobów ochrania zbrodniarzy niemieckich przez niemieckich prawników, twierdzących, że to co było legalne wcześniej (w czasie wojny), nie może być teraz osądzone jako nielegalne!!?

Język polski

A przecież Polska w swoim języku jest najpiękniejsza. Tylko w polskim języku znajdziemy słowa, które przybliżają nas do drgnień własnego serca. W dźwięcznym i pogodnym akordzie matczynej miłości odkrywamy

intensywność i głębię swojego zachwyty, smutku, uwielbienia, namyslenia, modlitwy, kontemplacji. To po polsku jedynie można powiedzieć za Kochanowskim: „Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary (...)”. To dzięki Miłoszowi wzruszeni płaczemy, gdy czytamy:

*TO jest jak kiedy syn króla wybiera się na miasto i widzi świat
prawdziwy: nędzę, chorobę, starzenie się i śmierć.*

*TO może też być porównane do nieruchomej twarzy kogoś,
kto pojął, że został opuszczony na zawsze.
Albo do słów lekarza o nie dającym się odwrócić wyroku.*

*Ponieważ TO oznacza natknięcie się na kamienny mur,
i zrozumienie, że ten mur nie ustąpi żadnym naszym błaganiom*
(fragment wiersza Czesława Miłosza pt. „TO”)

Jan Polkowski, będąc surowym komentatorem zdarzeń z historii niewolnictwa narodu polskiego, jest wyjątkowo łaskawy wobec Czesława Miłosza i temu poetyckiemu koryfeuszowi wybacza załamanie linii życiowej, gdy wielki poeta poszedł na kilkuletnią współpracę z komunistami. Miłosz przyznał się do grzechu, przeprosił i zadośćuczynił swoim zaangażowaniem w poszukiwaniu dostojnego piękna języka polskiego. Szanuje Tadeusza Różewicza, godząc się z jego postawą unikania zależności od komitetów partyjnych. Przesmiewa natomiast literatów – pieszczochów systemu. Naigrawa się m.in. z Iwaszkiewicza, Strykowski, Tadeusza Kubiaka, z jednoczesnym hołdem wobec osoby i twórczości brata Tadeusza – Zygmunta Kubiaka, poświęcając badaczowi greckiej i rzymskiej kultury jeden z esejów „Europa to bezdomność”, gdzie przeczytamy: „Prawdziwe życie skupia się przecież na przeszłości i przyszłości – mówiąc inaczej – na pamięci, odpowiedzialności i miłości”

Jan Polkowski jest wyczulony na każdy fałsz, każde kłamstwo. Odnoszę wrażenie, że gotuje się w sobie, kiedy dostrzega fałsz i fałszerzy. Wrzątkiem sprawiedliwości oblewa kłamców i przyznaje się, że traci nadzieję. Pisz: „Może to starość, może skłonność do niepotrzebnego cierpiętnictwa, ale ból samotności Polski w miarę upływu lat dopadał mnie coraz częściej. Łapię się również na tym, że coraz częściej patrzę w oczy mego zmarłego Ojca. Od lat wyczuwam, że nieliczni ludzie, z którymi się stykam, nie rozumieją mojej bezradnej wściekłości i melancholijnej chandry. A ona

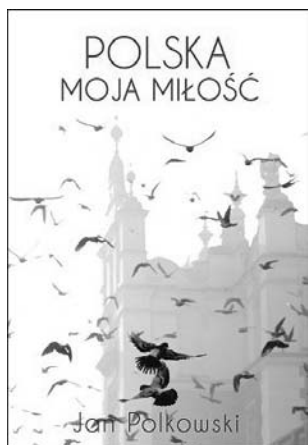
od jakiegoś czasu już nie opuszcza mnie nawet na chwilę, jakby chciała anektować bez reszty moją osobną, nie dzieloną z nikim samotność”.

Schylam głowę przed pisarzem, który nie kryjąc się w jakiegokolwiek konwencji literackiej, pisze serię artykułów o piekącym bólu miłości ojczyzny. Janowi Polkowskiemu należą się podziękowania w imieniu wielu czytelników, którzy wyczekują Jego przemyśleń w kolejnym numerze tygodnika „wSieci”. Dziękuję i gratuluję redaktorom wydawnictwa Pro Patria. Książka „Polska moja miłość” może stanowi zaczyn przebudzenia ze stanu hibernacji, który jest fizjologicznym stanem organizmu polegającym na spowolnieniu procesów życiowych o charakterze przystosowawczym a zwiększającym tolerancję organizmu wobec niesprzyjających warunków środowiskowych. Czas otworzyć szeroko oczy.

I jeszcze jedno – czytając „Polska moja miłość” byłem wraz z gniewem Autora wobec morderców, z oburzeniem dla niesprawiedliwości i bezczelności systemów totalitarnych, z szokiem wobec idiotyzmu, perfidii oraz zachłanności a kiedy indziej ohydnej obojętności. Pomyślałem, że gdyby nie pisarstwo Jana Polkowskiego, trwałbym dalej w eleganckiej tolerancji i wyrozumiałości, zwłaszcza wobec komunistycznej przeszłości morderców z Gdyni, Gdańska, Szczecina i wielu miast Polski czasów PRL. Przecież jestem chrześcijaninem. Jestem katolikiem...

NIE! Nie wiedziałem dotychczas tak wyraziście, że jestem nieco starszym, przyrodnim bratem Jana Polkowskiego. O ileż mądrzejszy jest ten młodszy brat.

Jerzy Binkowski



Jak Polkowski, *Polska moja miłość*
Wydawnictwo Pro-Patria
Warszawa 2014 ss. 260
ISBN 978-83-939007-2-5

Jerzy Binkowski

„Ślady krwi” Jana Polkowskiego

Ślady krwi – słowa te brzmią jak zaproszenie do detektywistycznego procesu odkrywania sprawców zbrodni. Tak, zbrodnie wojny, walk plemiennych stanu wojennego, zbrodnie złamanych charakterów, kłamstw, oszustw, kombinowania, cwaniactwa, cynizmu i kpiny we współczesnym świecie, trwają w przestrzeni 376 stron. (Henryk Harsynowicz nie wie, że jest literackim everymanem). Pisarz tworzy siatkę zdarzeń, w której umieszcza pokolenie Solidarności i tym samym pokolenie stanu wojennego.

Sens tytułu pisarz ukrywa do samego końca powieści. Ślady krwi są na dłoniach ojca, z którym Henryk Harsynowicz nigdy nie chciał się utożsamiać. Tym dramatyczniej odczuwając potrzebę dookreślenia samego siebie, poszukuje odpowiedzi na pytanie: Kim jestem?

Doświadczenie sierpnia 1980 roku trwają w bohaterze powieści echem radosnego bicia serca oraz w postaci uniesionych rąk zwieńczonych znakiem „V” jak victoria. Potem wyrazistą pamięcią odtwarza odwiedziny najbliższych podczas internowania w stanie wojennym. Dynamika życia w podziemiu osiągnęła poziom zbliżający do poczucia sensu życia. Patriotyzm tych dni wzmógł w nim pragnienie dalszego dookreślenia, poprzez prośbę o sakrament Chrztu Świętego.

Paszport, w którym jednoznacznie było napisane, że jest Polakiem, zabrano mu, kiedy wraz z rodziną emigrował do Kanady. W Toronto uwidoczniła się samotność człowieka, który wyrwawszy się ze swoich „naturalnych” korzeni, doświadcza tak dojmującej tęsknoty za Polską. Bez Polski już nie potrafi żyć.

Rodzina okazuje się „bańką mydlaną” pozbawioną kolorów i mocy trwania.

Henryk Harsynowicz wraca po trzydziestu latach do ojczyzny-syneczyny, wezwany do odbioru testamentu zostawionego przez ojca.

Pisarz stwarza sobie teraz szansę opisu rzeczywistości prawno-administracyjnej współczesnej Polski. Jakże mafijna i jakże absurdalna jest owa rzeczywistość Polski postsowieckiej, jakże daleka od marzeń czasów Solidarności 1980 roku!

Mistrzostwo języka stworzonego przez Jana Polkowskiego bardzo trudno scharakteryzować. Język, którym autor objawia czytelnikowi

Polskę, zachwyca bogactwem znaczeń, odcieni, barw. Polski język Jana Polkowskiego jest jak niezbadany i nieogarniony wszechświat, który przeczuwamy, że jest, natomiast odkrywamy jego możliwości i wielkość dopiero dzięki „teleskopowi” skonstruowanemu przez autora. I co szczególnie: pisarz potrafi zastosowanymi językowymi „manewrami” uśmiechnąć się do czytelnika. Żartuje z publicystycznych schematów i „ulicznych” nawyków. Zniechęca do prostactwa. Nie jest moralizatorem. Jest uosobieniem wiary w potęgę i piękno POLSKI, objawiającej się kulturą swego języka i kulturą myślenia. Oto maleńki, a jakże smakowity fragment o miłości:

Pamiętał wyraźnie, że gdy Małgosia szła obok, wszystkie dobre i ciekawe rzeczy przybliżały się, gdziekolwiek by się ukrywały. Z pewnością podchodziły bliżej, niż do innych ludzi. Uczucie błogiej zażyłości ze wszechświatem było dziwne, bo jednocześnie w obecności Małgosi wszystko, bez wyjątku, oddalało się i cichło (str. 173).

Autor nie udziela odpowiedzi. Pisarz formułuje pytania!

Kiedys lubił mawiać: Każdy Polak ma życiorys obejmujący ponad tysiąc lat. To fascynujące mieć tak długie życie. Mamy sobie skracać życie do kilkudziesięciu lat? Amputować sobie skrzydlate, sielskorycerskie i dumne dzieciństwo Pierwszej Rzeczypospolitej, bolesne dorastanie podczas zaborów i powstań, ułańską szarżę dwudziestolecia niepodległości i zapaść drugiej wojny światowej? A czemu pomijać dzisiejszy chodnikowo-ubecki kapitalizm, odświeżony kapitalizm swojszczyzny z cudzoziemszczyzną i lekcje lokajskiego egoizmu? Nie wolno rezygnować z włączenia do naszego życia przyszłej dumnej Polski. Czemu nie anektować przyszłych stuleci, kiedy nasz kraj będzie pięknie żeglował wśród światowych burz? Czemu dusić się w chwili indywidualnego życia? Czemu rezygnować z setek lat szczęścia przekraczającego nasz krótki czas? Szczęścia moszczącego się w naszych ponadczasowych sercach, wyrastającego ponad zgubę bycia kimkolwiek, we wszystko jedno jakim kraju? (str. 345).

Odnoszę wrażenie, że spośród wszystkich znaków interpunkcyjnych, pisarza, oprócz kropek, które musi postawić na końcu zdania, najbardziej fascynują znaki pytające. Zdarza się, że charakteryzując osobę lub

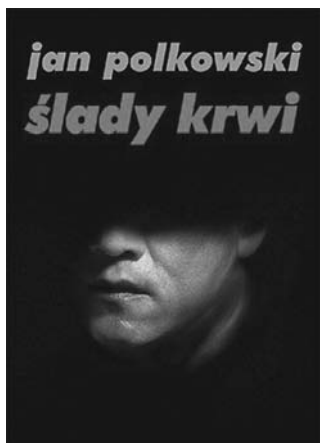
zdarzenie, autor tworzy pytania poprzez stawianie krańcowo odmiennych hipotez, sugerując odmienne interpretacje i niejednoznaczność. Czytelnik, jak każdy człowiek w swym życiu, może dźwigać ciężar niejednoznaczności. Może też wybierać!

„Ślady krwi” przypominają nam, że być Polakiem, to także przyjąć schedę, spuściznę historii w formie szczególnej: są w nas ślady krwi przodków, w tym także Rosjan, Niemców, Żydów, Białorusinów, Ukraińców...

Pewnie Autor zgodzi się ze mną, iż Polakami jesteśmy z wyboru dokonywanego przez całe życie, czyż nie? Wpisywanie się w tradycję narodu, to pełne miłostnego zaangażowania się, podłączanie do tego, co było ważne, piękne i trudne w przeszłości, aby trwało w przyszłości?

Czy głębą tożsamości Polaka może być jego przebogaty i piękny język kultury, w którym chrześcijaństwo jest solą TEJ ZIEMI?

Jerzy Binkowski



Jak Polkowski, *Ślady krwi. Przypadki Henryka Harsynowicza.*

Wydawnictwo M, Kraków 2013 ss. 440

ISBN 978-83-7595-561-3

Jerzy Binkowski

„Dżokej” Gai Kołodziej

Inteligentnie skonstruowana opowieść o dorastaniu dziewczyny. Emma już w wieku 8 lat odnalazła swoją pasję i wierna tej fascynacji, pokonuje wszelkie przeszkody w drodze do pełnego profesjonalizmu. Sposobem urzeczywistnienia marzeń staje się (uwaga!) – praca! Wytrwałość i gotowość ponoszenia trudów, w tym także bardzo ciężkiej pracy fizycznej – zadziwia czytającego i wzbudza szacunek. W dobie gadżetów elektronicznych, poczucie rzeczywistości buduje w sobie bohaterka powieści pośród zapachu końskiego łajna, wypełniając solidnie obowiązki stajennego.

Przypadki losowe z życia Emmy uwiarygodnia narracja prowadzona zaimkiem „ja”. Autorkę z Emmą utożsamiać bardzo łatwo. Prawdopodobnie dla czytających nastolatek jest ten fakt czymś bardzo ważnym, gdyż skąd by wiedziała autorka na przykład (przypuszczam, że tak myślą młode czytelniczki), jak trudny i skomplikowany w kosztach psychologicznych jest rozwód rodziców – samotność dziecka, gdy rodzina się rozpada, i towarzyszące poczucie winy, że rozwiązania małżeństwa rodziców nie udało się powstrzymać?

Inny przykład: bóle miesiączkowe dorastających dziewcząt bywają dramatycznie trudne; czy opowiedzieć o bolesnych doświadczeniach budzącej się kobiecości mógłby kto inny bardziej wiarygodnie niż młoda autorka spoglądająca dziewczęco z okładki?

Przyjaciółka Zuzanna jest biegunowo odmienna, krańcowo inna. Jest cieniem Emmy. Nigdy Emmy nie opuszcza. Jest wierną, jak cień. Wachlarz emocji rozpisany na dwie osoby wprowadza elementy refleksji etycznej i akcenty prawdziwie umoralniające, choć nie powodują smrodku dydaktycznego. Żyjąc – wybierasz swój styl. Wybieraj! Jednak przynajmniej, że tak po ludzku niemożliwe jest, aby czytelnikom podobała się jedynie i zawsze Emma! Wyciszona, zrównoważona, odpowiedzialna, troszcząca się o Mamę i Dziadków? Który z czytelników (i każdy z nas) nie pragnie czasami zapomnieć o rozsądku, zrównoważeniu.

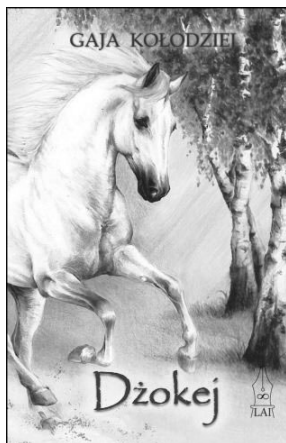
Któż z nas nie chce czasami zapomnieć o odpowiedzialności. Jakąż szaloną pokusą dla każdego jest spontaniczność (żeby nie powiedzieć:

bezmąsność): wybrać zabawę, ponad pracowitość i dalekowzroczność. Czy zawsze chcemy analizować konsekwencje własnych działań?

Dla Emmy – autorki z „cieniem” – ważne okazuje się budowanie relacji nie tylko z osobami. Ona sugeruje, że równie ważne i fascynujące mogą być relacje ze zwierzętami, potraktowanymi serdecznie tak, jakby i zwierzęta były istotami, które swoją uczuciowością mogą wzbogacić duchowość człowieka. Co ja mówię – autorka nie używa takich słów jak „duchowość”. Rozum i samoświadomość są podstawowymi cechami człowieczeństwa jej bohaterów. Natomiast życie zwierząt wypełniane jest zachowaniami instynktownymi: ciężarna Kotka, absolutnie wierny pies Zeus (wraz ze swoją uzewnętrzną natrętnie uczuciowością) oraz mityczna siła ciała Mefisto – starszego i pięknego Konia po przejściach.

W czasach impulsywnych i kompulsywnych przyjemności autorka opisuje dojrzewanie do mądrej miłości samej siebie i tym samym dojrzewanie do przyjęcia miłości mężczyzny. To jest proces, który przebiega w czasie; aby kochać pełnią swych osobowych możliwości, trzeba pracować nad swoimi talentami i ćwiczyć je od zarania samoświadomości. Nie warto marnować czasu. Świat współczesny dzięki cywilizacyjnym osiągnięciom jest otwarty i czeka na nas. Czasami przybiera kształt miłości dżokeja Jamesa McThorne’a.

Jerzy Binkowski



Gaja Kołodziej, *Dżokej*
 Wydawnictwo Literary Art Institute
 Warszawa 2015
 ss. 240, ISBN: 978-83-937096-4-9
 Oprawa miękka

Jan P. Grabowski

Opowieści ze słonecznego ogrodu

Lubię do księgarni wejść wprost z ulicy i do woli przeglądać książki, a nawet gdzieś przysiąść na jakimś stołeczku i czytać lub tylko kartkować te coraz bardziej „wypasione” tomy, po których lekturze nie pozostaje zgoła nic, żadne refleksje, ani jedno wspomnienie.

Rzuciwszy tylko okiem na piętrzące się tomy opasłych „bestsellerów” oglądam fotograficzne albumy przyrodnicze, ale także i mapy gwiazd, i fotografie niecodziennie pięknych minerałów.

Najdłużej jednak zatrzymuję się przy półkach z książkami dla... młodszej młodzieży. Tu doprawdy można natrafić na najprawdziwsze małe arcydzieła zarówno edytorskie jak i graficzne.

Rzecz jasna, w tych książkach, a raczej książeczkach, liczy się też, oczywiście, tekst. Ileż bowiem trzeba wyczucia, ba! pisarskiego talentu, by trafić do młodego, bardzo wymagającego odbiorcy.

„Opowieści ze słonecznego ogrodu” autorstwa Magdaleny Tinsley zainteresują nie tylko tekstem, ale zapewne także uwiodą uroczymi akwarelami autorstwa tejże Magdaleny Tinsley.

Na „Opowieści ze słonecznego ogrodu” natrafiłem w małej księgarni.

Moją jednak uwagę zwróciła cienka, bo licząca zaledwie trzydzieści stron, książeczka, niezbyt edytorsko zachwycająca (miękką okładka, klejenie zamiast szycia nićmi).

Spodobały mi się bowiem lekkie jak obłoczki akwarelki ilustrujące każdą z dwunastu słonecznych opowieści. Doprawdy, Magdalena Tinsley ma „smykałkę” do akwael, które są i pomysłowe, i zabawne.

Mam znajomego akwarelistę, którzy tworzy akwarelowe arcydzieła, chociaż nie ukończył żadnej artystycznej, malarskiej szkoły. Akwarela to bardzo trudna technika. Tym bardziej więc zachwycam się także akwarelkami Magdaleny Tinsley, która skromnie siebie przedstawia na okładce „Opowieści”, że jest z zamiłowania rysownikiem.

No, ale akwarelki to „tylko” ilustracje do „Opowieści ze słonecznego ogrodu”. Same „Opowieści”, których jest w sumie dwanaście, są zgrabne

literacko. Z przejściem i nostalgią Magdalena Tinsley opisuje, zapewne na postawie swoich doświadczeń, przeuroczy, nostalgiczny świat dzieciństwa z najprawdziwszym ogrodem dziadków, małym białym domkiem z czerwoną dachówką, zapewne na przedmieściu i przygodami, których mogą zazdrościć dzieci spędzające czas na miejskich podwórkach.

Cóż bowiem te dzieci spędzające teraz czas wśród blokowych murów, najczęściej z oczami w ekranach smartfonów, mogą doznać?

Maniek i Jasiek, dwaj bracia, główni bohaterowie „Opowieści ze słonecznego ogrodu”: a to słuchają opowieści dziadka, który im plecie bućki z łyka („Bućki z łyka”), a to jadą z dziadkiem na łękę by napoić cielaki jego przyjaciela („Co piją cielaki?”), a to w ogrodzie budują wraz z ojcem igloo („Czy koty lubią zimę? Czyli tato, bałwan i igloo”), a to z dziadkiem polują na ogrodowego kreta („Dziadek i kret”), a to zajmują się wróblem („Kiedy kwitnie mak...”), a to znajdują małego, burego kotka („Kotek i bąki”), a to dziwią się, że kury mogą się upić („Pijane kury”), a to odkrywają tajemnice strychu („Strych”) itd.

Opowieści jest aż dwanaście i nie chciałbym zdradzać treści ich wszystkich.

Dowodem wskazującym, że Magdalena Tinsley ma umiejętność opowiadania, jest to, że świat jest tu kreowany nie przez dorosłego narratora, który mówi swoim językiem; narratorem jest bowiem Maniek, młodszy z braci, lub Jasiek, ten nieco starszy. Przy czym jest to świat nie tylko z kotem Maćkiem, psem Puckiem, wszędobylskim wróblami, ale nade wszystko również z dziadkami, także z rówieśnikami chłopców, którzy mieszkają obok w małych białych domkach z czerwoną dachówką, nawiedzanych przez sąsiada Edka, wujka oraz rodziców.

Jeszcze jedna cecha wyróżnia ten akwarelowo-poetycki tomik o dwóch braciach i ich przygodach, a mianowicie... obrazowość. Dialogi są zaledwie zaznaczone, można powiedzieć, że jest ich akurat tyle, ile potrzeba. Natomiast, co – jako czytelnik z długim i jeszcze dłuższym stażem – mogę stwierdzić, to umiejętność opowiadania przez autorkę właśnie obrazami. To, moim zdaniem, dość rzadka umiejętność we współczesnym świecie, gdy prawie wszyscy piszą jak nie „powieści”, to „wiersze”.

Zwrócimy chociażby uwagę jak pięknie zaczyna się opowieść pt. „Kotek i bąki”:

Domek dziadków był jak z bajki – biały z czerwoną dachówką, czerwonymi okiennicami i drzwiami. Od frontu mieścił się ogród kwiatowy babci. Czego tam nie było: piwonie, maciejka, tulipany i kwiatki podobne do niebieskich bucików – to dzbanecznik, ulubione kwiaty Mańka. Nad bramką wejściową pochylał się fioletowy bez. Po prawej stronie domu rosła wielka grusza, z lewej zaczynał się ogród warzywny, który ciągnął się aż za dom. Było czerwcowe popołudnie...

Otwiera się zatem zaczarowany świat dzieciństwa Mańka i Jaśka, przy czym nie jest to, bynajmniej, świat nostalgiczny, bo istnieje on przedstawiony – obrazami – z werwą, z humorem, nawet z lekkim ironicznym dystansem jak ten – przykładowo – obraz na strychu ze zgarbionym ojcem, coś tam piszącym na maszynie...

Ileż poza tym – co mnie szczególnie urzekło – jest w tych „Opowieściach” poezji, o którą tak przecież trudno we współczesnych tomikach poetyckich. Ot – chociażby jak w tym początkowym fragmencie utworu „Kiedy kwitnie mak...”:

Lipiec, ogród babci pachniał i wyglądał jak zaczarowany. Wszędzie słychać było brzęczenie pszczoł i gwizd szpaków. Nic nie pomagały firanki, zawieszane przez babcię na wiśniach, dla odstraszenia ptaków, tylko w ogrodzie było ładniej, jakby drzewa szły do ślubu.

Z notki na okładce „Opowieści” można się dowiedzieć, że autorka, zapewne po wielkomijskim zamieszkiwaniu i zagranicznych peregrinacjach, osiedliła się na stałe w Parwólkach, na Mazurach.

Życzę jej zatem, ponieważ z wykształcenia jest biologiem, aby nic nie utraciwszy ze swojej akwarelowo-poetyckiej wrażliwości, po niewątpliwie udanym debiucie kontynuowała to swoje pisanie, okraszane akwarelkami, tym razem jako parwółkowe opowieści leśno-jeziorne.

Można bowiem domyślać się: ile niepowtarzalnego i tajemniczego zapewne się dzieje wśród leśnej zwierzyny, a ileż roślin na wiosnę zakwita, a jakież są tam zapewne, w tych Parwólkach drzewa, a jakież gwiazdy nad leśnymi jeziorami...

Widoków takich, przeżyć, obserwacji, refleksji, impresji itd. ani w mieście, ani nigdzie indziej nie masz. A przecież są do opisania, do przedstawienia aż cztery pory roku.

Zanim powstanie kolejna książka Magdaleny Tinsley, sięgnijmy po jej debiut. Laptop, tablet, smartfon? Owszem, ale nic nie zastąpi szelestu kartek książki i... „Opowieści ze słonecznego ogrodu”.

Jan P. Grabowski



Magdalena Tinsley,
Opowieści ze słonecznego ogrodu
 Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza,
 Warszawa, 2017, ss. 30
 ISBN 978-83-205-5667-4

Wojciech Kaliszewski

Widok na Montenegro

„Czarnogórskie klimaty” Grzegorza Łatuszyńskiego śmiało można nazwać książką pionierską. A precyzyjniej rzecz ujmując – książką przewodnikiem, prowadzącą polskiego czytelnika do granic krainy nieznanej, tajemniczej, położonej gdzieś na południu Europy, oddychającej morskim i górskim zarazem powietrzem. A przecież ten nieduży powierzchnią – kiedy się patrzy na mapę – kraj ma swoją tętniącą niezwykle wydarzeniami historię, ma wielobarwną kulturę, ma także swój – dla nas Polaków daleki, ale i jakże w wielu aspektach bliski, bo słowiańsko ukształtowany – język, ma swoich poetów, ma swój lud, który trzyma się dzielnie tego wybrzeża, kocha swoje góry, ścieżki, miasta i miasteczka, swoją niezależność, swoją przeszłość i przyszłość. To wszystko składa się na obraz rzeczywisty, przestrzenny i historyczny Czarnogóry, który rozszerza się z każdym poznany zdarzeniem, z każdym odsłoniętym pejzażem, z każdym przeczytanym wierszem i opowiadaniem, ujawniając niewidoczny przy pierwszym spojrzeniu wymiar duchowy strzegący czarnogórskiej tożsamości i rozpoznawalności wśród innych narodów. To jest kraina Montenegro, Czarnogóra, otwierająca się przed polskim czytelnikiem.

Łatuszyński poeta, tłumacz, dziennikarz i publicysta zna, czuje i rozumie ten czarnogórski świat jak mało kto w Polsce. W jego twórczości ślady czarnogórskie tworzą od dawna wyrazisty trop:

*Kiedyś wybrałem się do Budvy zimą.
I wtedy zobaczyłem żywe miasto.
I wtedy zobaczyłem jego mieszkańców.
Zwykłych ludzi, przeciętnych Czarnogórców,
dumnych nie z jakichś tam okruchów greckiej
czy rzymskiej świetności,
ale z własnej przeszłości czarnogórskiej,
z Njegoša, Petara II Petrovica, władcy tego kraju,
władcy i poety, którego
romantyczny poemat „Górski wieniec”
zawędrował pod czarnogórskie strzechy.*

To jest trop przecinający przede wszystkim czas teraźniejszy, oplatający narodziny dzisiejszej Czarnogóry, mocno trzymającej się własnej, narodowej tradycji, budującej państwowość, odnajdującej się w Europie, w bałkańskiej i słowiańskiej wspólnocie i wyraziście zarazem artykułującej potrzebę swojej niezależności. Ale – jak pisze w tym samym wierszu o Budvie Łatuszyński: *Byli tu Ilirowie, Grecy, Rzymianie / władało nią Bizancjum, zdobywali Słowianie i Saraceni*. Bogate są dzieje tej górsko-morskiej krainy, w której mieszkało i przez którą przechodziło tyle narodów. Każdy z nich pozostawił po sobie jakiś ślad i ton mowy. Warstwa po warstwie układała się historia Czarnogóry w księgę wielowątkową, zawiłą i może dlatego tak bardzo przyciągającą uwagę. Z tej niezwyklej księgi wzięły się więc „Czarnogórskie klimaty”. Już sam tytuł podkreśla dynamiczny, zmienny, trudny do przewidzenia i zaskakujący charakter nadadriatyckiej krainy. Przecież „klimaty” oznaczają wielość i zmienność, ale ostatecznie mówią o życiu, które łącząc narodziny ze śmiercią, staje się zawsze niepowtarzalne i podmiotowe.

O tym wszystkim Grzegorz Łatuszyński opowiada w swojej czarnogórskiej książce. Opowiada tak, aby ten, kto czyta, mógł stanąć jak najbliżej świata przedstawianego, aby mógł go nieomal dotknąć, posmakować, poczuć, zachwycić się jego barwami i zanurzyć się w nim, w jego lasach, dolinach i przełęczach, rzekach i morzu. Dlatego jest to opowieść nie tylko wielowątkowa, ale i wielogatunkowa, złożona z różnych form i sposobów przedstawiania rzeczywistości. Niejednorodna pod względem gatunkowym struktura „Czarnomorskich klimatów” odznacza się zarazem spójną i przejrzystą kompozycją. Jak zatem zbudowana jest książka Łatuszyńskiego? Główne filary książki stanowią przede wszystkim dwie części, które autor określił kolejno: *w literackim oglądzie* i *w oglądzie dziennikarskim*. Te dwa obszerne podstawowe bloki przedstawiające Czarnogórę obudowane zostały mniejszymi, ale równie ważnymi formami. Jest więc prolog, otwierający całość i budujący właściwy dla całości nastrój. Prologiem jest utrzymany w tonie apelu i napisany w poetyce pobudki wiersz współczesnego poety czarnogórskiego Jevrema Brkovicia zatytułowany „Montenegro”. Wiersz powstał w 1993 roku i ma wymowę zdecydowanie polityczną:

*Montenegro, tyś mym krajem, niebem, domem!
Obudź się i do walki na śmierć ruszaj!
Moja na twym grobie, twa na mej mogile,
Nad prochami na wiek świecić będzie dusza!*

Prolog, umieszczony w górnym rejestrze mowy podniosłej personifikuje Czarnogórę, czyniąc z niej postać realnego dramatu historii i kultury. Grzegorz Łatuszyński znakomicie wszedł w tę perspektywę i w *literackim oglądzie* nakreślił szkic, który można by nazwać czarnogórską epopeją przedstawiającą nie tylko rys historyczny, ale także obraz losów ludzkich, mapę indywidualnych dróg i ścieżek, prowadzących do celu, jakim było powstanie wolnej Czarnogóry. Jest tutaj proza i są wiersze. Ale przede wszystkim w tej części ujawnia się poprzez formy literackie całe piękno czarnogórskiej krainy i to nie tylko to krajobrazowe, estetyczne, ale także etyczne. Postawy, decyzje i wybory wielu ludzi złożyły się na pełny wymiar tego piękna, o którym autor – nieprzypadkowo właśnie w *literackim oglądzie* – tak zajmująco opowiada w „Czarnogórskich klimatach”.

Te poruszające impulsy znalazły swój wyraz w literackich ujęciach, w wierszach, w prozie, w liryczno-racjonalnych refleksjach. Nie ulega zatem wątpliwości, że to osobiste reakcje autora na czarnogórski świat zadecydowały o formie pierwszej części książki. W zapiskach, wierszach, opisach i fragmentach, niczym w wielowątkowym itinerarium odbija się obraz przeszły i teraźniejszy czarnogórskiej krainy, rysują się jej tajemnicze i fascynujące pejzaże, dźwięczą pieśni i opowiadania. Dostojna przeszłość miesza się z ruchliwą i dynamiczną teraźniejszością. Tutaj życie zrasta się z poezją a codzienność ze sztuką. Łatuszyński patrzy na ten świat i chłonie go oczami kogoś, kto spoglądając od strony kawiarnianego stolika, stojącego w cieniu lip rosnących przy centralnym placu miasta, sam staje się jakby mieszkańcem tej krainy:

*W Cetinju, rozpostartym w niewielkiej
kotlinie górskiej u podnóża Lovcenu,
miast powietrzem
człowiek oddycha wolnością.
W Cetinju od czasów władzy
Petara II Petrovicia Njegoša,
romantycznego poety i wieszczą narodu,
człowiek żyje poezją.*

Czarnogórskie piękno, poruszające wyobraźnię odbiorcy, zapraszające do wyprawy w stronę tych tajemniczych gór, przełęcz i dolin, stanowi równoważnik historycznych napięć, które przez stulecia dynamizowały życie mieszkających tam ludzi. Chęć poznania przestrzeni

i miejsc łączy się z imperatywem bezpośredniego poznania mieszkańców Czarnogóry. Łatuszyński opowiada o ludziach, którzy nigdy nie zapomnieli, kim są i skąd są. O tym, o trwaniu, o tęsknocie za ojczystym miejscem i o nadziei są przecież wiersze poetów czarnogórskich, których Grzegorz Łatuszyński tłumaczył na język polski i których przedstawił polskiemu czytelnikowi w osobnej antologii „Słowa, które nie śpią”. Antologia jest dla „Czarnogórskich klimatów” niezwykle ważnym literackim fundamentem, dopełnia je źródłowo.

Druga część książki została ujęta w podobną do pierwszej, ale przecież akcentującą zupełnie inny charakter tekstów formułę: *w oglądzie dziennikarskim*. Pomiędzy obiema częściami znalazło się jeszcze interludium, w którym Łatuszyński umieścił obszerny szkic. Jego bohaterem jest poeta Dusko Novaković. W jego wierszach, jak w lustrze przegląda się historia byłej Jugosławii, odbija się dramat wojny domowej, cierpienia ludzi. Interludium wprowadza nas w kwestie polityczne, historyczne i politologiczne. *W oglądzie dziennikarskim* to przede wszystkim rozmowy z ludźmi, którzy znają Czarnogórę od środka, tworzą ją sztuką, działaniem politycznym i po prostu codziennym. Łatuszyński rozmawia między innymi z Mirkiem Kowcem, Slobodanem Vukanovicem czy Milovanem Djilasem. Tutaj, w tej perspektywie Czarnogóra przedstawiana jest jakby poprzez filtr złożony z poglądów, uwag i opinii różnych ludzi – artystów, polityków, duchownych. To Czarnogóra dzisiaj, to kraj oceniany, poddawany krytyce i analizie.

Pierwszą część książki autor nazwał *osobistym odkrywaniem i przeżywaniem Czarnogóry*. Część druga stanowi natomiast próbę uporządkowania faktów, przeświecenie semantyczne pojęć oraz zweryfikowanie opinii na temat roli Czarnogóry we współczesnym świecie i o jej miejscu w Europie po rozpadzie Jugosławii i po ogłoszeniu niepodległości. Te rozmowy – prowadzone w kontekście racjonalnej analizy – dotyczą prawie zawsze kwestii osobistych decyzji i wyborów ideowych oraz politycznych. Jaka jest więc dzisiaj Czarnogóra? Jakie są jej, jako niepodległego państwa, perspektywy rozwoju? Nie da się streścić tych rozmów, trzeba je po prostu przeczytać, aby zrozumieć jak żywo i emocjonalnie reagują rozmówcy Łatuszyńskiego. A reagują tak dlatego, że Czarnogóra to miejsce, które jest dla nich ważne, które – nawet jeśli tego nie mówią – kochają nawet wtedy, kiedy je krytykują i atakują. Słowo, stanowiące często punkt wyjścia w tych rozmowach brzmi: komunizm. Stosunek do komunizmu określa w sposób bardzo wyraźny wciąż jeszcze sytuację

w Czarnogórze, ale także w innych państwach byłej Jugosławii. Okazuje się, że nie tak przecież dawna przeszłość stanowi nie do końca rozwiązany problem zarówno dla zbiorowości, dla narodów południowosłowiańskich jak i dla poszczególnych ludzi, świadków tamtych czasów. Z rozmów, które wypełniają tę część książki jasno wynika, że nie jest to jakiś jeden historyczno-polityczny problem, ale cała wieloprotblemowa rzeczywistość, bez rozwikłania której trudno kreślić plany na przyszłość. Jedną z przywoływanych tutaj kwestii jest na przykład stosunek Europy do krajów bałkańskich. Czarnogóra nie chce być traktowana jak kraina peryferyjna, nieistotna, daleka, chce być blisko i czuje się blisko Europy. A tak – niestety – często bywało i bywa do dzisiaj.

Rozmówcy Grzegorza Łatuszyńskiego odsłaniają więc całą skalę problemów, przed którymi stoją nie tylko Czarnogórcy, ale także Chorwaci, Serbowie czy Bośniacy. Milo Djukanović, były premier Czarnogóry wprost tutaj mówi: *Naszą przyszłość widzimy we wspólnocie z Europą, a nie we wcieleniu do Wielkiej Serbii*. Łatuszyński pyta nie tylko o sytuację polityczną, ale także o to, jak przedstawia się współczesne życie artystyczne w Czarnogórze, stanowiące przecież jakiś wymierny i czytelny horyzont podsumowujący i dokumentujący życie przeszłe i teraźniejsze. O tym jest na przykład rozmowa z malarzem Nikołą Gvozdenoviciem, czy z Igiorem Rakcevicem, który opowiada z kolei o historii i perspektywach kultury czarnogórskiej.

Zrozumieć Czarnogórców i Czarnogórę to ostatecznie odkryć ich i jej siłę, ich i jej piękno oraz wartości duchowe. Nieprzypadkowo Grzegorz Łatuszyński zamknął swoją książkę wierszem bardzo mocno akcentującym heroiczne strony nadadriatyckiej krainy. Oto fragment tego epilogu:

*Wyniosła i dumna
Zmyślna i rozumna
Od wieków wolności oddana
Turkom nie uległa
Mężna i przebiegła
Przez Njegoša w Wieńcu opisana*

„Czarnogórskie klimaty” to złożona opowieść o miejscu rzeczywistym i trochę mitycznym, która zachwyca *jak z bajki kraina* każdego, kto ją odwiedzi. Wszystko tutaj miesza się i nakłada na siebie, tworząc niecodzienny

konglomerat tradycji i nowatorskich wizji. Ostatecznie więc książka Grzegorza Łatuszyńskiego o Czarnogórze ukazuje to, co jeszcze dla nas nie jest oczywiste, ukazuje krainę nieznaną lub mało znaną, bogatą, dumną o wielu tradycjach, która w pełni przecież zasługuje na odkrycie i przedstawienie.

Wojciech Kaliszewski



Grzegorz Łatuszyński,
Czarnogórskie klimaty.
Ogląd literacki i dziennikarski.
 Oficyna Wydawnicza Agawa,
 Warszawa 2016, ss. 298,
 ISBN 978-83-85571-89-6.

Grzegorz Łatuszyński

Słowo jest wszystkim i wszystko w słowie

O poezji Jevrema Brkovicia

Praca nad wyborem poezji określonego pisarza to jakby szkicowanie czy wręcz malowanie jego portretu jego własnymi wierszami. Ważna jest więc gęstość, wyrazistość, bogactwo oraz intensywność barw i odcieni, zarówno myśli, jak i wrażliwości twórczej, która pozwala ten portret ożywić, zdynamizować, odpowiednio nasycić emocjami, wydobyć jego głębię poetycką i intelektualną, dal i perspektywę, którą wzrok goni, bo inaczej oczy będą puste i rysy się rozplyną.

Wyrazistość i spontaniczność to, rzecz można, najjaskrawsze przymioty poezji Jevrema Brkovicia, poety o nieokiełznanym temperamencie, co jak wulkan ze swojego wnętrza ognistą lawę i rozpalone kamienie wyrzucał z piersi wiersze pełne żaru i ognia, szczególnie te z tomu „Przekleństwo” (Prokletstvo), powstające na wygnaniu w Zagrzebiu przez cały niemal rok 1993.

To najważniejszy, wydaje mi się, zbiór wierszy w całym poetyckim dorobku Brkovicia. Rozlegający się na wygnaniu, przepełniony troską, tęsknotą za krajem, naszpikowany emocjami, nad którymi nie sposób zapanować, ten krzyk człowieka (poety) głęboko zranionego, nie znajdującego ukojenia, cierpiącego nie tylko za siebie, ale także za innych, i tych współczesnych, i tych pokutujących w mrokach przeszłości, dla których nie ma odkupienia, gdyż zaprzepaścili swój kraj przez własny egoizm lub ślepotę, nie ma równego sobie w całej czarnogórskiej, i nie tylko w czarnogórskiej, ale także w serbskiej, chorwackiej i bośniackiej poezji.

Dla Jevrema historia narodu, którą wywodzi od zamierzchłych czasów dukljańskich, i historia rodu, równie głęboko zanurzonego w przeszłości, zawsze była sprawą świętą. Ta historia w jego poezji ma swoją nieprzerwaną ciągłość, kontynuację i komunikację wielopokoleniową, której śmierć ani nie przerywa, ani jej nie przeszkadza. Żywi tu się kontaktują z martwymi i martwi z żywymi, oceniając siebie nawzajem, jak wypełniali czy wypełniają swój testament i co zostawiają czy zostawili potomnym.

Ten tom zrzędzeniem losu trafił w moje ręce w 1997 roku, kiedy odwiedziłem w Rovinju Mirka Kovača. I choć był już zadedykowany przez autora dla kogo innego, opatrzony został przez Mirka nową dedykacją: „Drogi Grzegorzu, ten egzemplarz pan Brković zostawił mi dla jednego z naszych wspólnych przyjaciół, ale szczęśliwie on się dziś znalazł w Twoich rękach. Mirko”. Tak, znalazł się i przypominał mi o Brkoviću.

Wprawdzie jako tłumacz poezji narodów południowosłowiańskich twórczość tego poety, niespokojną, osaczoną w różnych okresach mniej lub bardziej bezpośrednimi zagrożeniami, odwołującą się z niezwykłą mocą do historii, tradycji narodowych, rodowych i rodzinnych, a także do wartości przez stulecia budowanych i umacnianych w społeczeństwie, do jego starej kultury, wiary i w legendę obrosłej waleczności, od lat miałem w orbicie swoich zainteresowań, ale wciąż mi coś odsuwało moment decyzji, jakieś wcześniejsze moje plany, zobowiązania... Książka podarowana przez Mirka, która znalazła się w zasięgu mojego wzroku i ręki, nie dawała mi spokoju, dręczyła jak wyrzut. Od tamtej pory wiedziałem, że te wiersze wcześniej czy później muszę przełożyć, że jest to zapis, jaki zostawił mi Kovač.

I oto wypełniłem jego wolę i swoje wieloletnie zamierzenie, które doczekało się w końcu realizacji – zrobiłem polski wybór wierszy Brkovicia, jego poetycki portret. Te wiersze zamykają dwie dziennikarskie rozmowy. Pierwsza z autorem, druga z tłumaczem. Opisują one czas i klimat, w którym ta poezja w swojej istocie się rodziła, oraz czas i klimat, w jakim przekładana była na język polski, również ważny dla tych wierszy. Jest to bowiem, jak wcześniej zauważyłem, poezja mocno związana z rzeczywistością, którą nie tylko opisuje, ale także ją swym słowem buduje i współtworzy.

Bo słowo, a więc i wiersz, i poezja, dla Jevrema Brkovicia jest nie tylko sprawnym orężem w szermowaniu, ale także niezastąpionym narzędziem w budowaniu, umacnianiu i szerzeniu pożądanych idei i przekonań. Słowo, a szczególnie słowo poetyckie, ma tu wielką moc, więc szybko i łatwo dociera do ludzi, i zapaść potrafi głęboko w ich świadomość. W wierszu „Nadzieja w słowie” poeta wyznaje:

*Dla mnie słowo jest wszystkim i wszystko w słowie,
To moja jedyna spuścizna po dziadku i po ojcu,
Przed nią będę klęczeć, pełzać w modłach, byle mi
Ten dom nie ucierpiał, nie uległ zniszczeniu.*

Tak duża wiara w słowo mogła się zrodzić w kraju tak małym jak Czarnogóra, w którym objawił się poeta wielki, obdarzony ogromnym autorytetem, przerastający swoją epokę, wybiegający daleko w przyszłość, widzący swój świat w szerokiej i głębokiej perspektywie. Jego głos dziś rzeczywiście zdolny jest dotrzeć do każdego niemal mieszkańca, poruszyć umysły, sumienia i emocje.

Do tej pory Czarnogóra miała w swojej historii tylko dwóch takich poetów. Pierwszym był Petar II Petrović Njegoš, wielki czarnogórski romantyk, autor poematu „Górski wieniec”, władca Czarnogóry, panujący w latach 1830-1851. Drugim również jest romantyk, ale żyjący i tworzący w czasach nam współczesnych, w latach wielkiego zagrożenia dla bytu narodu czarnogórskiego i odbudowy jego państwowości utraconej po I wojnie światowej. A jest nim właśnie Jevrem Brković, który w 1993 roku z zagrzebskiego wygnania wołał:

*Montenegro, czy ty toniesz, Montenegro,
W otchłani, w odmęcie przeżywasz katusze?
Podpalają skrzydła ptaka z twoim znakiem,
Tracisz oto swą historię oraz duszę.*

Lata zagrzebskie z całą pewnością były najtrudniejszym okresem w życiu poety. Życie musiał z dala od Czarnogóry, od ukochanej Duklji, której istnienie wchodziło w fazę dramatycznej niepewności, z dala od rodziny, żony i synów, a ich los również był zagrożony, od przyjaciół, z którymi stracił kontakt, a na wielu z nich gorzko się zawiódł. Jako człowiek czynu, od lat walczący o niezawisłość swojego kraju, nie mógł się pogodzić ze skazaniem na osamotnienie i bezczynność. Nie porzucił więc jedynego oręża, jakie mu pozostawało, pióra, którym jako poeta od dawna przecież przywoływał tradycyjne czarnogórskie wartości, wyprowadzając je z zamierzchłej historii, gdyż, jak stwierdził w jednym ze swoich wierszy: „We mnie przeszłość nie potrafi milczeć”. I rzeczywiście nie milczała. Zawsze była odniesieniem do rzeczywistości, w której przyszło mu żyć, zawsze miarą, wartością i probierzem. Na niej budował swoje wyobrażenie dnia dzisiejszego w ciągłym z nią dialogu i sporze, gdyż nie wszystko brał za dobrą monetę. Nie umiał wybaczać błędów, a tym bardziej niegodziwości ani tym, od których zależały losy kraju, ani tym, co kierowali na manowce ścieżki rodowe. Dlatego pewnie w wierszu „Testament dla Dukljan” prawdziwie i szczerze wyznał: *Nigdy nie byłem poetą bez tematu.*

Tym bardziej nie był nim na wygnaniu w Zagrzebiu, gdzie sprawy kraju i rodziny spędzały mu sen z powiek.

Chociaż ważna była i jest dla niego przeszłość, to jednak nie jako nostalgiczna tęsknota do minionego, lecz jako zakorzenienie narodu na tym skrawku ziemi, a także w kulturze i tradycji, którą przez wieki budował i rozwijał, która pozwala mu trwać i przetrwać do naszych czasów. Brković nie zamierza jednak kopiować ani dzisiejszego swojego życia, ani życia narodu według wzorców z minionej przeszłości, lecz pragnie je dalej rozwijać, stwarzać mu nowe perspektywy i horyzonty, czego egzemplifikacją mogą być słowa komentarza do wiersza „Ciężko jest bez braci, a jeszcze ciężiej z braćmi”.

Nie jest tym samym: odziedziczyć Dom Ojca i zbudować swój na tej samej ziemi, ale na innych fundamentach. Drzwi domu Ojcowskiego wychodzą na Górę przed Domem. W twoim domu niech wychodzą na świat za Górą!

I o ten właśnie świat za Górą dla Czarnogóry upominała się i dziś się upomina poezja Jevrema Brkovića.

Grzegorz Łatuszyński
Warszawa, listopad 2017



Jevrem Brković, *Poezje*.
Wybór wierszy, przekład z serbskiego
i posłowie – Grzegorz Łatuszyński.
Oficyna Wydawnicza „Agawa”
Warszawa 2017.

Dominika Matuła

W poszukiwaniu tożsamości

Wyobraźcie sobie, że wybudzeni z ciężkiego snu, rozglądacie się wokół siebie i nie możecie dojść do tego, gdzie jesteście i co się wam przytrafiło. Co gorsza, nie wiecie, jak się nazywacie ani czym się zajmujecie. Jedno, co bardzo szybko do was dociera, to fakt, że brzydziecie się złem i niesprawiedliwością, a w sytuacjach kryzysowych zachowujecie się w pewien podświadomie słuszny, wyuczony sposób, świadczący o bojowej przeszłości. I to dosłownie.

Dokładnie tak czuje się Piotr Duch – bohater najnowszej powieści Krzysztofa Beśki *Cień na piasku*, która ukazała się pod szyldem Magazynu Literacko-Kryminalnego „Pocisk”. Duch to tajemnicza, niczym jego nazwisko, postać, wokół której wypadki toczą się wartko, a każda kolejna przecinająca jego ścieżkę osoba zachodzi w głowę, kim tak naprawdę jest. I właśnie sęk w tym, że Piotr Duch sam tego nie wie! No, przynajmniej do pewnego momentu. Mówią, że niewiedza jest błogosławieństwem, jednak maksyma ta kompletnie nie pasuje do Piotra, cierpiącego na amnezję, utrzymującą za grubą kotarą jego przeszłość i życie, które wiódł, zanim stracił pamięć. To poczucie zawieszenia w próżni jest dla Ducha niesamowicie frustrujące i wystawia jego pewność siebie na nie lada próbę.

Kim był? Co robił? Czy spędzając noc z piękną prawniczką Ewą, kogoś zdradził? W jakich okolicznościach opanował do perfekcji sztukę walki wręcz? No i co na jego nadgarstku robi zegarek, którego nie sposób zdjąć, a wyświetlacz bynajmniej nie wskazuje aktualnej godziny?

Na te i na wiele innych pytań otrzymujemy odpowiedź w napisanej w sensacyjnym duchu książce Beśki. Dynamiczna akcja, doskonały styl, barwny język, to wyznaczniki prozy Beśki, do których zdążył mnie już przyzwyczaić za sprawą licznych wcześniejszych powieści. Nie inaczej jest w *Cieniu na piasku*, charakteryzującym się fabułą prężną niczym muskulatura komandosa oraz językiem konkretnym niczym wojskowa grochówka w menażce. Militarne konotacje są jak najbardziej wskazane, ponieważ Beśka za sprawą swojego głównego bohatera oraz postaci drugoplanowych, jak na przykład dociekliwego dziennikarza Daniela Stefańskiego, prezentuje czytelnikowi kulisy zagranicznych misji Wojska Polskiego, które

niekoniecznie zasługują na ordery i uznanie ze strony zwierzchników sił zbrojnych i społeczeństwa.

Oczywiście, ku ucieście odbiorców nastawionych na czystą rozrywkę, Beśka serwuje nam bardzo atrakcyjną fikcję literacką, jednak czyni to w tak realistyczny i naszpikowany wysokim prawdopodobieństwem zaistnienia sposób, że zaczynamy zachodzić w głowę, czy opisane w *Cieniu...* wypadki nie miały prawa zdarzyć się naprawdę. Jeśli do tego dodamy wątki związane z działalnością na terenie Polski siatki terrorystycznej oraz mafijne porachunki, to otrzymujemy barwne tło dynamicznych scen, w których głównym aktorem jest często zdezorientowany i działający instynktownie Piotr Duch.

Przez całą lekturę książki towarzyszyło mi nieodparte wrażenie, że postać Ducha jest swoistą kombinacją szarmanckiego Jamesa Bonda oraz szukającego własnej tożsamości Jasona Bourne'a i mówiąc szczerze, takie konotacje uznaję za bardzo miłe. Zwłaszcza jeśli jest się fanem kina czy literatury sensacyjno-szpiegowskiej. Nic to, że Duch jest wpłątany w szereg trudnych do zniesienia dla przeciętnego człowieka wydarzeń i jak na jednego bohatera, dużo kłód jest mu rzucanych przez autora pod nogi. Jednak to właśnie na tym polega ten gatunek – umiejętność wypłatania się z każdej opresji to znak rozpoznawczy postaci pokroju Ducha, agentów sił specjalnych czy profesjonalnie szkolonych żołnierzy. No i za te cechy ich uwielbiamy.

Dominika Matuła



Krzysztof Beśka, *Cień na piasku*.
Wydawnictwo Pocisk,
Warszawa 2017,
ss. 320. ISBN: 978-83-63842-57-4

Piotr Müldner-Nieckowski

Dwa świetne przekłady

1. Avigdor Dagan (Viktor Fischl)

w przekładzie Katarzyny Boruń-Jagodzińskiej

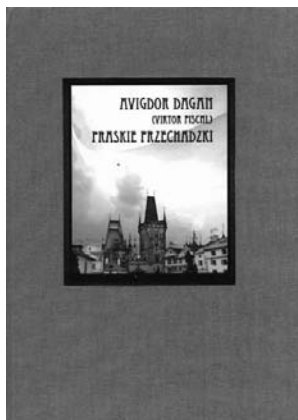
Avigdor Dagan, z naprzemiennie używanym nazwiskiem (dlaczego – szukaj w biogramie zamieszczonym na dnie książki) Victor Fischl urodził się w 1912 roku w Czechach, w Hradec Kralove, a zmarł w 2006 w Jerozolimie. Rozpięty między ojczyzną z urodzenia i języka, a ojczyzną z krwi. Był dyplomata, pisarzem i to widać w jego poezji, w której wewnątrz obrazów praskich pojawiają się motywy, których źródła można szukać w Talmudzie, historii Żydów, dziejów państwa Izrael na tle wszelkich kultur, drugiej wojny światowej i holokaustu, tak jak to czynią ci syjoniści, którzy wierzą w zbawienie świata przez literaturę. W jego prozie, a także w prezentowanych w sygnalizowanym tomie wierszach, tchnie nostalgia, marzeniem o obu ojczyznach, ale i tęsknotą za pięknem, spokojem i dobrem, którego w sumie tak jest niewiele.

*W starych domach ściany pachną starym winem.
I pachną śmiercią i podołkiem matczynym,*

pisze w pewnym miejscu i dodaje:

*Jeszcze tylko chwila, a zaczniesz czytać
tę najpiękniejszą partyturę.*

Zawsze gdzieś u Dagan – Fischla przewija się uspokojenie i oczekiwanie wolności... po śmierci w starych dekoracjach. Nie wiem, czy to eskapistyczne podejście starego mężczyzny, już tylko garbiącego się swym doświadczeniem w stronę życia, odpowiada temperamentowi tłumaczki, ale Katarzyna Boruń-Jagodzińska



Avigdor Dagan (Viktor Fischl), *Praskie przechadzki* (w sto piątą rocznicę urodzin pisarza). Wybór i przekłady Katarzyna Boruń-Jagodzińska, wyd. Miniatura, Kraków 2017. Stron 62. ISBN 978-83-8052-287-9.

nie po raz pierwszy zaskakująco dzieli się z nami kunsztem przekładcy, dyskretnie schowana za autorem, jak w wierszu „O starcach na wszystkich ławkach świata”:

*Bez snu po nocach noce ciągniemy.
I znów o wojnie – każdy nią straszy.
Ech, chyba już jej nie dożyjemy.*

A może tam w parku też z nimi siedziała? Z czapką niewidką na głowie.

2. Marina Cwietajewa w przekładzie Zbigniewa Dmیتrocy

Marina Cwietajewa (w polskiej tradycji odbioru poezji rosyjskiej bardziej znana jako Maryna...) to legenda poezji światowej. Poetycka burza. Za grosz spokoju. Szaleństwo, ale w okowach rozumu. I – tak jak Anna Achmatowa – zagadkowa; kiedyś, w głębi roku 1971, walcząc z pesymistyczną rezygnacją, napisałem o niej:

Cwietajewa

Maryna, ta pani od tajemnic,
których rąbka co chwila uchyla,
by je zatrzasnąć jeszcze mocniej,
razem z palcami intruza,
i już się szkatułka otwiera,
mam już palców – dwadzieścia pięć
i przybywa, narasta huczna harmonia,
aż w końcu wskoczę do wnętrza...

Tak, do dziś działa ta osóbką, i to nie tylko na mężczyzn.

A jednak, jednak...! spomiędzy słów wychodzi dużo materii niezna-nej lub pozornie niedostrzegalnej. Piwnice i strychy Cwietajewej ożywają. To dzięki tłumaczowi, który wydobywa z oryginałów, jak nikt przed nim, pokłady przez poetkę niejako szyfrowane za pomocą pobocznych znaczeń słów i ich asocjacji, frazeologizacji. Tego przed Dmیتrocą tłumacze zrobić nie potrafili, nawet chwalony swego czasu (moim zdaniem z dużą przesadą) Robert Stiller, który kładł nieposkromiony nacisk na seksualność tej poezji (jak i wielu innych dzieł światowych, które przekładał, w tym „Lolity”

Nabokowa). Półcień alkowy w obrazach Cwietajewej na pewno jest, ale w zupełnie innych proporcjach, tych przywróconych przez Dmitrocę.

Jego translatorskie interpretacje często szukają właśnie równowagi pojęciowej i emocjonalnej, która dominuje w oryginałach, a jeszcze częściej odkrywają świat codziennego dramatu poetki, nie tego uwznioślonego i niby odświętnego. Dla Cwietajewej poezja nie jest okazją do wznoszenia patosu. Wszystko w jej słowie ma sens rzeczowej oceny tragedii i nieprzy stosowania, ale to tkwi także w kontekstach, w poetyckich fabułach. Postać poetki dynamiczna, osobowość namiętna, skomplikowana, u niej spokoju nie ma nigdzie, nawet jej śmierć (z własnej ręki) wciąż jeszcze nas atakuje swoją obecnością.

Taka śmierć nie jest pojęciem, granicą, aktem, punktem na osi rzędnych lub odciętych ale czymś materialnym, namacalnym i stale obecnym. Zawsze ogień, płomień, błysk albo ruch, straszny sen (we śnie, jak też na jawie), trwoga, męczarnia. Świat jest okrutny, ale poetka nie znajduje w sobie pokładów dobra, o które nieśmiało, z nadzieją czasem się dopomina:

*Pod słupem pohańbienia żyjąc,
Pręgierzem sumień mej krainy,
Z piętnem na czole, w sercu z żmiją,
Powtarzam – nie ma we mnie winy.*

Jej wiersze, te dawne i te późne – wszystkie są obfite w treści, dobitne i nadal odkrywczе, zmienne zależnie od pory dnia, gatunku kawy, humoru domowników, stanu kasy państwowej, Bóg wie czego jeszcze. Każda linijka może być „na nowo nowa”. Logiczny z tego wniosek: poezja jest nieprzekładalna! Tak, ale właśnie dlatego należy ją przekładać, napisała ongiś Anna Kamieńska, i do dziś nic się w tej sprawie nie zmieniło.

Piotr Müldner-Nieckowski



Marina Cwietajewa, *Hardość i Słabość*.
Wybór i przekład Zbigniew Dmitroca
Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2017. Stron 152.
ISBN 978-83-65459-12-1

Krystyna Rodowska

Mój Wrocław poetycki

Miasto, to nie tylko punkt na mapie, miejsce, gdzie się mieszka, lub które się odwiedza czy omija. Każde duże miasto jest kosmosem: fascynuje, przyciąga, zasysa albo... wypływa ciała, które się w jego organizmie nie przyjęły.

Najdawniejszy obraz Wrocławia, jaki mający bardziej w mojej podświadomości niż pamięci, jest niesamowity: dziewczynka, może 10-11-letnia idzie z mamą do wujka, który po przyjeździe ze Lwowa, mieszka wśród pustych ulic i zrujnowanych kamienic, gdzie pohukują przeraźliwie puszczyki. Obraz ten zdaje się nie mieć nic wspólnego z malowniczo położonym miastem nad Odrą i jej odnogami, z jej wysepkami, wieżowcami, tramwajami, mostem Grunwaldzkim, gdzie tuż obok mieszka moja kuzynka Marysia z mężem.

Ale Wrocław, mój Wrocław – metropolia kulturalna, europejska stolica kultury 2016, wraz z jej świeżymi nabytkami architektonicznymi, takimi jak ostatnio wrocławski Dom Literatury, a wcześniej Forum Muzyki, to dla mnie przede wszystkim poeci, związani z tym miastem o niezwyklej historii i współczesności

Niektórzy z nich już od jakiegoś czasu nie żyją, jak Tymoteusz Karpowicz, Marianna Bocian, inni, jak Tadeusz Różewicz, zostawili po sobie jeszcze ciepłe ślady, po których wciąż chodzimy, nie tracąc nadziei na znajdowanie nowych. Jeszcze inni wciąż są i nie ustają w tworzeniu poetyckiej tożsamości miasta. To Urszula Kozioł, Janusz Styczeń, Bogusław Kierc i najmłodsza z nich – Ewa Sonnenberg, która po dziesięcioletnim pobycie w Krakowie powróciła na dobre do Wrocławia, do swojej magicznej pracowni, którą oglądałam na zdjęciu w Internecie. Wiem, że nie wymieniałam wszystkich umarłych i żywych, wciąż aktywnych i twórczych w tym buzującym energią mieście. Naprawdę jednak „moimi” są ci pierwsi, bo z każdym z nich inaczej i na innym zakręcie mojej własnej biografii zetknął mnie los, a wszyscy byli, są i z pewnością będą dla mnie ważni.

A więc Tymoteusz Karpowicz – poeta, którego osobowość i artystyczna praktyka wycisnęła silne piętno na otaczających go młodych wówczas poetach, do których i ja się zaliczałam. Jego „lingwistyczna” poezja była

trudna w odbiorze; na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych czytałam tomik „Trudny las” – od którego, o ile dobrze pamiętam, rozpoczęły się moje inicjacje Karpowiczowskie – przedzierając się nie bez wysiłku przez te słowne zasieki, podyktowane określoną filozofią języka Karpowicz w owym czasie był przez jakiś czas zastępcą redaktora naczelnego miesięcznika „Poezja”, a ja przysyłałam tam moje nowe wiersze – już po debiucie książkowym, w 1968 r., na które zawsze żywo, niekiedy krytycznie reagował, angażując się w dialog ze mną, tak bardzo potrzebny i inspirujący dla młodej poetki. Potem, kiedy został naczelnym wrocławskiej „Odry”, pielgrzymowałam raz i drugi na rozmowy z nim, których mi brakowało w Warszawie. Pamiętam, jak poruszyła mnie lektura jego eseju o Wojaczku (tytułu teraz nie pamiętam), poecie, któremu stale opiekuńczo towarzyszył: interpretował jego poezję jako wręcz masochistyczną, ryzykancką grę ze śmiercią, która go w końcu dopadła. Lektura „Odwróconego światła” – tomu, który ukazał się w 1972 r. – zbiła z tropu czytelników i wielu krytyków, nawet tak przenikliwego jak Zbigniew Bieńkowski. A potem Karpowicz wyjechał do Stanów, zaproszony na wykłady, i tam już został. Oczywiście nadal pisał wiersze i prozę, ale ta jego emigracyjna twórczość nie przebiegała się ani nad Odrą, ani nad Wisłą. W ciągu 36 lat jego nieobecności ukazała się w kraju tylko jedna jego książka poetycka „Słoje zadrzewne”, nominowana do nagrody Nike w 2000 r. Dopiero teraz, 11 lat po śmierci poety – Polaka z ziemi litewskiej, po sprowadzeniu z Chicago ogromnego – jak się okazało – archiwum, wielotomowe dzieło ma szansę się ukazać, dzięki staraniom wrocławskiego wydawnictwa Biuro Literackie i osobistym Jana Stolarczyka, byłego dyrektora Ossolineum, zaprzyjaźnionego od lat z Karpowiczem. Czy *mistrz komplikacji znaków* – jak określił Karpowicza poznański krytyk i „lingwistyczny” poeta Edward Balcerzan – zdobędzie dla siebie nowych czytelników i admiratorów? Czas pokaże.

Marianna Bocian – młodsza ode mnie, odeszła za wcześnie, w kwietniu 2003 r. Była blisko Karpowicza, sporo z niego zaczerpnęła. Choć na moje ucho, w jej bardzo retorycznej poezji na wysokim diapazonie, dawały się słyszeć intonacje biblijne, echa Słowackiego i Norwida. Marianna mówiła: *jesteś mieszkańcem krainy poplątanego słowa*. Język był dla niej wartością, naturalną jak byt biologiczny, zagrożoną przez deformację i fałsz. Poezja Marianny, autorki wielu tomików, była – mówiąc słowami Juliana Przybosa – *zamachem na wszystko*, ale ten *zamach* był tak radykalny, że – pod koniec jej ewolucji pisarskiej – wybiegał poza granice poezji, miał wymiar mistyczny i głęboko etyczny. *Początek i koniec świata / biegnie /*

przez serce człowieka – czytamy w jej filozoficzno-medytacyjnym tomie „Gnoma” (1992). Maksymalizm ambicji, ich metafizyczny adres, zaprowadził ją do poezji „konkretnej”, do języka zredukowanego do graficznego symbolu. Ale uprawiała także krytykę i zaangażowaną społecznie publicystykę. Miała trudne, pracowite życie i mocny, często niewyparzony język, gdy coś budziło jej sprzeciw i gniew.

Marianna ukończyła studia polonistyczne we Wrocławiu, tutaj także żyła i mieszkała. Ale jej serce wyrывało się do rodzinnej wioski Bełcząc na Podlasiu, do matki, której do końca pomagała w ciężkiej pracy na roli. Nie wiedziałam, że po jej śmierci nazwano ją „ikoną Podlasia” i otoczono w jej stronach swoistym kultem.

Poznałam ją pod koniec lat 70. i zapamiętałam jako namiętną palaczkę, osobę o pozornie szorstkim, niemal męskim sposobie bycia, bezkompromisową i nieulęklą w etycznych sądach. Obdarzyła mnie swoją sympatią i przyjaźnią, czemu dała wyraz m.in. w dedykacjach z różnych lat na tomikach. Zbliżyłyśmy się, poznały lepiej w trakcie festiwalu poetyckiego w Brzegu niedaleko Wrocławia, w 1994 r. Ale wcześniej jeszcze to właśnie pióro krytyczne Marianny Bocian zareagowało pozytywnie jako pierwsze na ukazanie się mojego wyboru wierszy z 12 lat „Stan posiadania” w 1981 r.

Zdążyła to zrobić, zanim – kilka miesięcy później – wybuchł stan wojenny, zawaliło się życie literackie i nikt już nie miał głowy do pisania recenzji.

Spuścizna Marianny Bocian wciąż czeka na całościowe interpretacje.

Tadeusza Różewicza z kolei nigdy nie poznałam osobiście; zabrakło mi odwagi, by napisać, czy zadzwonić do niego, choć miałam powód ważny i poważny. I zapewne zgodziłby się ze mną spotkać i porozmawiać. Bo ja rozmawiałam z nim – tłumacząc jego wiersze na hiszpański i opatrując ten przekład własną notą krytyczną, też po hiszpańsku. Mówię o niewielkiej książeczce „Poesia polaca contemporanea – Iwaszkiewicz, Przyboś, Różewicz, Herbert, Szymborska, Grochowiak y Białoszewski, Seleccion, traducciones y notas de Krystyna Rodowska” – wydanej w 1975 r., pod koniec mojego pierwszego, 10-miesięcznego pobytu stypendialnego w Meksyku na Universidad Autonoma de Mexico. Sprawdzam teraz, po przeszło 40 latach, jakie wiersze Różewicza w moim przekładzie zamieściłam: „Vi a unos locos” (Widzę szalonych), „La espina” (Cierń), „En la mitad de la vida” (W środku życia), „Las formas” (Formy), „Cuento sobre las viejas feas” (Opowiadanie o starych kobietach). Zatwierdzam ten szczupły wybór także i teraz. Nota o poezji Różewicza – podsumowująca

moje spostrzeżenia z tamtego, odległego czasu – usiłowała przybliżyć meksykańskim, latynoamerykańskim studentom nauk humanistycznych (bo do takich odbiorców była adresowana owa seria niewielkich antologii poezji różnych krajów) przewrót ideowy i artystyczny, jaki za sprawą tego twórcy dokonał się w XX-wiecznej poezji polskiej zaraz po wojnie. Nie było sprawą prostą opowiedzieć takiemu czytelnikowi w paru skondensowanych zdaniach o znaczeniu wojennych doświadczeń Różewicza i jego generacji dla przemysłów dotyczących sensu uprawiania poezji już *p o t e m*, po „końcu świata”, jaki poeta przeżył. Posłużyłam się terminem *antipoesia*, zrozumiałym na tamtym terenie dzięki znajomości dzieła Chilijczyka, Nicanora Parry – poety kwestionującego retorykę i piękносłowie poezji latynoamerykańskiej pod wpływem Nerudy.

Po hiszpańsku dalej objaśniałam postawę Różewicza: *Ya no era posible creer en la palabra bella y metafísica. El único camino era el de la antipoesia. Esta nueva conciencia del poeta tuvo que buscar nuevos medios de expresión. De ahí viene la práctica de la palabra despojada de cualquier adorno, la poética del reportaje, de diálogo o de monólogo interior, el desprestigio de la metáfora.*

Tłumacząc z hiszpańskiego: *Nie można już było wierzyć w słowo piękne i metafizyczne. Jediną drogą była antypoezja. Ta nowa świadomość musiała poszukać dla siebie nowych środków wyrazu. Stąd posługiwanie się słowem odartym z wszelkich ozdób, poetyka reportażu, dialogu lub monologu wewnętrznego, detronizacja metafory.*

W mojej antologii osobowość artystyczną Różewicza uwydatniał dodatkowo mocny kontrast z postawami i praktykami poetyckimi Juliana Przybosia i Zbigniewa Herberta. Nie kryję, że w tamtym czasie, nieodległym od moich początków poetyckich, byłam zafascynowana awangardyzmem Przybosia – poety, który zawierał nośności metafory i ambicji kreowania w słowie świata alternatywnego wobec dotykanej rzeczywistości i bezpośredniego doświadczenia historycznego. Musiało upłynąć wiele lat własnego uprawiania poezji i kontaktów translatorskich z innojęzycznymi poezjami, musiało rozrosnąć się, skomplikować, obrosnąć w sprzeczności i tajemnice dzieło Różewicza, abym zaczęła je odczytywać na nowo, doceniać w pełni jego wagę i bogactwo.

Z Urszulą Kozioł spotykałam się korespondencyjnie dość często, przysyłając jej nowe wiersze i przekłady poetyckie, z własnymi komentarzami, które chętnie publikowała na łamach miesięcznika „Odra”, gdzie prowadzi od dawna dział poezji. Pod koniec lat 90. spotykaliśmy się też osobiście

z racji wspólnego uczestnictwa w Przemyskich Wiosnach Poetyckich, których kontynuacją były wycieczki poetów z Przemyśla do Lwowa i Krzemieńca, cieszące się, rzecz jasna, ogromnym zainteresowaniem i powodzeniem.

Podziwiałam zawsze skalę talentu Urszuli Koziół; każdy z jej tomików poetyckich, a także proza, np. „Postoje pamięci”, czytane najpierw na łamach „Twórczości”, były wydarzeniem. Zestawiano ją często z Wisławą Szymborską, podkreślając odrębność wrocławskiej poetki. Filozoficzna poezja Szymborskiej ukazywała się zawsze w gorsecie nienagannej, conceptualnej elegancji, podczas gdy poetycki temperament Urszuli Koziół potrafi sprawiać językowe niespodzianki, przechylając wiersz ku kolo-kwialnie wyrażonej, nagiej emocji, co okazuje się strzałem w dziesiątkę, jak to dzieje się w wielu wierszach najnowszego tomiku „Ucieczki” (2016). W genialnym w swojej prostocie wierszu „Spadanie” czytamy: *Pytano mnie co robię / odpowiadałam / nic / tracę czas... / teraz / z braku czasu tracę siebie / teraz / zostało ze mnie ledwo tycio tycio / a ja nie mam nawet czego się przytrzymać / i wiuuu – – – / spadam*. W innym wierszu powie: *Nigdy nie byłam damą / noszę się byle jak / klnę jak szewc / chętnie piszę grubym głosem / niby woźnica / za kołnierz nie wylewam / byle w dobrej kompanii* (w tomiku „Fuga”). Poezja Urszuli Koziół potrafi być także erudycyjna i kunsztowna, przetwarzająca po swojemu motywy klasyczne, odwołująca się do rozmaitych momentów w poezji europejskiej. Znakomite i wysmakowane są jej wiersze miłosne, które zapadają w pamięć, jak choćby te dwa pierwsze wersy: *jesteś za blisko / za naocznie jesteś / żebym cię mogła zobaczyć raz wtóry*, albo takie odkrywcze błyski erotycznej samowiedzy: *czy już staję się łoskotem twojej krwi / jak ty / mojej, wargi mnie bolą z nie-pocałowania* (z autorskiego wyboru „Wiersze Niektóre”, 1997). We wspomnianym już tomiku „Ucieczki”, w drugiej jego części, autorka daje wyraz swojej wrażliwości na najnowszą historię, na odrzucany przez czynniki oficjalne temat uchodźców, we wstrząsającym, epickim poemacie „Ucieczki”, nadając teraz temu słowu powszechnie zrozumiały wymiar i nakładając na ucieczki syryjskich dzieci z czarnego rajy *dżihadystów* wryte w pamięci sceny z exodusu wojennego własnego dzieciństwa – tragedię „Dzieci Zamojszczyzny”. Zaprawdę, wielka i ważna to poezja autorki wielu tomów, obsypanej niezliczonymi nagrodami. W finale wspomnianego poematu Urszula Koziół przyznaje się do „niespożytej ciekawości świata”, która – mimo niegasnącego bólu po stracie ukochanego męża – ratuje ją przed ostatecznym pesymizmem. Owa ciekawość świata każe jej podróżować,

występować na światowych festiwalach poezji, interesować się żywo tym, co się pisze i jak się myśli w innych krajach, pisać felietony, prowadzić stałą rubrykę „W poczekalni”, od której nieraz zaczynam lekturę „Odry”.

Emblematyczną dla wrocławskiego środowiska literackiego postacią był i chyba pozostaje, mimo upływu lat, poeta Janusz Styczeń. Jedyne tak konsekwentny nadrealista w kraju, gdzie surrealizm – w odróżnieniu od czeskiego sąsiada – nie zapuścił korzeni. Zauważano także u Styczenia (który debiutował opowiadaniem w 1960 r. w „Odrze”, u Karpowicza) połączenie poetyki lingwistycznej z nadrealizmem.

Poznałam go osobiście na przełomie lat 60.-70.; lokalizuję ten fakt w czasie na podstawie dedykacji w tomikach, które mi podarował. W jednym z nich – „Rozkosz gotycka” (1980) – właśnie odkryłam list, datowany na 23.06.1980, w którym recenzuje empatycznie ówczesne publikacje moich wierszy. Janusz, po moim debiucie książkowym w 1968 roku, towarzyszył mi przez pewien czas swoją uwagą i nadzieją na przyszłość. W trakcie ostatnich dwóch dekad nasz kontakt jakby wygasł, może dlatego że ja, szastająca się po świecie, zapraszana na międzynarodowe festiwale poezji lub zanurzona po uszy w ambitnej pracy przekładowej, zaczęłam jeździć do Wrocławia częściej dopiero w latach 2008-2011, w związku z wydawaniem przez wydawnictwo Biuro Literackie moich dwóch obszernych antologii: poezji francuskiej, potem zaś latynoamerykańskiej. A on chodził zapewne własnymi drogami i na promocjach tych książek się nie pokazał (może nie interesowali go Francuzi ani Latynosi), nie tak jak głodna zawsze inności Urszula Kozioł.

Janusz Styczeń jest poetą bardzo płodnym, o uwodzielejskiej wyobraźni, która działa jak ożywcza kąpiel, obmywająca z myślowej rutyny i stereotypów codzienności. Z tomu na tom snuje swoje baśniowe opowieści, w których postacie i zdarzenia podlegają nieustannym metamorfozom, wszystko jest płynne, pojawia się i przechodzi w coś innego, jedyną realnością są fantazmaty. Styczeń to prawdziwy mistrz w budowaniu tajemnych przejść między życiem a śmiercią, między męskością a kobiecością, jawą a snem. Jedyne co go naprawdę interesuje, to ujawnianie wariantów dziwności istnienia, z pomocą *koniecznych* – jak sam wyjaśnia – *struktur artystycznych*. Z powodzeniem uprawia poezję cudzego głosu. Podmiot wielu wierszy bywa kobietą, jak choćby w wierszu „Wiwia” z „Rozkoszy gotyckiej”: *ja nie byłam marzycielką / było mi obce wszystko co błękitne... / ja byłam umarła i to od dawna*. Innym razem narrator skupia spojrzenie na kobiecie: *kobieta patrzy na zimny księżyc / i to jest jej męczyzna który*

świeci / w zimnej nocy jej gorącego serca. Ważne są tylko fantastyczne narracje, dzięki którym oczyszcza się i autonomizuje wyobraźnia, a tej – nigdy u Stycznia dosyć.

Pod skrzydłem Stycznia debiutował i wyrastał poetycki talent wrocławianki Urszuli Benki – od dawna już samodzielnej i dojrzałej osobowości artystycznej..

I wreszcie – Bogusław Kierc. Bliski, najbliższy mi spośród wymienionych i nie wymienionych wrocławskich poetów. Nie tylko dlatego, że od dawna się znamy, że współpracowaliśmy ze sobą w Komisji Kwalifikacyjnej przy Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich, której on przewodniczył, że siłą faktu czytaliśmy te same książki, a nasze gusta były zbieżne. I nawet nie tylko dlatego, że mieliśmy tego samego, dziś niemal zapomnianego Mistrza: Juliana Przybosia. Bogusław, idąc tropem Przybosia, zgłębił jak nikt Przybosiowską mistykę słowa w swojej eseistyce, w poezji zaś wyciągnął z niej ostateczne konsekwencje, wybijając się na niedoścignioną oryginalność.

Wydał ponad 20 tomików wierszy, będąc równocześnie aktywnym i cenionym aktorem, scenarzystą, reżyserem współpracującym z różnymi teatrami, związanym z Wrocławskim Teatrem Współczesnym (ostatnio – rola Prospera w szekspirowskiej „Burzy”). Bierze udział we Wrocławskich Spotkaniach Teatrów Jednego Aktora (Wróstja), realizując autorskie monodramy, w oparciu o własne tomiki poetyckie „Zaskroniec”, „Manatki”, a wcześniej spektakl, poświęcony Przybosiowi „Wzniosły upadek Anioła” (1994). Zajmował się także spuścizną Rafała Wojaczka jako edytor i interpretator jego dzieła w książce eseistycznej „Prawdziwe życie bohatera” (2007).

Artysta-człowiek-orkiestra. A przy tym, głęboko skromny i empatyczny w relacjach z innymi ludźmi. Nawet w dedykacjach na przesyłanych mi tomikach wchodził w istotne, rozbudowane rozmowy.

W stanie wojennym był związany z opozycją demokratyczną.

Pora powiedzieć: Bogusław Kierc jest wirtuozem formy wiersza, ścisłej i zarazem swobodnej. Transparentnej w wyrażeniu. Uprawia poezję rymowaną, lubuje się w formie tercyny i dystychu. Mistyczne światło obrazów sprawia jednak, że cały wiersz w trakcie lektury rozbiera się z zapętleń formalnych, oddycha w rytmie dyskretnie przeświecającej boskiej harmonii, której służy poezjowanie Bogusława Kierca. Po swoim mistrzu – Przybosiu, odziedziczył poeta wielką wrażliwość na zmysłową wartość słów, na harmonię dźwiękową wiersza (nie bez kozery jest aktorem

i wspaniałym interpretatorem poezji, także cudzej). W erotycznych przeżyciach i obrazach, którym nie odbiera dosłowności fizjologicznej, Kierc szyfruje mistyczne poszukiwanie Ukrytego Boga i to stanowi o szamańskiej wręcz sile oddziaływania tej wyjątkowej poezji, w której dają się słyszeć nieskrywane echa Mickiewicza, Słowackiego i Leśmiana. Nie ukrywam, że zachwyca mnie ta poezja.

W podwodnych wodach pływałem / w nadniebnych niebach latałem / w podziemne ziemie schodziłem / w wiecznym powietrzu błądziłem / w zimnych płomieniach śpiewałem / w gorących śniegach tajałem / niczego więcej nie chciałem / z ciała się wyzuwałem („Zachwycenie”).

Ciało, ale ciało pojmowane jako jedność duchowo-cieleśna, znajduje się w centrum liryki Bogusława Kierca: *Ciałem się zajmowałem jak chrust ogniem.*

Przedstawiając galerię moich poetyckich wybrańców z Wrocławia, nie mogę nie wspomnieć o najmłodszej z nich – Ewie Sonnenberg. Poetka debiutowała niemal jako „cudowna dziewczyna”, 19-lletnia, uzyskując od razu wyróżnienie Jaworskiej Biesiady Literackiej. Jest także pianistką: ukończyła klasę fortepianu w Akademii Muzycznej im. K. Lipińskiego we Wrocławiu. Bierze udział w koncertach poetycko-muzycznych w kraju i za granicą, choć ostatnio skupia się przede wszystkim na recytowaniu z pamięci własnych wierszy i występowaniu z innymi muzykami. Nie ma chyba pisma literackiego, w którym nie publikowałaby swoich wierszy. Można je czytać stale także na Facebooku. Ewa – jak wyznaje – całe życie podporządkowała poezji. Jej wiersze przetłumaczono na 16 języków, zamieszczono je w kilkunastu zagranicznych antologiach. W 2002 r. wyjechała z Wrocławia do Krakowa, gdzie studiowała filozofię, obroniła pracę magisterską na temat koncepcji człowieka u Hildegardy z Bingen, a jej promotorem był profesor Władysław Stróżewski, sprzyjający także bardzo jej rozwojowi poetyckiemu. Podczas 10-letniego pobytu w Krakowie Ewa Sonnenberg otrzymała prestiżową nagrodę Trakla, pracowała w redakcji pisma „Studium”, współpracowała z ambitnym poznańskim miesięcznikiem „Nowy Nurt”. Jest niespokojnym, wiecznie poszukującym duchem, opętanym wręcz pracą nad słowem. *Do uprawiania poezji* – zauważa w jednym z licznych wywiadów – *potrzebne jest jakieś niezwykle egzystencjalne doświadczenie. Przekraczanie granic. Wolność wewnętrzna... Intryga intelektualna. Odkrycia wrażliwości. Przyjaźń z żywiołem języka. Miłość.* Sama uważa się za *tancerkę słowa*. W poezji jest niezwykle ekspansywna i żywiołowa, często prowokująca, wyżywa się w formie poematu.

Poznałyśmy się w 1994 r. na festiwalu poezji w Brzegu. Od tej pory utrzymywałyśmy przyjazny kontakt sporadycznie, ostatnio podczas wspólnego występu w Muzeum Literatury w Warszawie, z racji wydania przez amerykańską poetkę i tłumaczkę Karen Kovacik antologii polskich poetek współczesnych „Scattering the Dark”.

Ewa Sonnenberg kilka lat temu wróciła do Wrocławia, gdzie m.in. prowadzi warsztaty literackie w Kawiarnio-Księgarni Nalanda. *We Wrocławiu piszę bardziej dynamicznie, ekspresyjnie. Tak to miasto wpływa na mnie. Wrocław zrobił się bardzo dynamicznym miastem* – zwierza się w rozmowie z dziennikarką.

Ostatnie słowo w moim tekście ma więc *genius loci*.

Krystyna Rodowska
Warszawa, 30.10.2016 – 2.11.2016

Pierwodruk na portalu wszystkoconajwazniejsze.pl

Konrad Sutarski

Sándor Csoóri i jego polskie powiązania

W roku 2016 zmarł w wieku 86 lat jeden z najwybitniejszych poetów i eselistów węgierskich. Przekazuję krótkie o nim wspomnienie.

Na Węgry, do Budapesztu przenieśliśmy się z rodzinnej Polski w 1965 roku i wrosłem w ten kraj, iż stał mi się on drugim rodzinnym. Los tak pokierował moim życiem, że z biegiem czasu zawarłem bliską znajomość, właściwie nawet przyjaźń z pięcioma starszymi ode mnie, znakomitymi węgierskimi poetami: Sándorem Weöresem, Györgyem Somlyó (którego stałem się nawet bliskim sąsiadem), z Józsefem Tornaim, Andrássem Fodorem oraz Sándorem Csoórim. Początki tych znajomości sięgają roku 1968, kiedy to Somlyó zorganizował II Międzynarodowy Zjazd Poetów w Budapeszcie i w Balatonfüred, na który także ja otrzymałem zaproszenie, jako że dowiedział się on, iż mieszka na Węgrzech młody poeta polski, który publikuje w polskiej prasie kulturalnej informacje o węgierskim życiu kulturalnym, dokonując również przekładów z węgierskiej poezji.

Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, a zwłaszcza później – w miarę jak poznawałem Sándora – widziałem, że była to – zwłaszcza po tragicznych dla całego narodu węgierskiego doświadczeniach z roku pięćdziesiąt szóstego – umysłowość już całkowicie niezależna, krytycznie ustosunkowana do ustroju socjalistycznego, w tym też sensie należąca do kręgu pisarzy „perlekedő” (sprzeczekających się), znajdujących się w dyskusjach z władzami państwowymi po przeciwnej stronie barykady. Wtedy charakter postawie pisarzy niezawisłych nadawali jeszcze literaci starsi, László Németh i szczególnie Gyula Illyés, jednak z upływem lat zdanie Csoórego zaczęło liczyć się coraz bardziej, przy czym w latach osiemdziesiątych, po śmierci Illyésa, on stał się faktycznym przywódcą legalnej opozycji intelektualnej w kraju.

Równocześnie Csoóri – jako poeta, eseista, człowiek pióra o patriotycznym zacięciu politycznym, ogromnie wyczulony na losy swojego kraju – szczególnie silnie interesował się Polską, tym co się u nas działo. Pojawiło się u niego chyba nawet jakieś zafascynowanie Polską, narodem, który po 1956 roku nadal nie poddawał się komunistycznej przemocy, a jednocześnie bliski był narodowi węgierskiemu.

Charakterystycznym przykładem tego było pewne wydarzenie w Krakowie z wiosny 1981 roku. Był to niesłychanie gorący czas, po wywalczeniu prawa do istnienia Samorządnego Niezależnego Związku Zawodowego „Solidarność”, liczącego już wtedy – zaledwie parę miesięcy po utworzeniu go – kilka milionów członków. Ogólnokrajowa atmosfera społecznych dążeń wolnościowych była znów tak gęsta, a może i gęstsza, aniżeli w pięćdziesiątym szóstym roku, jak gdyby powstawała rzeczywista szansa odzyskania pełnej niepodległości. Przebywałem akurat w Polsce, a w Krakowie znalazłem się w dniu, kiedy, w samym centrum tego pięknego miasta, na Rynku Głównym, odbywał się olbrzymi wiec, a głównym mówcą był Lech Wałęsa, wtedy już przywódca „Solidarności”. Atmosfera krakowskiego wiecu była podobna jak w całym kraju, podniosła i pełna uznania zarówno dla samego Wałęsy, jak i dla odważnych, nieustępliwych wobec komunistycznej władzy żądań. Po stanowiącym kulminacyjny punkt wiecu przemówieniu Wałęsy można było jeszcze zadawać mu przekazywane na kartkach i przez spikera głośno odczytywane pytania. Jedno z kolejno pytań brzmiało: „Są tutaj z wami i Węgrzy...” ...spiker nie zdążył dokończyć zdania, bo przerwał je huragan oklasków i skandowanie: „Wę-grzy, Wę-grzy”. Zdumiałem się: „jacy Węgrzy?”, ponieważ w Polsce znajdowałem się od szeregu dni i nie wiedziałem jeszcze, że parę dni po mnie przyjechał tu i był obecny na krakowskim wiecu także Csoóri, w towarzystwie młodszego, ale mówiącego po polsku węgierskiego poety (późniejszego węgierskiego dyplomaty w Polsce) – Istvána Kovácsa. Sam Sándor opowiedział mi o tym i o owej kartce po powrocie do Budapesztu. Stwierdził: „nie mogliśmy pozostać bez słowa. Tego wymagała sytuacja. Dlatego poprosiłem Pistę, aby wiadomość o naszej tu obecności przełożył na polski i zaniósł do trybuny”. Jakże ten gest wyraźnie świadczy o duchowej łączności Sándora z Polską, a przy tym o jego świetnym politycznym wyczuciu, wszak bywają chwile, kiedy nie wystarcza pozostawać niemy.

Co ciekawe, ów przyjazd do Polski zaowocował wtedy u Csoóriego przepięknym wierszem „Senkid, barátod”, przełożonym potem przez Tadeusza Nowaka. Tak jak ów wiersz był aktem olbrzymiej solidarności Sándora z narodem polskim, podobnie i przekład Nowaka stanowił gest uznania dla węgierskiego poety. A oto ten wiersz po polsku:

Sándor Csoóri Obcy, przyjaciel

Polska: Chrystus na krzyżu strzaskany przez grom,
koło twoich czerniejących ran
krąży lipcowe słońce
i roje much cerują znowu twoje kości.
Porażony tym widokiem,
jakbym leżał w gnojej komórce z toporem wbitym w ciemię
i w gęstym zwierciadle żuru
próbował dojrzeć goździk.
Mógłbym być dla ciebie młodziutkim Rakoczym,
studentem wspartym plecami o kościół,
żołnierzem tułaczem w miodnym zapachu lip,
który dopiero teraz powraca z wiecznej wojny,
a jego najbliżsi leżą nadzy w ziemi;
nad nimi jaskółki, pod nim czerwie
i z miast spalonych aż do nieba kapelusz dymu –
więc kim jestem dla ciebie mgielny kraju wielkiej wiary?
Obcy, przyjaciel, zgrzebny Madziar
łazący po twych miastach w herbach,
w samo południe o smaku jagód,
szukający w twojej żałobie
kochanki dla siebie pośród twoich dziewczyn,
bo chce wszystkiego dotknąć,
bo chce przytulić,
bo pragnie z tobą szaleć w muzyce świetlnych liści,
nozdrzami wdychać z warzywnych sklepów
smrodliwy zapach ćwikły
i znosić wszystko aż do bólu
i stać w kolejce po najdzikszą z nadziei.

Personifikacją związków Csoóriego z Polską stało się jego uczucie duchowego pokrewieństwa z Tadeuszem Nowakiem, a także z drugim wybitnym poetą – Zbigniewem Herbertem. Wspomina o tym sam Csoóri. W eseju „Írodalmunk rokona” („Krewny naszej literatury”) z 1986 roku (zamieszczonym w zbiorze „Tenger és diólevél”. Budapeszt, 1994, str. 546) pisze on o Nowaku następująco:

Wystarcza, że Nowak pokazuje się wśród nas, a przybywa wraz z nim cała Polska. Jej góry, rzeki, literatura i czas dzisiejszy. Przybywa też jej przeszłość, co echem rozbrzmiewa i u nas i przypomina nam nas samych. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, że być może podczas pierwszej wojny światowej nasi ojcowie strzelali do siebie w Galicji i wystarczyłoby, aby jedna tylko kula poleciała inaczej, a nie urodzilibyśmy się w tysiąc dziewięćset trzydziestym i nie rozsuptalibyśmy naszego nieszczęścia już nigdy. Te „przemilczenia” wiążą nas z sobą może nawet bardziej, aniżeli nici jedynomyślności.

Z kolei Nowak, który posiadał na Węgrzech swoje alter ego w osobie László Nagya, jeżdżąc dość często na Węgry – zwłaszcza dzięki licznym przekładom jego poezji i zwłaszcza powieści (takich jak „A jak królem, a jak katem będziesz”, 1970, bądź „Prorok”, 1979), szybko zadzierzgnął więzy przyjaźni także z Sándorem Csoórim. W przypadku całej tej trójki więzy duchowe zaczynały się właściwie od wspólnoty pochodzeniowej. Zanikająca już tradycyjna wieś zaczynała w ich spotkaniach i rozmowach znów pulsować życiem, ale nie tylko ona, bo głównym łącznikiem była jednak literatura, podobne widzenie natury, podobieństwo wyczucia estetyki literackiej.

Inny był związek Csoóriego ze Zbigniewem Herbertem. Długo nie znali się osobiście. To, co Sándora wewnętrznie połączyło z Herbertem – poza tym, że polski poeta i eseista był jednym z czołowych walczących z komunistycznym bezprawiem polskich intelektualistów – to międzynarodowa nagroda im. Herdera, którą Herbert otrzymał w 1973 roku, a której laureatem stał się w 1981 roku Csoóri. Oczywiście kontakt z dziełami Herberta Sándor miał już i wcześniej, wszak olbrzymie uznanie zdobyły na Węgrzech zarówno wiersze Herberta, takie jak „Tren Fortynbrasa”, zawarte w węgierskojęzycznym tomie „Az angyal kihallgatása” („Przesłuchanie anioła”, 1979), czy filozoficzne eseje „Barbár a kertben” („Barbarzyńca w ogrodzie”) opublikowane jeszcze wcześniej (w 1973 roku). Najprawdopodobniej dla tych powodów Csoóri podjął się napisania laudacji na cześć Zbigniewa Herberta w 1987 roku, kiedy to Polak został jednym z pierwszych laureatów węgierskiej, pozarządowej – wówczas posiadającej jeszcze posmak opozycyjnej, antyrządowej – nagrody im. Gábora Bethlena. Po odbiór tej nagrody Herbert nie mógł przybyć do Budapesztu. Rok wcześniej wyemigrował z Polski do Francji, osiedlając się w Paryżu, był zatem w krajach obo-

zu socjalistycznego (za „żelazną kurtyną”) osobą niepożądaną. Laudację zaczął Csoóri od słów:

Nie znam osobiście poety, którego cichej gloryfikacji zdecydowałem się podjąć. Długo wiedziałem o nim tylko tyle, że i on jest jednym z tych polskich pisarzy, którzy w dramatycznych dniach 1956 roku przesłali nam, przez granice, słowa poezji, wyrażając w nich swój podziw i ogrom obaw.

Wiem, że obydwaj poeci spotkali się dopiero gdzieś w następnych latach. Nie na Węgrzech, a w Europie Zachodniej, być może w Paryżu, gdzie Herbert mieszkał do 1992 roku, ale dokładnie gdzie i kiedy? Tego faktu nie przypominaj już żaden z nich.

Moje powiązania z Sándorem były innego rodzaju, aniżeli jego z Nowakiem i z Herbertem. Nie wiem nawet, czy nie trzeba byłoby ich nazwać „bardziej praktycznymi”, bo dotyczącymi zwykle wiedzy o Polsce, której Csoóri zawsze był ciekaw i związanymi z praktyką literacką, z przekładami jego wierszy przeze mnie, a moich przez niego. Tak jak Csoóri popierał wydanie zbioru węgierskich przekładów moich wierszy w budapestżeńskim wydawnictwie „Európa”, tak ja doprowadziłem do wydania jego poezji w krakowskim „Wydawnictwie Literackim”.

Tomik ukazał się w 1981 roku, w czasie, kiedy znów narastał i zaogniał się konflikt pomiędzy opozycyjnymi siłami społecznymi z „Solidarnością” na czele, a komunistyczną władzą. Wprowadzenie w kraju stanu wojennego, rozpoczynającego okres kilkuletniego terroru nie pozwoliło na zwyczajowy, szeroki kolportaż i sprzedaż książki Csoórego w księgarniach, ani na jej ocenę przez polską krytykę literacką. Na szczęście, mimo to, dotarła ona do wszystkich ważniejszych bibliotek polskich. Z tego tomu przytoczę jeden z wierszy Csoórego, w moim przekładzie:

Sándor Csoóri Czego mi żałujecie

Czego mi żałujecie, zwierzęta,
psy żarzące się pod oknami?
mroczniejące przy dyszlu konie?
Spiczastych butów, perłowych spinek?
Krawatu, który przepalił czas kredytowych pyłów,
jak długie letnie przedpołudnie?
Czego żałujecie, utyłane zdechlaki:

nadnienie błotnych karczem z końca wsi?
Łóżka, w którym kiedyś skonam?
Kamienie, gwiazdy powrzucone w rzekę –
skaczę po nich,
a nuż osiągnę jakiś drugi brzeg.

Tego codziennego skakania mi żałujecie?
Bądź też, że was połknąć mogę?

Ślad waszej posoki: święty obraz na ścianie.

Stękania, świsty: muzyka straceń –

Czego mi żałujecie, zwierzęta?
Miłości, dlatego że na pół rozpruta
i do bram miejskich przybita gwoździami?

Dobroci,
grzechu,
rosnących wszędzie murów ludzkich twarzy
pobielających?
Czy też zła głównego, że drzę przed sobą samym?
Tego wiersza?
tych słów pożyczonych,
które kiedyś zaryczą jak pancerny oddział
i pociągną mnie w tajemne wojny?
Złowieszczej ciszy ciała,
gdy odziewa burzę?
Drzazgi nieskończoności
i końcowych hymnów mózgu?
ostatniego argumentu komórek,
który, niczym blaszany nóż, na śmierć kiedyś podnieść spróbuję?

Konrad Sutarski

Janusz Andrzejczak

Kurko...

Kurko zielonopiórko
słońce dla ciebie
po grzędę złote
i całe podwórko
i liszka pod płotem
kurzym wzrokiem dojrzana
z samego rana

i figlarny dla ciebie
kurko zielononóżko
calutki dzionek
pod muszką

Kurko zielonooka
chcę poznać twą istotę
jak to jest
że w zielonych wciąż latasz obłokach
w zielonych fruwasz chmurach
a jesteś nietolem

Odgdakaj mi na to pytanie
kurko zielonopióra

I czy to prawda
czy tylko bajka
w zieleń zaklęta
że na przedwiośniu
zielone znosisz jajka
a z nich wykluwają się
pąki jak pisklęta
a później jest z nich lato
jak wielka zielona kwoka

Więc jak to jest z tobą

kurko zielonopiórko
kurko zielononóźko
kurko zielonooka

A jeśli...

A jeśli domku
nie uda się nam odszukać
nie będziemy się smucić
odszukamy ptaka
co kuka
a on
do gniazda nas czyjegoś
podrzuci

Słońce się będzie żółcić
las zielenieć
niebo niebieścić
i wytchniemy z siebie jedno tylko słowo
wreszcie

I wówczas
w jednej sosnowej dłubance
podryfujemy leśnym strumieniem
po lasu krańce

A tam
będzie słoneczna polana
Kanaan
i czas się dotka

Tam będzie spotkanie
z kochanymi za mało
i z tymi
z których nie dane się było
spotkać

Janusz Andrzejczak

Baśka eR.

Babcia

Andrzejowi w dniu jego straty

zawsze wiedziała lepiej
 jak smakuje dzieciństwo
 z surowym rodzicem
 i bajki
 czytała inaczej
 niczym troskliwa
 wróżka
 i zbite kolano
 mniej bolało po jej
 całusach
 i zawsze czuła
 kiedy było gorzej
 – jej przytulenia
 dawały nadzieję
 teraz świat jest trochę
 gorszy
 inny
 tęsknota zbyt ogromna
 – w objęciach jej wiary
 nic złego nie mogło
 się przytrafić

* * *

Karajan
 Nazy
 z potęgą prześladowcy
 odkrywa muzykę i ma
 władzę na naszych duszami
 poprzez piękno
 i donosy zarazem

muzyka kruszy granice
przyzwoitości
jakby sama zamarła
i nie czuła zła
jest ponad to ponad
nasze sumienia
piękno?
a może piętno
oprawca zaciera ślady a świat
mu przyklaskuje
o mroczna potęgo duszy człowieczej
broń się
albo umieraj

Baśka eR.

Jerzy Binkowski

Jesienne westchnienie

Kasztany aksamitnego brązu
jak brokat na sukience z zieleni

Skrywa się w złoceniach klonu
orkiestra w baroku wiolonczeli

Święci Pańscy zmieniają kolory
mieni się i tańczy ziemia w niebie

Błogosławiona
Niepodległa

11.11.2017

Eugeniusz Kasjanowicz

* * *

Zbigniewowi Herbertowi

Jakże mało jest dookoła słów
które wychodzą naprzeciw
oszustwu epoki
z otwartą przyłbicą
idą przez zgłiszcza
gdzie czai się
śmiertelnie zimny metal
jak niejeden pocałunek
Tutaj miesiące
mają swoją pamięć
listopad styczeń
wrzesień czerwiec
grudzień sierpień
szarpią struny serca
ocalał uliczny grajek
„guziki nieugięte”
Z dalekich śnieżnych przestrzeni
„Wilki” przychodzą nocą
do Twojego stołu
który ich nie zapomniał
i wyzwala od nicości
Słowa
wyrzeźbione z dębowego drewna
są szlachetne i wierne
kiedy zmieniają się w węgiel
i pozostanie choć jeden
uczciwy człowiek
weźmie tę twardą bryłę
i będzie nią pisał
na murach

* * *

to Zbigniew Herbert

There are so few words around
 that defy
 the deceit of the epoch
 the visors of their helmets open
 they go through ashes
 where deadly cold metal
 is lurking
 like many a kiss
 Here even months
 have their own memory
 November January
 September June
 December August
 plunk the strings of heart
 a busker has survived
 "relentless buttons"
 From the distant snowy areas
 "Wolves" approach your table
 at night
 it has never forgotten them
 and liberates them
 from nothingness
 Words
 carved from oak wood
 are noble and faithful
 when they turn into coal
 and if there is at least one
 honest man left
 he will take the hard cob
 in his hand
 and use it to write
 on walls

Translated by Zbigniew Lisowski

Adam Kulik

chwilo opadająca

chwilo opadająca ruchem ręki
 wietrzny obszarze myśli pokorniejący
 w mgnieniu co wyprzedza znak
 klepsydry spod której zbieram
 piasek ziarno po ziarnku
 – opadający skąd
 wzrastanie w co
 bliskie słyszenia tuż za skórą palców
 czuwające i gotowe światło
 dźwięku promieni grający w rączce dziecka
 śnie ciepły i przyciągający
 zostawiasz samotnych na rozdrożu
 dzieląc świat na połowy

kwitnące drzewa

odpocząć od białych czaszek
 szepczących wciąż te same słowa
 w zapamiętaniu graniczącym z szaleństwem
 odpychającym myśli jak woda dłonie

pytania nie stają się ziarnem
 ani odpowiedzi mierzwą
 i nie wiem co kiełkuje
 co rośnie obok

drzewa spokojne o wymiar
 wolne nawet z wbitymi siekierami
 przekazują sobie tajemne znaki śpiewając

hymn II

wiosną mówi do mnie idź i podrażnij wiatr
aby się oddał ze śmiechem
rozkochaj jak dziewczynę
i słyszę granie a na oczach dotyk ciepłych palców
furtian już uśmiecha się z drogi
i wrota osiadają w zieleni
lecz wiatr nie przestaje być wiatrem
prócz ptaków nikt nie woła
i nic ponad zapach bzu nie przychodzi
to żart mówię
to był tylko żart
i wracam zmęczony

hymn VIII

jeżeli zatrzymałeś stare obrazy w galaktykach
proszę daj mi je poznać
nie pragnę pieniędzy
nie ogarnie mnie żądza władzy
powinieneś przychylić się ze szczerym
uśmiechem do mojej prośby
okałeczyłem się nieodwracalnie

hymn XXX rumianki dla Alkestis

brzemienny miłością co lada chwila rodzić ma
odszukuję nieliczne romańskie portale
owe resztki naszej nad brzegami rzek
wspaniałości
która tyle razy drażniła obcych
lecz czy oddałbym się za kogo
czy ktoś poszedłby za mnie

Gabriela Kurylewicz

Św. Roch i pies

Idzie drogą św. Roch,
zbiera z ziemi nieszczęść proch.
Ma dratwę, wór, mądrego psa
i razem tworzą – cuda.

Próbują. Z czułością,
myślą, odwagą, troską
życzliwie naprawiają
konstrukcję nieboską.

Ratują zwierzęta,
lasy, łąki, rzeki –
i ludzi zbłąkanych,
starych, chorych.

Wydobywają z dna
spłukanych do cna.
Wspierają, budują,
reanimują – !

Św. Roch jest poetą,
filozofem pies.
Dlatego się ich boją
złodziej, tchórz i bies.

Grzegorz Łatuszyński

Gdyby cię kto pytał

Czym jest wiersz
Powiedziałbyś
Kroplą twojej
I mojej chwili
Błyskiem jaźni
Tchnieniem lub tylko
Westchnieniem duszy
Zwierciadłem świadomości

Czasami krzywym
Czasami rozbitym
Pogruchotanym na kawałki

Jeśli rzeczywiście pogruchotanym
Nie z założenia lecz przez przypadek
Spróbuj pozbierać ułamki
Złożyć w jedno
Odzyskać wizerunek twojego świata
I siebie w tym świecie

Albo się pokaż poukładać
te lustrzane szkiełka w mozaikę
Barwniejszą głębszą i bogatszą niż proste
Zerojedynkowe odzwierciadlenia
Wykorzystaj refleksy cienia i światła
Ruchomego światła
(słońce nie stoi w miejscu)
Zdynamizuj akcję
Obudź emocje
Nazwij pragnienia i cele
Wydobądź co ukryte w tobie i wokół ciebie
Co się czai i czyha
Co się łąsi i przymila
By cię zwodzić i łudzić

Gdyby cię kto pytał
Czym jest wiersz
Powiedziałbyś
Szukaniem prawdy o człowieku
O sobie i swoim losie
O Kraju
Jego dniu dzisiejszym i wczorajszym
O jego i twoim jutrze
O szansach i perspektywach tego jutra

O świecie niespokojnym
Nieprzewidywalnym
Którego dziś jest niepewne
I jutro niepewne
Pytasz dlaczego
I chciałbyś, żeby ci to twój wiesz odkrył
Wyjaśnił
Czy pozwolił choćby zrozumieć coś z tego

Gdyby cię kto pytał
Czym jest wiersz
Powiedziałbyś
Wysepką pamięci
Oknem na Świat
Oknem na Wschód
I na Zachód
A także
Oknem na Południe
Obdarzonym siłą magnetyczną

Zawsze trzymasz je otwarte
Gotów do drogi dalekiej
Jak ptak wędrowny
Co buduje swe życie
I tu i tam

Gdyby cię kto pytał
Czym jest wiersz
Powiedziałbyś
Jest pączkowaniem

Rozkwitaniem i umieraniem Słowa
 Tego co było na początku
 I znalazło swój Krzyż
 I rozkwitło na nim
 I podarowało nam
 Ciernistą Różę
 Nasze życie

Jest czyśćcem
 i niebem
 i piekłem...

Jest tajemnicą
 I darem niepojętym
 Podobnie jak życie

2017

Oby...

Za plecami mam restaurację i kino „Kultura”.
 Przede mną filiżanka kawy i pomnik Mickiewicza.
 Na lewo kościół św. Anny i Stare Miasto.
 Na prawo Pałac Namiestnikowski i Uniwersytet.
 Siedzę w sercu Warszawy, Warszawa w moim.
 Biję rytmem historii.
 Biję nierówno:
 co i rusz przeskakuje z przeszłości w przyszłość
 i wraca do mniej lub bardziej bolesnych zdarzeń,
 bliższych czy dalszych,
 zależnie od tego,
 na czym wzrok spocznie.

Stan pozawałowy. Ciśnienie wysokie.
 Z migotaniem.

Coraz bardziej gęstnieją chmury
 od Wschodu.

Dają się też słyszeć groźne pomruki z Zachodu.
 Czyżby?...

Siedzę w kotle historii.
Dawnej i tej, co się dzieje
na moich oczach.

Kocioł jest na granicy wrzenia.

2017

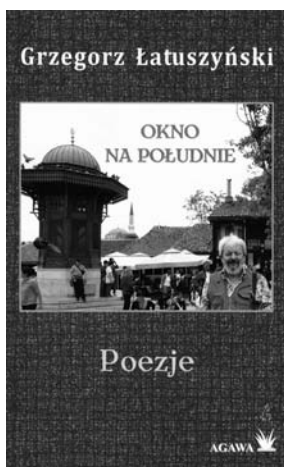
Olimpijski krążek

Ambicja, upór i konsekwencja,
systematyczna, codzienna walka
z własną słabością,
morderczy wysiłek
w przewycięzaniu trudności,
barier, ograniczeń ducha i ciała
przez miesiące i lata,
w tym krążku,
w olimpijskim brązie,
w olimpijskim srebrze
i złocie się kryje.

A także odwieczny lot Ikara.

Sierpień 2016

Grzegorz Łatuszyński



Grzegorz Łatuszyński,
Okno na południe. Poezje.
Wybór wierszy i wstęp Wojciech Kaliszewski
Oficina Wydawnicza „Agawa”
Warszawa 2017, ss. 306,
ISBN 978-83-85571-91-0

Piotr Müldner-Nieckowski

Sędzia losuje co się z tobą stanie

Za jedną monetę
możesz nabyć prawo do jednokrotnego
pozbycia się ciężarów dnia
łusek z ziarna zbóż
na które tak nerwowo patrzysz
gdy stoją na pniu

Wybierając orła możesz wylosować
dziennikarza który podłączy ci kroplówkę
lub takiego który cię przetrąci
Wybierając reszkę możesz stanąć na ziemi
w której pochowano zamordowanych obrońców
albo rozpocząć mecz ze środka boiska

Ale to sędzia sięga do kapelusza
a w kapeluszu peruka

Sędzia z trzeciej strony medalu
a pole żółte aż po horyzont

Ale to sędzia bije młotkiem w pulpit
a niebo się kurczy jak usta

(1978. Pierwodruk w tomie „Schody” 2015)

Szuflady piwnic

Szuflady piwnic, szuflady pięter twojego bloku,
tam siedzą ludzie ściśnięci jak śledzie,
wystawiają ci świadectwo, którego treści nie znasz,
po cichu z ucha do ucha, w milczeniu. Nie dowiesz się nigdy,
co chodzi z tych szuflad po mediach, wspina się, drąży tunele

ogromnego biurka na warszawskich przedmieściach.
 Ile jest skrzywień, nie dowiesz się nawet po śmierci.
 W tych portretach pod twoim nazwiskiem ciebie nie ma,
 jest kto inny, tak podobny, identyczny, wycinany wniwecz.
 Jakiś badacz zbada jakiś kawałek jakiejś deformacji
 i to będzie ten odcisk tego palca, którego nawet nie masz,
 lecz umieszczony w jego treści twój grymas, twój uśmiech,
 a nawet oddech – jesteś bezradny, nic o sobie nie wiesz
 z tego, co zostaje tam po tobie naprawdę.
 To moja rada: zapomnij, że umiesz czytać i rozumieć,
 co inni o tobie bredzą od twego urodzenia aż po kraniec Ziemi.

2017

Miłość jest po to

Miłość jest po to, żebyś była zawsze i dla wszystkich,
 i nie musiała myśleć, że coś kiedyś się skończy
 ani żeby musiał cię ktoś dotykać,
 chyba że ty zechcesz tak, jak
 słońce zakrywa sobą księżyc,
 a on wychodzi z drugiej strony
 uśmiechnięty naokoło swojej pełni.

Krystyna Rodowska

Głośno i bez głosu

MA BYĆ BÓL! – ogłosił ten na straży
zarządzonej odgórnie rzezi starodrzewu

wgniatając twarzą do ziemi
obrońcę tych co leżą pokotem
bez głosu

19.09.2017 – 21.10.2017

Krzysztof Saturnin Schreyer

Miłość życia

Bardzo bolało ją życie.
Ktoś stwierdził: to rzecz natury.
Więc życia miłość skąd brała
nad burze, otchłanie, chmury,
i nad ten ból stały ciała,
z którym zmagala się skrycie?
Jej serce radość zalewa,
bo tylu bliskich jest ludzi –
a każdy taki ciekawy!
Są jeszcze wody i drzewa
i dzień promienny, łaskawy,
a ból? O, ten nie ostudzi
ognia serdecznej zabawy .
To co ją w świecie bolało,
ów fałsz – truciznę ukrytą –
widziała i cięła śmiało,
swą racją serca niezbitą
i słowem głośnym i czystym –
jedyną bronią artysty.
Ja zaś po życiu się włóczę
pod niebem swoim zimowym.
Powinno być mi tak miło
w kokonie życia puchowym,
lecz jęczę. Czy się nauczę,
ja, gość ogólnie dość zdrowy,
bez cierpień, jak kochać życie,
gdy męczy nastrój grobowy
w dniu szarym, o sinym świecie?
Wtem sen, a we śnie to ona,
pociesza mnie rozbawiona:
Hej, miałam sen kolorowy!
Ty uśnij i śnij na jawie
mą miłość, innymi słowy
ja ci pokażę i sprawię,
że spojrzysz, jak ja patrzyłam,
na życie i... jak kochałam.

12 XI 2017

Jerzy Seipp

Kolejny poemat religijny tym razem pod tytułem „Dlaczego Bóg nie kocha samotnych?”

*(a przecież to nieprawda; to tylko
głupi ludzie zgotowali nam ten los)*

1

Była sobie bajka, a może nawet baśń.
W zasadzie nie wiem jak powstawała ale wiem,
że znalazłem się w niej nieprzypadkowo.
Historia ta mogłaby zacząć się w dniu moich narodzin
ale ponieważ oczywiste jest, że nie byłbym tym kim jestem
[gdyby moi rodzice nie byli tymi kim są –
[gdyby ich rodzice nie byli tymi kim byli etc.
jedyną rozsądną perspektywą będzie historia naszego świata
który tak a nie inaczej przyrządza ludzkie losy.

2

Kiedy sperma tryska z otworu w członku, tak naprawdę
nikt nie zdaje sobie sprawy z tych wspomnianych wyżej
[konsekwencji jakie wydarzenie to niesie dla świata
ani właściciel członka
ani osoba przyjmująca jego spermę do wnętrza swojego ciała
czy też tylko oglądająca to wydarzenie.
Nasza fizjologia aktu seksualnego
ten ciągle nieakceptowany przymus zdawałoby się zaledwie
przyjemności, i to jednej z wielu
nasz doprowadzający czasami aż do skrajnych decyzji instynkt
nieodczuwano drugiej osoby
a tak naprawdę jej genitaliów
to wszystko nie pozwala nam zastanawiać się jak zmienia się
[przyszłość świata
w chwili kiedy sławetny biały płyn spływa już to do
pachnącej zbawieniem kobiecej pochwy
do oszalałych z pożądania ust smakujących każdą jego kroplę
albo też znika w ciemności otworu nie należącego przecież
[do genitaliów

a wzbudzającego niemniejsze emocje
mimo że czai się za nim odór i kał.
Nawet kiedy umiera w cywilizacyjnym tryumfie gumowego ryngrafu
znika w odpływie kanalizacyjnym
czy tylko ścieka po ręce właściciela –
świat nie jest już taki sam.

3

Z wagi tego wydarzenia zdają sobie jedynie sprawę
kobieta i mężczyzna
walczący z przydzieloną im rolą pary bezdzietnej
i pragnący za wszelką cenę skorzystać z dobrodziejstw
jakie niesie ze sobą tych kilka kropel w y d z i e l n y z męskich
gruczołów dodatkowych ukrytych pod atrakcyjną
[powłoką delikatnego jak jedwab
[woreczka z dwoma jajami w środku.

Tylko oni wiedzą
Jak starannie trzeba wybrać tę jedną jedyną chwilkę
ważniejszą od karier i największych bogactw naszego świata
swoje ciała ułożyć w ten jeden jedyny właściwy
czasem wręcz akrobatycznie niewygodny sposób
wprowadzić dostatecznie głęboko i pod odpowiednim kątem
[ten jakże samodzielny
wymykający się wszelkiej kontroli podłużny kawałek ciała
jak nic innego na naszym świecie personifikujący bezczelną
niczym nieskrępowaną wolność
do środka jakże zazdrośnie na co dzień chowanego kobiecego krocza
teraz nagięgo
pokazanego
otwartego
bezbrownego
gotowego na każde poniżenie
za pozwolenie przyjęcia wytrysku męskiej spermy.
Tylko ci ludzie wiedzą
że ten wypływający z otworu w czubku powiększonego
teraz twardego penisa biały płyn
zmienia świat całkowicie i kategorycznie.

4

A my?

Pryskamy nim brzuchy

pośladki

prześcieradła

kible i ręczniki

i modlimy się

żeby ktoś chciał go z nami dzielić

albo przeklinamy arbitralność ipsacji.

Kto by tam zawracał sobie głowę losami świata.

5

Wiesz synku kiedy ludzkość pogodzi się z Bogiem?

Kiedy zaakceptuje n i e o d w o ł a l n o ś ć swojej seksualności.

Kiedy przestanie z Nim spierać się co do jakości Jego stworzenia.

Kiedy ludzie nie będą już musieli masturbować się

bo seks przestanie być grzechem.

6

Bo Bóg j e s t miłością.

maj '99

Jerzy Śleszyński

Parafraza

*Tak bowiem jest z ludźmi:
kiedy ich potrzebujesz, nie przychodzą,
a gdy ich nie szukasz, zjawiają się*
Szmuel Josef Agnon

Dlaczego jest bardziej nikt niż ktoś
jak gdyby tylko ludzi
nie obowiązywały prawa rządzące materią
nie dotyczył kosmiczny niepokój Leibniza

empatia nie kieruje grawitacja
uczucia pozytywne są ściśle reglamentowane
pustka w środku nocy nie wypełnia się
lekarstwem na horror vacui

człowiek plus nie przyciąga człowieka minus
więcej jest histerycznego odpychania
każda zwiększająca się masa
zagraża sobie krytycznie

na ulicy widzę nieobecne twarze
oczy które nie dostrzegają innych
usta mówiące głośno do siebie
a wszystko byle jak pośpiesznie i donikąd

Dotykanie drzewa

*Kto nigdy nie zazdrościł roślinom,
nie wie, co to groza świadomości*
Émile M. Cioran

Siekiera to ostatnio
najczęściej używany język

porozumiewania się z drzewami
kto tak przemawia
nigdy nie wyczuł cichego pulsu
soków płynących jak przezroczysta krew

nigdy nie głaskał kory
bogatszej od sztuki współczesnej
chropowatej jak skóra wymarłych zwierząt

z powodu rozrostu szarych komórek
można ciąć szybko sprawnie i bez wahania
to zielone pod butem nie skowyczy nie prosi o łaskę

a przecież nawet żółty kwiat rukoli
zawstydza moją agresywną świadomość
bo wie tyle ile trzeba w czarnych kropkach nasion

ks. Jan Sochoń

Poezja

Wiersz najpierw jest sam:
nic go nie poprzedza
ani nie warunkuje.

Może tylko ten nagły
ruch ręki, kiedy wiem,
że właśnie teraz, choćbym
stał na peronie, albo biegł
przez las, właśnie teraz
muszę postawić słowo
na równe nogi.

Niech pokaże się na widoku,
niech mu zatańczą,
niech mu zawirują
derwisze w złotych szatach.

Niech świat się dowie,
że poezja – ocalona
w Boskiej chwili stworzenia –
dosięga i nas.

Że nas wyróżnia,
łączy w jeden wspólny los,
w jedno lustro wiecznej
pamięci.

Konteksty

Samego siebie próbuję,
podchodzę blisko do ognia,
w stalowy głaz się zwijam,
milczę potajemnie
ponad wszelką miarę.

Sprawdzam możliwe
i niemożliwe konteksty,
zadaję ból tylko samemu sobie,
łudząc się, że tak jest
w istocie.

Tymczasem pada deszcz
i zmywa mnie
z tej Ziemi.

Matka Boska Czuła

(wiersz na pergaminie)

Kto Cię we mnie namalował,
kto wtulił mnie w Ciebie,
wtulił w Twoje usta?

Kto wziął mnie na Twoje kolana,
kto łzami ochłodził,
kto na skrawku pergaminu
podpisał się pod mym ciałem?

To na pewno nie ja,
ani moje najgorętsze pragnienie.

Ale nim kur zapieje,
będę wiedział.

Wszechświat

Życie ma swój punkt ciężenia,
swoją linię melodyczną.
Nie wiemy tego od razu,
nie wiemy od pierwszego zmysłu.

Dopiero z biegiem lat,
kiedy nasze ciała unoszą się nad ziemią,

w porannej rosie albo w strzelistym upale,
dopiero wtedy natrafiamy na to stabilne miejsce.

Dziwne, ale nic o nim nie wiemy,
utkani w zręcznych palcach wszechświata.

A on? – niczego nie podpowiada,
niczego nam nie obiecuje,

wpatrzony w coś bardziej kruchego,
niż nasze trzeszczące kości.

Proch

Lato w rozkwicie,
nie rozkładałam jednak koca
na skraju polany, by zwabić
miłość w siatkę swoich ramion;

czekam, aż mnie wypali
grom Boskiego sądu,
miecz sprawiedliwy,
zawsze miłosierny;

powstałam z prochu,
nie mogę chcieć więcej.

W tym świecie

Jezu, płyniesz w mojej krwi;
nie przemieniasz jej,
bo jest życiodajna.
Razem podążamy do celu,
którym Ty jesteś;
do celu, który w tym świecie
łatwo pomylić z rozkoszą.

Jezu, dzień po dniu wzywany,
dzień po dniu odtrącany.

Wędrownka

Kiedy umrę, świat nadal będzie istniał,
umniejszony, mniej barwny, mniej niespokojny.
Jedne narody zginą, inne wybiją się do potęgi.
Tak to przecież zostało pomyślane z koniecznym
sensem, z tańcem na końcu wędrówki,
którą z nieznanych bliżej powodów
nie możemy zakończyć.

Przez proch, przez ducha idziemy,
toczy nas ożywione ciało, nieprzejednany ból.

sierpień 2016 r.

Niebo

Zobacz, zobacz, jak nisko suną chmury,
tuż nad głową, nad dachami drzew,
nie zważając, że mogą zakłócić bieg historii,
która nagle się zatrzyma i powie: dosyć,
wystarczy, czas na milczenie, czas na ciszę.

Zobacz, zobacz, jak niebo stoi wysoko,
nieubłagane, transcendentne,
żebyśmy nie czuli się zbyt pewnie,
żebyśmy nie wyobrażali sobie, że Bóg
nie może się bez nas obejść, bez nas kochać.

Zobacz, zobacz, jaki On szczęśliwy.

Drżenie ust

Pilem mocne wina,
nie patrząc na serce,
na chorą wątrobę,
na słabnący wzrok.

Wydawało mi się,
że naśladowę Kawafisa,
jako koneser zmysłowych
rozkoszy.

A było to za ledwie
ciche drżenie ust,
na które Bóg pozwala,
na które się cieszy.

Pilem mocne wina,
by wiedzieć więcej,
niż wie świat,
o którym ludzie mądrzy
w końcu zapomną.

Pilem mocne wina,
pilem chwałę przyszłej
nieśmiertelności.

ks. Jan Sochoń

Bogdan Świecimski

Kłopotliwe pytanie

Pytałem ludzi o sens istnienia
a ludzie uśmiechali się gorzko lub beztrosko
i uchylając się od odpowiedzi na moje pytanie
dziwili się że je zadałem
a ci co się nad nim zastanawiali
bezradni wobec tajemnicy świata
szukali prawdy w Bogu
i najstarszej z ksiąg
cytując zaczerpnięte z niej słowa
przypowieści i przepowiednie
albo mówili że ważny jest cel
ku któremu zdążamy

Niedawno mieszkający ze mną wnuk
powróciwszy na hajcu z imprezy
w towarzystwie także naćpanej dziewczyny
z którą poszedł na
wielopokoleniowe łóżko
gdzie począłem jego zmarłą na raka matkę
i kochałem inne kobiety
aż do momentu
gdy on zaczął na nim sypiać i kochać się
co noc z inną dziewczyną
ostatnio tylko z jedną i tą samą
na ogół po trawce lub dopalaczu
jak teraz w swoim pokoju
który opuścił po kilkunastu minutach
i obejmując dziewczynę
z samczą czułością dotknął jej brzuszka
a następnie rozglądnął się po wspólnym pokoju
znacznie większym i zagraconym
i przy kawie którą im zaparzyłem
zainteresował się moim stanem zdrowia
wyraził współczucie z powodu starczych dolegliwości

po czym wziął dziewczynę na kolana
i przyciskając ją do siebie
zlustrował wzrokiem pokój
usunął z niego stare meble
i napomknąwszy o obłożnie chorym przyjacielu
cierpiącym straszliwe bóle
a mimo to upierającym się przy życiu
co jego zdaniem nie miało sensu
ponownie dotknął pulsującego łona dziewczyny
i spoglądając na mnie jak na zbędny mebel
zapytał czy boję się śmierci

Co miałem powiedzieć
nic nie powiedziałem
jak Ten do którego się modliłem
pytając Go o sens naszego istnienia

Wydmuszka

Martwy w środku
pusty jak wydrążona muszla
szuka miejsca w innej rzeczywistości
gdyż ta w jakiej od lat żyje
coraz bardziej go uwiera i boli

Żona go zdradza
dzieci nie słuchają
przyjaciele opuszczają
a to co go osłania
przypomina wydmuszkę
z której nic się nie wykluje
żadne nowe życie

Milczenie

Serce ma twarde i niedostępne
jak wydrążona w granicie grota
zaryglowany w niej

woła o pomoc
lecz nikt go nie słyszy
a może słyszy
tylko nie chce się wtrącać
w nie swoje sprawy

* * *

Jeśli serce masz puste
musisz je zaludnić
a zimne ogrzać
i to jak najszybciej
bo w ludziach coraz mniej ciepła
i może go dla ciebie zabraknąć

Tak blisko

Pusty w środku
stąpam po rozpalonej ziemi
i szukam miłości
której w życiu nie zaznałem
ani nikomu nie ofiarowałem
choć pragnąłem
to potrzebowałem
jak wyschła ziemia
deszczu
a była tak blisko
tak bardzo blisko

Ucieczka

Ucieka od wszystkiego co jest
rani go i boli
od żony
od przyjaciół

od samego siebie
Żona go zdradziła
przyjaciele opuścili
sam ze sobą nie potrafi się dogadać

Może gdzie indziej znajdzie sobie miejsce
bo to w którym żyje
już go nie pociąga
a odejść do ziemi nie chce
jeszcze ma czas
i boi się
że osaczą go robaki
i w mig pożrą

Potem obliżą talerze
i nic po nim nie zostanie
najmniejszy ślad

Jak taniec

Pierwsza miłość wiele go kosztowała
ale i wiele nauczyła
toteż drugą i kolejne potraktował jak taniec
w którym liczy się znajomość kroków
sprawność i elegancja

Bogdan Świecimski

*Wiersze pochodzą z tomu „Bez odpowiedzi”, który ukaże się nakładem
Ludowej Spółdzielni Wydawniczej w marcu 2018.*

Piotr Wojciechowski

Dżems Bond

Ten pan tu to Dżems Bond
Jego prawie pusta szklanka
Jego smutna żona blond
W stary Bonda płaszcz ubrana

Za oknami tylko mgła
I cmentarzy smęt daleki
Taką pracę pan Bond miał
Że ustrzelił osób setki

Na werandzie grają dżez
Bond policzek pięścią wspiera
Żona pyta gdzie tu sens
Milczy Dżems bo mu wstyd teraz

Janusz Andrzejczak

Zawsze w tobie wiosna

Nie mógł już znieść jazgotu codzienności, więc wkładał sobie do uszu stopery, ale gdy tylko to robił, niechciane dźwięki tylko się potęgowały.

Nie mógł już znieść widoku codzienności, więc zakładał sobie na oczy czarną opaskę, ale gdy tylko to robił, niechciane, wstrętne widoki tylko się zwielokrotniały.

Od wszystkiego, czego z całego serca nie znosił, nieustannie kręciło mu się w głowie, tracił poczucie wszelakiej równowagi i tylko świadomość istnienia Dobra i Piękną była mu podporą.

Nie mógł już znieść smaków, zapachów, dotyku codzienności, więc uciekał w sen i inne nierzeczywistości.

Może był szaleńcem.

Może.

Może mu się to przyśniło, a może to była rzeczywistość...

Wraz z początkiem marca wyrzucił do śmieci zatyczki do uszu, opaskę na oczy i wszystko, co krępowało jego zmysły. Gdy się ocknął, ponad zatłoczoną miejską ulicą, ponad paskudnym blokowiskiem, ponad klaksonami aut, ponad śwędem spalin, wysoko w górze najpierw usłyszał, później ujrzał klucz dzikich gęsi.

Ciągnął się przenikliwym gęganiem z południowego zachodu na północny wschód przez całe niebo.

I on za nim poszedł.

Klucz dawno już pochłonął horyzont, a on szedł, szedł i szedł...

Żółty pył z kwitnących leszczyn i wierzb osypywał się na jego ubranie, a on szedł i szedł, mijał po drodze białe wrzecionka przebiśniegów, słoneczka podbiałów, wonne połacie rózu wawrzynka wilczełyko, a w cienistych grądach niebieskie przylaszczki. Mijał jeszcze bezlistne, a już zapylane przez coraz cieplejszy wiatr wierzby szare i iwy, olchy, topole, osiki i wiązy.

Szedł i szedł...

Mijał pierwsze motyle: listkowce cytrynki i rusałki – ceiki, pawiki i pokrzywniki. Przysiadły na kwiatach, płąsały w prześwitach, wzbijały się, opadały na pierwsze kwiaty, znikwały w cieniach. Gdy wyszedł na rozległą

polaną, przystanął na chwilę zasłuchany w zastygły punkt skowronka, ale rozedrgany na całe niebo jego śpiew. Nieco dalej, na mokradłach, z radośnym „kiwi kiwi” polatywały czajki, grały na puzonach krzykliwe łabędzie, pojedyncze bąki dmuchały w butelki i rozlegał się echem żurawi klangor. Tym razem już klucz za kluczem, nieustannie przelatywały dzikie gęsi. Wiele z nich, robiąc rozpoznawczą rundę nad mokradłami, rozpraszało się i gęsi przysiadły na spoczynek na podmokłych łąkach. Nisko nad nimi, w drodze nad jeziora, przelatywały z głośnym kwakaniem najprzeróżniejsze gatunki kaczek, przemieszczały się flotylle kormoranów, czaple, łyski i perkozy.

Gdy na północ odlatywały zimujące u nas gile, jasiołuszki, kwiczoły i jery, w sikory, kowaliki, dzwońce, trznadłe i wróble, jakby wstąpił zew jakiś: wszystkie trzy wymiary rozświetniały się ich śpiewami i chociaż każdy z nich był inny, nie zna cała Ziemia niczego równie harmonijnego i nawet smętny gawroni krakot brzmiąc inaczej niż zwykle, nie był w niej dysonansem.

Tymczasem on szedł i szedł dalej i gdy jeden gatunek fiołków kwitł tuż przed nim, drugi – to przekwitał, to dopiero zakwitał tuż za nim. Na rozświetlonych stanowiskach mijał skulone, żółte, lekarskie pierwiosniki i sam już się pogubił, na co ma patrzeć, co najpierw chłonąć: kwiaty na dole, czy różnorodność przelatujących w górze ptaków, jak bociany, bekasy, kuliki, rudziki, drozdy śpiewaki, zięby, remizy... Nie wiadomo z jakiego powodu, nic nie uszło jego uwadze: ani słonki odbywające tokowe loty na skrajach lasów po zachodzie słońca, ani tokujące o świcie cietrzewie, ani zakładające gniazda kruki, puszczyki i sójki.

Widział nawet przychodzące na świat pierwsze małe zające, budzące się jeże, zaskrońce i norniki, wychodzące z kryjówek biedronki i biegaczowate... Każdy jego krok oznaczał jakąś zmianę w przyrodzie, ale one następowały niezależnie od jego drogi, bowiem gdy przystanął aby w zatopionych olsach przyjrzeć się błękitnym szatom godowym samców żab moczarowych, wszystko działo się niezależnie od niego.

Był oszołomiony widokiem tych wszystkich cudów, ich wzajemnym przenikaniem, następowaniem po sobie. Wobec ich niebywałego natłoku, nie miał kiedy zastanawiać się skąd one i dlaczego on...

Szedł dalej, czy to popychany, czy ciągnięty przez siłę, której ani nie mógł, ani nie chciał się przeciwstawić. Od nadlatujących czarnych bocianów nie zrobiło się ani cienia ciemniej, podobnie jak w zamieszkałych już przez szpaki, kowaliki, dzięcioły i pustułki dziuplach. Cały otaczają-

cy świat drżał w dźwiękach, kolorach i zapachach w jakimś przedziwnym uniesieniu.

Gdy wyszedł w rozległą dolinę zatopionych łąk, aż przymrużył oczy od słonecznego blasku nieprzebranych kaczęńczych łąków, wśród których trwał nieustanny koncert czajek, bekasów, kulików, rycyków, brodzieńców, a w końcu i batalionów.

Nawet nie zauważył, kiedy brzozy okryły się zielenią i kwiatem, kiedy w lasach, zaroślach i nad rzekami zakwitła czeremcha zwyczajna, a w mijanych parkach, lasach i przy drogach zakwitły klony, graby, krzewy tarniny, gdy popękały wielkie pąki kasztanowca, a w wiejskich sadach, niezliczoną ilość kwiatów obsypały się czereśnie, wiśnie i śliwy.

Idąc z biegiem rzeki, widział „gotującą” się od trących się ryb wodę, a nieomal zaraz po tym, przylatujące lelki i dudki, wreszcie strumieniówki, dziwonie i jerzyki, a także – bajecznie kolorowe wilgi i kraski. Nad wodami widział rybołowy i tworzące łęgowe kolonie rybitwy i mewy śmieszki, słyszał rozbrzmiewające śpiewem trzcinniczek, trzciniaaków i łożówek pasy trzciny i wodnych obrzeży.

Jak podmokłe łąki słoneczniały błotną kniecią, tak pozostałe, te niezatopione, świeciły słonecznym światłem kwitnących mniszek lekarskich, a liściaste lasy już powoli nabierały trwałych odcieni zieleni.

A on szedł i szedł...

Świat rozmigotał się śpiewem ptaków. Najpiękniej i najwytrwalej, do późnych godzin nocnych, śpiewały słowiki i drozdy śpiewaki, rudziki i kosy. Z głębi lasu, jakby echem, rozlegały się kukania samców kukulek wabiących samice.

Zaledwie widział ptasi przylot, zaloty, misterne gniazdowanie, a już pojawiły się pisklęta sikor, czajek, dzięciołów, a w niedostępnych ostępach bagiennych lasów wylęgały się małe żurawie, przychodziły na świat małe bobry, wydry, sarny i jelonki, ale dopiero z zimowego snu budziły się popielice.

Szedł, szedł, szedł, wśród ogłuszającego rechotu żab i rzekotek, które słyszeć było nawet wtedy, gdy pozostały daleko, daleko za nim. W niepoliczalnych chmarach much i komarów, uganiały się muchołówki, jaskółki oknówki, dymówki, brzegówki i jerzyki.

Gdy wyszedł na wielkie przestrzenie łąk, zdumiał się. Jaskry, firletki, rdesty, rdzawoczerwone owoce szczawiu, liliowe dzwonki rozpierzchnęte, koniczyny, a przy brzegach strumieni niezapominajki, żółte kosaćce...

Kształty, wonie, kolory, dźwięki...! Zaledwie zdołał się przyjrzeć jednej roślinie, zaledwie poczuł jej woń, zaledwie wchłonął jej zapach, zaledwie

usłyszał nad nią brzęczenie pszczoły i ptaka, już jawiła się nowa roślina, o innym kształcie, innej woni, innym smaku dla innego owada... Inny już był wiatr, inne chmury ganiały po niebie, inny deszcz, inne światło w porannej rosie...

Na swej drodze, mijał szlaki ptaków lecących do gniazd z dziobami pełnymi owadów, przysiadające na trawach pokłaskwy, pliszki żółte, potrzosy, bagna kwitnące bobrkiem trójlistnym, kwiatami tojeści bukietowej, kuklika, bagna zwyczajnego, przekwitające już turzyce i pióropusze puchu wełnianki wąskolistnej.

Gdy wkroczył w las, mijał kwitnące kwiaty jarzębiny, kaliny i głogu, kwitła kruszyna, trzmielina, malina, jeżyna i miotlasty żarnowiec. W runie leśnym pojawiły się kwiaty gwiazdnic, czarnej jagody, konwalii pachnącej i poziomki. Od kwitnących sosen i świerków, drogi leśne, drzewa i zioła, pokryły się warstwą żółtego pyłu. Pojawiły się pierwsze grzyby.

I znów wyszedł na pola. Od kwitnącego rzepaku, musiał aż oczy przy-mrużyć. Kłosiło się żyto. Wśród zbóż zakwitły chabry, maki polne i rumianki, a w pobliżu ludzkich siedzib, w bocianich gniazdach już wylęgły się młode bociany.

Wśród kwitnących na purpurowo i różowo storczyków, wśród rozmaitych traw: tymotki, manny, wiechliny, drżączki, kostrzewy, kłosówki, mietlicy, rozlegało się cykanie świerszczy. Nad wodami, kwitło jeziorne sitowie, pałka wodna, tatarak i strzałka wodna.

Rozpachniała się różem macierzanka...

Tyle kwiatów, tyle motyli! Sam już nie wiedział, co jest motylem, a co kwiatem...

Gdy zakwitł czarny bez, zakwitł dereń, grochodrzew, krzew ligustru, jaśminu wonnego i śnieguliczki, a na łąkach dziurawiec zwyczajny, gdy na stojących wodach pojawiły się kwiaty białego grzybienia, przystanął.

Nie, nie trzeba mu było przyspieszać czasu, jeszcze nie chciał wkraczać w lato.

Odwrócił się i zaczął wracać tą samą drogą.

Zaczął od kwitnących na stojących wodach białych grzybieni.

Szedł i szedł...

Aż doszedł do pierwszego klucza dzikich gęsi na wczesnomarcowym niebie.

I wszystko, ale już rzeczywiście, zaczęło się od początku...

Janusz Andrzejczak

Krzysztof Beśka

Przepustka do piekła

(fragment)

Miasto. Umęczony więzień skulony na środku celi, który usiłuje zasnąć po całym dniu przesłuchań i tortur. Wie, że w każdej chwili może usłyszeć zgrzyt zasuw w drzwiach i tupot ciężkich buciorów, które noszą strażnicy.

Gdzieś tam, może w dalekim Londynie, a może jeszcze dalej, bo za oceanem, dokąd dotarły wieści o bohaterskim zrywie Polaków, ktoś wyobrażał sobie młodych ludzi czyszczących broń przy nikłym świetle karbidowej lampki. Cichutko rozbrzmiewa *Warszawianka*. Ktoś, komu w pamięci utkwiły powstańcze obrazy Grottgera, był pewien, że siedzące w piwnicach kobiety tną koszule na szarpie i wyszywają sztandary, które jutro zostaną zatknięte na barykadach. Albo pochyla się nad świeżymi grobami tych, którzy za wolność zapłacili cenę najwyższą...

Gównu do tego obrazu nijak mi nie pasowało. Zwykle gówno, w które wdepnąłem przez nieuwagę, ledwo parę chwil po wyjściu z domu. Ludzkie. Ktoś je zostawił na samym środku skrzyżowania Jasnej i Sienkiewicza, korzystając z osłony nocy. Całkiem spore, więc najprawdopodobniej na głód nie narzekał. Zakręcone.

– Ja cię pieprzę – przekląłem, wycierając but o krawędź płyty chodnikowej.

– To podobno przynosi szczęście – usłyszałem męski głos, a następnie stłumiony chichot.

– Dziękuję ja za takie szczęście – burknąłem, wciąż trąc z zapalem podszwą o szorstką powierzchnię.

Dopiero teraz się obejrzałem. Niespiesznym, nieco rozkołysanym krokiem zbliżał się do mnie mężczyzna o wyglądzie cwaniaczka. Tłący się ogryzek papierosa w kąciku ust, ręce po łokcie w kieszeniach. Nie miał opaski ani broni. A przynajmniej ja jej nie widziałem.

– Pan stąd? – zapytał, ruchem głowy wskazując na moją kamienicę.

– Nie – skłamałem. – Tylko odwiedziłem chorą ciocię.

– To ktoś tu jeszcze został? – w jego głosie niedowierzanie mieszało się z drwiną.

– Owszem. Trzy plutony szturmowe.

Grymas przebiegł przez jego twarz. Mężczyzna cofnął się o krok, jeszcze raz otaksował wzrokiem budynek, ja zaś nabrałem pewności, z kim mam do czynienia.

– Może pan wejdzie? – drażniłem dalej. – Dowódca swój chłop, przyjmie bez szemrania. Potrzeba nam takich chojraków.

I już go nie było. Oddalając się szybkim krokiem, oglądał się co raz przez ramię, raz lewe, raz prawe. Myślałem, że sobie kark skręci. Łapska wciąż trzymał w kieszeniach.

– Thompsona dadzą! – zawołałem jeszcze za nim.

– A idź pan w chuj! – odkrzyknął.

– Jakbyś pan wyczuł... – westchnąłem.

Tak, złodziej, podobnie jak gówno, nie pasował do tej misternej układanki. Ale był. I to pewnie niejedyn. Ten, jak przypuszczałem, na szczęście tylko kradł. A nie, jak tamci, kradli i gwałcili, a potem z zimną krwią zabijali.

Podziękowałem w duchu Michniewiczowi, że mimo wszystko trwał na posterunku. Rozejrzałem się dookoła na wypadek, gdyby w pobliżu czaili się kamraci łobuza. Ale nikogo nie było. Co się dziwić, była czwarta nad ranem. Chłodno, głodno, choć dom obok. Psia wachta, jak to mówią. Jeszcze nie zaczęło nawet szarzeć.

Coś mnie obudziło około trzeciej, jakiś koszmar senny, ale już nie pamiętałem dokładnie, co to było. Potem nie mogłem już zasnąć. Ubrałem się przeto, wypilem herbatę, zostawiłem panu Michniewiczowi, który spał w sypialni ojca i Aliny, kartkę. Po wczorajszym był chyba na mnie obrażony. Wyszedł z pokoju kilka chwil po tym, jak zacząłem studiować mapę.

Wyszedłem z domu, starając się poruszać bezszelestnie. Nie było to łatwe, wszak wszędzie wałały się śmieci, kawałki gruzu i szkła. No i jeszcze ta kupa na środku skrzyżowania...

– No to ciach, babkę w piach – mruknąłem pod nosem, poprawiając ramię plecaka na prawym ramieniu.

Nie wiedziałem, dlaczego go nie zostawiłem w domu. To znaczy zawartości, czyli całego tego księżowskiego majdanu. Może ze strachu, że rzeczy, które nie były moją własnością, a w dodatku przedstawiały jakąś wartość, mogą przepaść w pożarze. Albo połakomi się na nie ktoś w rodzaju tego chłystka, którego właśnie wystraszyłem nieistniejącym wojskiem.

A może zacząłem traktować krucyfiks niczym talizman, który przyniesie mi szczęście? Bo szczęścia akurat bardzo potrzebowałem. Chyba jak jeszcze nigdy dotąd...

Kwadrans później dotarłem do Marszałkowskiej. Zupełnie ciemna i wyludniona, zrobiła wyjątkowo przygnębiające wrażenie. Jeszcze niedawno to właśnie tutaj zaczynały się wszystkie moje wyprawy – większe, mniejsze i te całkiem małe. Wskakiwałem do tramwaju, który wioził mnie do szkoły przy Myśliwieckiej. Albo nieco bliżej, bo na Dworzec Główny, skąd ruszałem w Polskę pociągami.

Teraz miałem przed sobą o wiele dalszą drogę niż na stację czy do szkoły. I świadomość, że będę musiał pokonać ją na własnych nogach. Jak na ironię, zważywszy na nazwę miejsca, do którego planowałem się dostać.

– Dokąd? – zapytał mnie wartownik, który chwilę wcześniej zastąpił mi drogę, gdy chciałem chyłkiem przemknąć obok barykady.

– Na Koło – odpowiedziałem.

Spojrzał na mnie spod okapu niemieckiego hełmu.

– W jakim celu? – naciskał.

– Na grzyby – wypaliłem, nie spuszczać z niego wzroku.

– Co?

– A tak. Ostatnio trochę padało i podobno już się zaczynają powoli pokazywać...

– Przestańcie żartować – powiedział, po czym przeniósł wzrok na przepustkę, którą bez wezwania przedstawiłem mu do kontroli.

Ledwo na nią spojrzał, wyprężył się na baczność.

– Przepraszam, panie poruczniku. – Szybko oddał mi papier, jakby ten parzył.

– Nie ma problemu. Musicie być czujni. Wróg nie śpi.

– Tak jest!

Zasalutował trochę niezgrabnie, ja zaś, uśmiechając się dobrotliwie, schowałem starannie dokument do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wciąż tkwiła tam również stara przepustka.

Jakie było moje zdziwienie, kiedy w chwili, gdy rozłożyłem mapy Sokoła w swoim mieszkaniu, wypadł z nich plik przepustek wypisanych *in blanco*. I to nie byle jakich, bo wystawionych przez dowództwo Kedywu. Podporucznik Sokół był naprawdę nieźle zaopatrzony na tę ważną, może najważniejszą w życiu podróż. I pewnie też nieźle wkurzony, kiedy się okazało, że wybierze się, ale palcem po mapie. I nawet to nie!

W jednej chwili zrozumiałem, że mogę teraz stać się, kim tylko zechcę. Wymyśliłem sobie pseudonim i awansowałem się do stopnia porucznika. Potem zaraz zrezygnowałem z tego pierwszego, gdy sobie przypominałem,

jak sam śmiałem się z buńczucznych przydomków. Postanowiłem, że będę się przedstawiał własnym imieniem.

Władek Michalski, który by zdobyć oficerskie gwiazdki, musiał swoje przemaszerować, przesiedzieć w lesie, iskając wszy, a potem w warszawskiej dziupli, pewnie dusiłby mnie za to gołymi rękami. Potem przeproszał, ratował, cucił, doprowadzał do porządku, ale tylko po to, żeby po chwili znów zacząć mnie mordować.

W tej chwili jednak liczyło się tylko jedno: życie ojca, Aliny i małego Leszka. Gdyby trzeba było, zostałbym nawet pułkownikiem.

– Powodzenia – rzucił jeszcze wartownik, przekonany, że wykonuję jakąś niezwykle ważną, a może nawet straceńczą misję; gdyby stał przed nim Sokół, też pewnie by tak pomyślał, a w dodatku współczuł, widząc drewniane szczudła.

– Dziękuję. I wzajemnie – odparłem.

Młody wartownik, wiedziałem to, odprowadzał mnie wzrokiem. Może podziwiał, może zazdrościł. Nie wiedział jednak, że tuż koło rzemienia plecaka siedzi moja dusza. A w plecaku nie ma marszałkowskiej buławy, którą, jak powiadają, nosi każdy żołnierz, tylko równie ciężki krucyfiks.

Miałem też coś jeszcze. Coś, co miało rozwiązać wszystkie nasze problemy.

Krzysztof Beśka

„Nielegalna zajęczyca męczy Heideggera i innych filozofów”

Krótki dialog położniczy Tola Szaleńczyka z Tamarą BeJot

Tolo Szaleńczyk: Opublikowałaś w Wydawnictwie Adam Marszałek rozprawę „Nielegalna zajęczyca męczy Heideggera i innych filozofów” (2017). Co filozof dziś może? Pytam o miejsce filozofa we współczesnym turbulentnym świecie, o jego osobisty głos, jaki ma wpływ, jeśli jeszcze ma, na obrót spraw, jeśli Platon z postacią Sokratesa daje nam system etyczny (patrz: uczeń Jezus) i tym samym każe ludziom wyjść z piaskownicy filozofów przyrody, jeśli kilka wieków później jest nowożytny Plotyn, jeśli potem Kartezjusz, itd., a człowiek siedzi w piaskownicy i leje kolegów, i krew się leje, to powtarzam pytanie, nieco zmodyfikowane: czy głos współczesnego filozofa jest słyszalny?

Tamara BeJot: Jeśli potem mamy Kanta z postulatem apodyktycznego pokoju i ONZ, jeśli Heidegger rozwija Kanta na rzecz różnorodności subiektywizmów, ale jednak bycia w łączącym wątku rozumnym, a mimo to lejemy się, to rzeczywiście można zwątpić w siłę rozumu, a filozofia to ta siła. Ale ja nie wątpię. Ja w sobie pytania słyszę. I filozofów słyszę. Rozprawa filozoficzna nie należy do systemu nadprodukcji z obłędem reklamy, a więc żyje w ludzkiej tęsknocie do czegoś rozumnego, wolnościowego. Jest poszukiwana, bo człowiek poszukuje wolnej sfery kultury, a filozofia do niej należy, choć stara filozofia pozostaje niezupełnie wolna – należy ją wytrzepać z antysemityzmu, z gloryfikowania nadczłowieka, no i z mizoginii. Na nowo przeczytałam filozofów od Platona i widzę to, na co przedtem byłam ślepa: mężczyźni pisali dla mężczyzn, a o kobiecie bzdurzyli, jakby mimochodem opowiadali sobie mizoginiczne dowcipy. Nietzsche głądził, że kobieta to krowa, a miłość należy do „kobietek”, bo to słabość, niegodna mężczyzny. Nadużywali słowa „męski”. Sypali nim jak z automatu. Tylko wczesny Plotyn Dobra upatrywał w „żeńszczeniu” mężczyzny, ale dopiero Heidegger omawia bycie człowieka obu płci, to jest nie płciowe bycie obu ludzkich rozumów w czasie i tylko w czasie. Potem Derrida napada na Heideggera, wmawiając nam, że to przez tłumienie seksu. Derrida frojdyrzy. Bezpłciowe bycie to bycie w wątku rozumnym. Myślenie to nie orgazm. Viagrą dla myślenia jest rzeczywistość, a nie łóżko. Podniecenie seksualne nie ma charakteru ciągłego, tak samo jak orgazmy.

Biologia domaga się orgazmu co jakiś czas, zaś głowa domaga się ciągłego myślenia i niedobrze, kiedy człowiek zagłusza myśli brzęczącym radiem, rykiem telewizora czy muzycznym łomotem, i gorzej – ideologią wodzów, partii. Heidegger, czyli rozwinięty Kant, zmierza w stronę braku różnicy w myślącym człowieczeństwie obu płci. Ogołocone z płci ludzkie Ja... Jest takie, ale wyłącznie w wątku rozumnym wolnych ludzi obu płci jednocześnie, jednakowo słyszalnych i słyszących przeciwną płć poza łóżkiem. Moja słyszalność ogranicza się do ludzi wolnych. Czyli mamy tak: Heidegger jako rozwinięty Kant dąży w stronę braku różnicy w człowieczeństwie obu płci, a skoro tak, to mogę go kontynuować, bo w jego filozofii



widzę się – tu kobieta widzi siebie jako człowieka, a jej problemy są problemami człowieka, a nie jej prywatną sprawą, jak dotąd. Bardzo ważna sprawa: filozofująca/myśląca kobieta nie występuje z pozycji władzy nad mężczyzną, jak on to czynił w stosunku do niej przez wieki, a uzupełnia sferę myślicielską o żeńską subwersję, czego dokonała w Polsce Jolanta Brach-Czaina. A dziś mamy postulat najważniejszy: żadna z płci nie będzie występować przeciw sobie z pozycji władzy. Ja na to nalegam. Czepiam się poza tym Heideggera, że wdał się w romans z nazistami.

Tolo: Oceniając współczesność ani razu nie powołujesz się na złoty środek Arystotelesa, na potrzebę równowagi, do czego w sposób naturalny tęskni umysł ludzki, a mam na myśli relację mężczyzna-kobieta, duże

państwo-małe państwo, i tak dalej. Równowaga jest niemożliwa? Dorosli nie mogą zapanować nad chaosem, choć paplają w nieskończoność, że kontrolowany? Odnosnie relacji damsko-męskiej, czy pamiętasz najprostszą zabawę z dzieciństwa – raz wyżej, raz niżej na huśtawce z deski? Była pośrodku podparta pieńkiem, a na jej końcach huśtali się chłopiec i dziewczynka, i żadne z nich nie było lepsze?

BeJot: Złoty trójkąt, jak też złoty prostokąt to wynalazek nie Arystotelesa, tylko Teano, żony Pitagorasa. Nie dotrwała do naszych czasów jej książka o tym i o mężu. Huśtawkę z deski pamiętam. I tamtą dziecięcą równowagę płci. W „Nielegalnej” nalegam na trójcę, na rezygnację z rozdzierającej dwójcy, typu pan-niewolnik, nadczłowiek-podczłowiek, kat-ofiara, seks-asceza, ciało-duch, moja dobra partia-twoja zła partia, moja dobra etniczność-twoja zła etniczność, itd. A z seksem to już mamy kompletne dno, albo asceza albo patologia w postaci topornego porno i burdelu, z czym wiąże się handel ludźmi. O tej sprawie pisał Wilhelm Reich w rozprawie pt. „Psychologia mas wobec faszyzmu”, a pisał tak przejmująco, że wybaczam mu seksualne frojdy, to jest uzależnianie wszystkiego złego (każdej przemocy) od tłumionego seksu. Trzymam się Kanta (choć miejscami to mizogin), uważającego takie ujmowanie przyczyn przemocy za nierozumne u człowieka dorosłego, który musi panować nad popędami.

Tolo: O jakiej trójcy mówisz?

BeJot: Jeśli, jak chce Heidegger, zaprzestaniemy rozdzwajania się i rozdzwajania, natychmiast jesteśmy w trójcy – wczoraj-dziś-jutro, a taka trójca natychmiast ustawia nas w relacji człowiek-człowiek, jednakowo przemijający, a nie ja i wróg, mnożony i zawsze pod ręką. Jesteśmy w Czasie, należymy do Czasu, (do ostatniej godziny zyciorysu). W Czasie jesteśmy rozciągli (do ostatniej godziny), ale jakiś zbir może nam tę rozciągłość odebrać, skrócić, poprzez przemoc, wojnę. Jeśli żyjemy w czasach pokoju, to jesteśmy rozciągli, aż się nam skończy los. Możemy żyć, działać, tworzyć. Andersen (w opowiadaniu „Co powiedziała cała rodzina”) jednym prostym zdaniem określa taką rozciągłość: „Jak przyjemnie żyć!” Ludzie, żyjący w dwójcy „my lepsi-wy gorsi”, łamią nam naszą rozciągłość, pozbawiają radości życia, odbierają nam życie, kaleczą, a mamy je przecież jedno. Rozciągłość w Czasie to rozciągłość wyłącznie w trójcy, jednoczącej wszystkich i wszystko: wczoraj-dziś-jutro. Jeśli tak pomyślimy, czujemy ulgę, wolność, lekkość. To nic, że osobista rozciągłość w Czasie krótko trwa. To nic, że życie pozagrobowe to terapeutyczny wymysł z powodu tej krótkości, jak mówi Kant, i żyjemy w trwodze. Jutro należy do doczesności

i potomków, ale w warunkach globalnego pokoju, a na pewno nie w quasi-pokoju, coraz bardziej mieszanym z wojną przez nierozumnych.

Tolo: Dla kogo napisałaś tę rozprawę? Mam na myśli to, że piszesz na luzie, że wybierasz fakty, a nie postprawdę i fejki, że jesteś rzeczowa, że masz własny styl wypowiedzi, a przez to książka nabiera charakteru literackiego, przy tym bardzo osobistego, i bardzo dowcipnego, a i to wszystko kojarzy mi się ze swadą, z jaką swoje rozprawy pisał Platon. Na jakiego czytelnika liczysz, skoro on „nowocześnie” skacze po krótkich tekstach, po bałamutnych informacjach i jest już zadowolony, bo się naskakał? To czytelnik zredukowany.

BeJot: Muszę po raz kolejny przytoczyć Derridę, który mówi istotnie i istotcząco, jeśli tylko zaprzestaje seksualnych frojdów. „Istoczyć” znaczy: otwierać oczy. Można pisać istotnie, ale nikogo nie istoczyć, bośmy namnożyli trudnej leksyki i seksualnych frojdów. On to rzekł, znaczy Derrida, przecież istocząc, przynajmniej mnie istocząc, ale i każdego zainteresowanego rytmem powstawania dzieła: „Dzieło najpierw nie ma czytelnika”. I rzeczywiście najpierw dzieło jest samotne. Czytelnik pojawi się, albo nie. Powiedziałam już gdzie indziej: liczę na wybitnego czytelnika. Tymczasem Heidegger świetnie zdiagnozował przyszłość literatury: nie będzie jej, bo ją zastąpi kierownictwo literatury – inseminatorzy. Gorzko zauważam, że po raz pierwszy w historii literatury mężczyzna daje się zapłodnić jak krowa przez kierownictwo literatury. W tym roku piszemy to, w następnym tamto, i to na tysiąc stron, i bez stylu. Kierownictwo wskaże posłusznym odgórnym ukazom, jak należy tworzyć i to same grube książki. Wypluwaj jak najszybciej i jak najgrubsze bestsellery, a my zapewnimy ci reklamę książki jeszcze przed jej powstaniem. Naomi Klein w „No logo” zauważa jeszcze coś innego, a to koniecznie zauważyć należy: wstrzymanie w rozwoju młodych zdolnych. Pyta: czymże dziś byłby na przykład hip-hop, gdyby nie został wstrzymany w rozwoju?! I wymienia mnóstwo dziedzin kultury z wstrzymanym w rozwoju zjawiskiem i jego autorami. Młody zdolny zostaje porwany przez kierownictwo popkultury, i unieruchomiony na poziomie debiutu. Został zapłodniony do powtarzania się, a nie do rozwoju. No więc napisałam „Nielegalną zajęczycę” dla wybitnego odbiorcy. Heidegger mówi z ironią o doskakiwaniu do współczesnienia: do gadaniny, a nie rozmowy, do pisaniny, a nie pisania, do zerkania, a nie czytania. A już wielu doskoczyło do współczesnienia aż tak, że swój mózg trzymają w komputerowej maszynie, czy maszynce w kieszeni albo na szyi. Własny mózg już się skurczył. Nie dla nich piszę. Ponadto moja rozprawa

ma charakter apodyktycznie antywojenny. Heidegger wieszczył rozrzedzenie pokoju wojną i odwrotnie. Przestrzegał przed taką przyszłością. Taki świat uniemożliwia bycie – rozumne bycie obu płci w czasie, a rozumne oznacza – niespieszne, bo rozum nie może się spieszyć, on musi dojrzewać do odpowiedzialności, do dojrzałego oglądu świata. No i nie mamy bycia, tylko same schrony, w tym schron umysłu, który stale zajęty jest nieustanną szybką machinacją, kombinowaniem, żeby jakoś przetrwać, a nie przeglądem rzeczy poręcznych, czyli spokojnym byciem w poręcznym otoczeniu. Poręczność (termin Heideggera) oznacza na przykład, że mój dom będzie stał, gdzie stoi. I jest to podstawowa poręczność dla człowieka – miejsce, gdzie można żyć w rozciągłości w danym mu czasie. Bycie w świecie to według Heideggera codzienny zatroskany przegląd poręczności świata, a poręczności – poza domem na swoim miejscu – potrzebujemy wiele. Poręczna dla życia ulica, poręczne miasto, poręczna wysokość opłat, poręczność umów, poręczność bliźnich (siostra i brat na jedynym doczesnym świecie, a nie wróg). Bez możliwości zatroskanego przeglądu poręczności człowiek staje się ślepy i niemy, no i krzywdzony. Nie nabywa wiedzy o świecie, a żyje w stałym strachu, i co więcej – w potęgującej się trwodze, bo wszystko staje się mętne, chaotyczne, propagandowe, manipulacyjne, złowrogie, podstępne, a wojna miesza się z pokojem, i odwrotnie, no i zamiast pisania mamy pisaninę, a zamiast rozmowy gadaninę. W „Nielegalnej” obnażam moją trwogę i moją mojość. Moja mojość to najszybsza praca sumienia. Nigdy nikomu nie wyznajemy do końca, co w sobie mamy, co skrywamy. Naprawdę nigdzie i u nikogo nie zaistnieje krańcowo szczerza moja mojość, ale ja moją mojość obnażam. Wybacz, że nie do końca, ale i tak się dość obnażam. „Moja mojość” to nowy Heideggerowski termin filozoficzny.

Tolo: Jeden do siedmiu miliardów to ile mocy? Jak sobie radzisz z postępującą degradacją człowieka jako jednostki w coraz bardziej totalitarnym, bo zglobalizowanym systemie informacyjnym świata? Jaką autonomię ma jednostka? Pytam w kontekście magicznej frazy Hegla, którą sobie wzięłaś za motto: „Tu jest róża, tutaj tańcz”.

BeJot: To już nie motto w publikacji. Ostatecznie dałam inne motto, z Grossmana, z jego filozoficznej książki „Życie i los”: „Kobieta to filozofka bez filozofii”, i powtarzam za Adamem Pomorskim (ze Wstępu), że to lektura obowiązkowa dla współczesnego człowieka, zawierająca diagnozę faszyzmu i komunizmu, i będąca rozmową z „Byciem i czasem” Heideggera. A ta róża znajduje się w tytule rozdziału 68, to znaczy punkcie

68, bo ja rozdziały nazywam punktami. Kpię sobie w tym punkcie z Hegla, który przerobił frazę z wiersza Ezopa pt. „Samochwała”: Hic Rodhus, hic salta na: Tu jest róża, tutaj tańcz. Pierwotna fraza znaczy: tu pokaż, co potrafisz, a nie w Rodosie, bo już wiemy, co tam pokazywałeś. Hegel wzywa do tańca wokół swojej róży, z różą, czy wewnątrz ogromnej róży. Pięknie, prawda? Ale znaczy to u niego, że człowiek ma robić to, co najjaskrawsze w jego epoce, czyli popędzić do mainstreamu, przy czym Hegel mówi o nadczłowieku Niemcu, i wyłącznie protestancie. I ja z tego kpię, bo niemiecki nazista wkrótce pokazał, co potrafi i pobiegł do mainstreamu epoki, a zanim pobiegło, podczepiając się pod nadczłowieka-Niemca-protestanta, wiele europejskich narodów. Masa popędziła. Masa to duży nakład od-



lewów gipsowych, jak to ujął Kant. Duży nakład tłumu. Tańczymy jak wszyscy. Propaganda o to zadba. Heidegger też z tego kpi i nazywa to doskakiwaniem do współczesnienia. Taki taniec na przeludnionym globie wygląda strasznie, bo mainstreamem dla młodych mężczyzn okazuje się na przykład ISIS. Sloterdijk nazywa ten makabryczny taniec jedynym buntem w naszych czasach – buntem młodych mężczyzn. A ty pytasz o autonomię jednostki. Mamy autonomię dla uchodźców wojennych? To już prędkiej słyszę wołanie Kanta, które usposobiło mnie do działania, czyli napisania „Nielegalnej zajęczycy”: „Człowieku, miej odwagę myśleć!” A jeszcze mocniej słyszę drugie wezwanie Kanta, czy też apodyktyczny postulat: „Rozum

stawia tamy wolności”. I trzecie Kantowskie słowa czepiły się mnie i nie chcą odejść: „Człowiek z natury jest zły i złośliwy, ale zdolny do moralności”. Znaczy to tyle, że bez pracy nad sobą nie staniemy się lepsi. Nasza epoka wcale nie żąda stawiania się lepszymi, czyli pracy nad sobą. To przerażające. Jest coś takiego, jak propaganda mainstreamu. My tak gęgamy, i ty musisz. Tańcz, jak my, bo inaczej wykluczymy cię. Udusimy i nawet nie piśniesz. My robimy naszą wojnę i nawet nie piśnij, że to zła robota. Motto z Grossmana „Kobieta to filozofka bez filozofii” jeszcze bardziej zachęciło mnie oporu, to znaczy do piśnięcia, a to chyba jest już moją autonomią przed uduszeniem.

Tolo: Swoją rozprawę zadedykowałaś P. Sloterdijkowi. Uważasz, że jest dostatecznie współczesny, to jest przenikliwy?

BeJot: Jest dostatecznie słyszalny przeze mnie. Ja mu zadedykowałam z prośbą: Peter, porzuć Nietzschego, myśl wraz-ze-mną. Do wszystkich filozofów zwracam się po imieniu, i do żyjących, i do nieżyjących. Wszyscy z nich żyją, choć niektórzy nie żyją. Niewielu filozofów myśli wraz-z-kobietą, to jest filozofką bez filozofii. Kto myśli-wraz-z Nietzschem, myśli przeciw kobiecie, bo uważa kobietę za krowę i że trzeba mieć na kobietę bicz. Trudno tu o dialog, o ludzką pełnię. Sloterdijk jest dostatecznie przenikliwy, ale musi wyjść z mizoginicznych patriarchalnych filozofów i zacząć współmyśleć z kobietami, z feminizmem, inaczej będzie oglądał połowę rzeczywistości, pisał pół-mową. Sloterdijk zauważa jedyny bunt naszych czasów – bunt młodych mężczyzn z islamu. No a, przepraszam, nie ma buntu kobiet? A czarne protesty to co? A masowe protesty matek przeciw wojnom? No a sam feminizm? Kobiety coś tam sobie gadają w swoim kącie? Bunty kobiet należy zauważać i dawać im przyzwoite miejsce w filozoficznych współczesnych rozprawach, a nie zagęszczać leksykę aż do takiego stopnia, że nikt nic nie zrozumie, bo słownictwo nie ma już żadnego związku z życiem, a stanowi mętny żargon „specjalistów”, a stąd wynika polityczna pokusa, aby wyrzucić filozofię z uniwersytetów. Derrida tak się komplikował leksykalnie, że Jolanta Brach-Czaina wykrzyknęła: Ależ to nudziarz! Rzeczywiście. Gdzie się leksykalnie komplikuje, jest nudziarzem.

Tekst i rysunki: Tamara Bołdak-Janowska

Jacek Durski

Z wujem

(fragment powieści „Okno”)

Przyszedł wuj psychiatra. Szymon wzburzony. Wniósł do mojego pokoju rower-tandem.

– Pokłóciłem się z braćmi o Lepszą i wyjeżdżam dzisiaj z Katowic do Poznania. Otworzyli klinikę z oddziałem psychiatrycznym. Mam tam pracę, i liczne pomysły. Należy traktować pacjentów jak nadzdrowych.

– Szkoda, że wyjeżdżasz. Lubię z tobą rozmawiać – odwróciłem się do okna.

– Przecież ty nie chodzisz teraz do szkoły. Nie ma wielmożnej. Jedź ze mną. Do powrotu matki jeszcze miesiąc. Ruszajmy do Poznania. Zaraz. Tandemem. Zima, nie zima. Dojedziemy. Zobaczysz białą Wielkopolskę. Widziałeś Jutrosin, Pakosław w zieleniach i błękitach. Ale biel też piękna. Zobaczysz z roweru. Pokażę ci z niego więcej obrazów. A w Poznaniu ulicę Ratajczaka, gdzie się urodziłeś. Pójdziemy też do Muzeum Narodowego. Będziesz miał moc kolorów. A potem wrócisz do Katowic. Chcę być z tobą szczerzy. Proponuję ci taką podróż, bo boję się jeździć pociągami. Boję się jechać sam. Niepokój do kwadratu. Mam przeróżne nerwice, fobie. Tyle ogonów. To co, pojedziesz z takim wujem?

Zatupałem z radością.

– No to jedźmy, jak stoimy. Powiem tylko Lepszej, że ją kocham.

Za nami białość ziemi z niebem białym. W czystej sferze żółte słońca. Z bieli śniegu, fioletowe cienie. Pachnie gorącym mrozem, niewidoczną trawą. Na drzewach szadź roziskrzona tysiącami tęczy. Z zamrzniętych mgieł, delikatne cuda. „Bóg jest Artystą”, powtarzam wujowi do pleców. Co kilometr schodzi ciężko z tandemem, maszyna z maszyny i kładzie się w puchu, aby odpocząć. „Przeliczyłem się z siłami”, dyszy za Jarocinem, na tym moście, nad Wartą, białą wśród białych pól. Wiatr wiruje po śpiącej rzece białymi kołami. Tak białe bez słońca, bez niebieskich cieni. *Białe aż strach. Śmierć kroczy na moście. Przeszła.* Przeżegnał się Szymon szeroko.

– Boli mnie serce przez Lepszą. Zakochałem się jak głupi na starość. Dla niej skoczyłbym z tego mostu. Na lód. Ale nie sam. Z nią. Z jej pięknym ciałem. Pękłaby Lepsza na lodzie. W moich ramionach – zadudnił pięściami po poręczach mostu.

Jedziemy dalej. Minęliśmy śnieżną równinę. Wreszcie w drobnej wiosce, złoci ludzie. Gorące ziemniaki, pyry z parą. Zasypiam. Wuj siedzi jeszcze z gospodarzami, wysłuchuje ich zmartwień.

Kulista próżnia w każdym śnieniu. Jazda w sferze, dookoła, po białych ścianach. Za nimi Tajemnica. Przeczujęm pełnie światła. Barwy nieznanej wartości. Dostojny ruch kolorów. Wjechać Tam na rowerku. Zobaczyć boski pejzaż. Ściano ustąp!

W otwarciu świat przeraźliwie inny. Promieniują ucieleśnione dusze. Jest też Bóg. Wielki i mały. Na naszą miarę, na Jego.

Poznań. Sporo ostrych ruin, poszczerbionych kamienic. Przerażają chichotem diabłów. Stoi jeden we framudze bez okna. Przymierza mundury: niemieckie, radzieckie, z orderami, krzyżami. „Tyle złomu za zabijanie”, cieszy się z ludzkiej głupoty, ze zorganizowanego głupectwa. Gdyby nie był diabłem, to czułby do ludzi obrzydzenie.

Zatrzymaliśmy się przed jedną z kamienic.

– Tam, w podwórzu mieszkało jaśnie państwo po wysiedleniu z majątków – wskazał wuj obskurną sień. – Wszyscy w jednej suterenie. Obok pralni z magłem. Twoja babka wielmożna, i matka wielmożna, i ojciec wielmożny, i... Nie, pan dziedzic, to się ukrywał. W lasach, niedaleko Głębozki. Ale nieraz przyjeżdżał tu z drewnem. Dziedzic przebrany za robotnika leśnego.

I tu cię, Jacku, poczęli. Tak niechący. Matka nie sądziła, że w takich warunkach można zająć w ciążę, a ojciec zawsze się spieszył.

„Tak niechący”, poczułem w przetyku słone jabłko. Z pewnością byli wściekli, że jestem. Matka miała już wtedy czterdzieści lat, a ojciec pięćdziesiąt. Po co starym drugie dziecko. Z jabłka śliwa soli. Połknąć, wypluć? Mieli już córkę, słodką jak anioła.

Poczułem złość do wuja. Popedałowaliśmy dalej.

– Tutaj się urodziłeś! – zakrzyczał radośnie, gdy rower wjechał w gruz pobielony śniegiem. Utkwił w potrzaskanych schodach prowadzących do domu, którego już nie było. Stopnie donikąd.

– Tutaj? – patrzyłem na zgłiszczą.

– Tu też... tu... – chciał mówić dalej. Nie mógł. Poprawił przy nogawkach klamerki.

– Chcesz opowiadać o mojej siostrze? Jak pff – pokazałem ręką rozsnuć anioła. – Opisywać, jak krzyczy ogień? A ja nie chcę tego słuchać! Nie chcę śnić więcej krzyczenia! Słyszeć i widzieć krzyku płomieni! Postanowiłeś mnie wykończyć gadaniem?! – doskoczyłem do wuja.

Przywalić go rumowiskiem! Zgarnąć w ramiona całą ulicę i wysypać na mówiącego!

Przytrzymał mnie mocno. Jak mur, do podparcia.

– Nieraz myślę o niej, o mojej siostrzenicy. Była mądrym dzieckiem. Miałaby teraz... ile lat? – uniósł głowę i wskazał spojrzeniem:

– A tu SS zastrzeliło trzech twoich wujów. Dalszych. Moich kuzynów. Za szaber. Złapali nas z ukradzioną szynką. A tak naprawdę to Hela ukradła. Ściągnęła Niemcom z ciężarówki. Tędy goniłem Kokoroko, nie wiedząc, że to ona. – wyprowadził mnie i tandem na jezdnię – Zasłaniał jej głowę świński ryj. Bardzo apetyczny. Goniliśmy żarcie z Serwacym, Wickiem i z innymi wujami. Od Cytadeli przez całe Garbary. My bez niczego, ona z takim ciężarem, a nie mogliśmy dogonić. „Trochę przypomina mi Kokoroko”, dyszał filozof na Górnej Wildzie. W końcu dopadliśmy moczarną na ulicy Strumykowej, buch i wracamy z ryjem na Winogrady. Jeść! A ta idzie za nami, idzie i idzie, aż pod Cytadelę. Strach śnieżny zamiast wyrzutów sumienia przeraził Wincentego. „Już dobrze! Podzielimy się z panią”, zawrzęszczał jak u dentysty. „Ty imbecyłu! To ja, Hela! Ukradłam to dla nas” zaskoczyła nas Kokoroko zupełnie. Wstyd większy od Cytadeli. „Nie wiedziałam, że to wy mnie gonicie. Poznałam was dopiero, jak żeście mnie przewrócili”, wrzasnęła głośniejszym głosem od Wicka, idąc do nas z lusterkiem. „Popatrzcie na siebie. Na sześciu głupich!”, wydarła się jak sam obergruppenführer. I usłyszało twoją ciotkę SS. Nadbiegło Waffenzug z ciemności. Stały nad szabrem „zygzaki”. A potem ustawili Szmytkowskich pod ścianą i od pierwszego, co drugiego, trach. Zastrzelili trzech z sześciu – skoczył wuj na rower i pocałował powietrze. Swoją drogą.

– A co ze szynką? – zapytałam, kręcąc pedałami do rytmu.

– Waffenzug nam podarowało – beknął tłustym wspomnieniem. – Jedliśmy, modląc się za dusze zmarłych kuzynów. Tylko Hela nie jadła. Poznań Niemcy uznali za fortecę. Wszystko dla nich. Dla Polaków nie było ani chleba, ani opału. Wprawdzie Anglicy zrzucaли nam paki z żarciem, ale sam groszek w puszkach. Na pewno gdzieś zrzucaли marchewkę. Nigdy nie zapomnę tych zielonych smaków.

A w tej bramie Armia Radziecka gwałciła Kokoroko i jej córki – zahamował. Uderzyłem głową w plecy. – Młode nie wytrzymały wieczoru. Zamarzyły podczas stosunków. Nagie na mroźnej ziemi. Lecz ciotka okazała się mocna. Zwariowała tylko na tydzień. Pomogłem jej wyjść z rozpaczy bez prądu, bez elektrowstrząsów. Uruchomiłem hipnozę nieważną. Zaprosiliśmy tego lejtnanta, który gwałcił i dowodził gwałceniem.

Przyszedł wyzwoliciel do nas na litr samogonu. Taki ważny, z mapą Cytadeli. Zmiażdżyłem gierojowi kręgosłup – rzeził wuj Szymon. – Tą stopą – otrzepał na chodniku ośnieżony but. Białość z czarnego. – A później gwałciła go ciotka przez tydzień. Notowałem płacz mordercy na pięcioliniach. Rozdzierał mu dupę połamany krzyż.

– Przyglądałeś się temu?

– Chciałem zobaczyć pragnienia Heli. Zaobserwować zemstę jako przypadek kliniczny. Opisać. Lejtnant mnie nie obchodził.

Oparliśmy tandem o studnię Prozerpiny, o krąg czarnego z brudu piaszkowca. Jakoś przetrwał wojnę. Z kręgu z ciemnozieloną wodą patrzą nasze twarze, paskudząc Damę Zmarłych. Uśmiech psychiatry obok utopionego gołębia.

– No to, Jacku, dziękuję – włożył mi wuj do kieszeni spory gneciuch banknotów. Wsiadł na rower i prędko odjechał. A ja poszedłem przed siebie.

Idę, idę, myśląc o dziwnym wuju. *Już na pewno w pracy. W bieli wygląda na lekarza. Rozwiązał pacjentom rękawy, powitał nadzdrowych. Przygarnął krok w krok młodszą pielęgniarkę, a starszą ugryzł w policzek. Uchamrał też ordynatora.*

Idę Alejami Marcinkowskiego. Nadal w wyobraźni wuj Szymon. Wśród swoich pacjentek. *„Dla was przyjechałem na tym rowerze z siostrzeńcem”, pocałował pierwszą nadzdrową. „Z Katowic”, pocałował drugą...*

Naraz ciężki gmach. Muzeum Narodowe w Poznaniu. Wejść, nie wejść. *Tam stanę się nienormalny.* Zupełnie inny. Lęk przed bramą. Wszedłem.

Coraz więcej obrazów. Kolor, kolor mózg obraca. *„Malarstwo hollenderskie, XVII wiek”. Malarze PRL-u, klękajcie przed van Goyenem.* Niebo zajmuje większą część obrazu. Na dole trochę ziemi, morza. Rolnicy, rybacy. *Być tam wśród pracowitych. Lecz jestem w Ludowej i tylko podziwiam Zachód. „Czaszka budą, a skóra łańcuchem”, powiedziałby ojciec.*

Teraz portrety. *Co za prawda w twarzach!* Liżące ramę cwaniactwo z „Portretu prawnika” de Voisa, wyniosłość artysty z autoportretu Hannemana. Przekaz dusz portretowanych i portretujących. *Ci malarze żyją przez wieki! A ja? Czy będę tak żył? Zostanie coś po mnie?* Pani pilnująca obrazów zapada się w parkiet. Czarno.

– Zemdlałeś – pluje po mnie zimną herbatą. Zapach cytryn z obrazu van Schootena. – Do kogo mam dzwonić? Do rodziców? – pluje i pluje.

– Mam wracać do domu? Do szkoły? Do matki z Eisenem? Do klasy z Horecką? Przecież mam pieniądze. Mogę gdzieś jeszcze pojechać. Za Poznań. Podróżować po czystych nizinach, rysować je wiosną. Będę pędził

pociągami na żelaznym zderzaku. Wir w stopach. Mknąca blisko szyna kusi: „dotknij butem”, poczuć prędkość pociągu. Bądź prędkością. Żeby tylko nie padało.

– Mówisz do siebie, czy do obrazów? – pyta „pilnująca”.

– Do obrazów. One widzą, one słyszą – stanąłem pod van Loo.

– No to zamykamy Muzeum – zmusza mnie pani do wyjścia, do dalszej podróży.

– *Najpierw zobacz Gniezno, śmierć Świętego Wojciecha – zaprowadził mnie na dworzec Anioł Stróż.*

Pod Bazyliką. Remont. Drzwi oparte o kościół. Rzeźbione skrzydła na zewnętrznych ścianach. Jakby podpierały katedrę. Brąz, dokument do pielęgnowania. Piękno w niebieskim słońcu. Modłę się przed skrzydłem. Przed Chwilą. Zapatrzone w rzeźbienia. Tyle scen w kwaterach. Odczuwam krew w metalu. Ujrzałem czyjeś cierpienie. Pierwszy raz coś takiego. Dotknął mi Wojciech czoła dłonią z brązu. I nic. *Nie jest jeszcze świętym, lecz misjonarzem.*

– *Już jadą dzikusy – zaszeptał mi do nosa – zabiją dzisiaj toporem. Wolę umrzeć teraz ostro, niż czekać dziewięćset pięćdziesiąt sześć lat na UB, być zabijanym powoli podczas przesłuchań metodą Dzierżyńskiego – szeptał ze wszystkich kwater. Chciałem mu dać chałwę i kawałek Gniezna. Ale zaszło słońce i została sztuka.*

Przeszedłem między brązem a murem. Przez ten trójkąt z ziemi, wrót i ściany katedry. Było tam niebiesko.

Wągrowiec, Września, przemieszane w oku. Popłątane rzeki, jeziora w jeziorach, las w las przenika. Nałożyły się na siebie kościoły miasteczek. Późnogotycki z późniejszym. Renesansowa polichromia z nijaką. Tylko kościółek na Lipówce stoi pojedynczo. Przepiękny zrąb z wieżyczką na sygnaturkę. Z trzema ołtarzykami dla Rocha i Rozalki po bokach, a w środku dla Jezuska. To małe cacko zajęło mi pół głowy. A może trzy czwarte? Wypiera opowieści wrześnian i wągrowczan, „bunt polskich dzieci w pruskiej szkole, atak powstańców na oddział Grenzschtzu, nalot Luftwaffe”. Historia zepchnięta w tył czaszki.

Niestety skończyły się pieniądze. Wracam do Katowic. Sam. Pod pachami mnóstwo rysunków do podarcia przez Eisena. Czuję w opuszkach niepokój papieru, drżenie kresek. W gardle strach przed matką.

Ponownie staję się dzieckiem.

Jacek Durski

Gaja Kołodziej

Złodziej stulecia

(fragment)

Papier okazał się kopertą, na której ktoś napisał moje imię, pełne imię, a nie jego skrót czy obraźliwą ksywę, więc była tylko jedna osoba, która mogła być nadawcą. Serce zabiło mi mocniej, więc czym prędzej zamknęłam drzwi i usiadłam na łóżku, aby zbadać zawartość tajemniczej koperty.

List nosił datę sprzed dwóch lat, a ładny ozdobny charakter pisma utwierdził mnie w przekonaniu, kim był nadawca. Ręce mi się trzęsły, gdy przebiegałam wzrokiem po równych linijkach, i zanim dotarłam do końca, oczy miałam pełne łez. Wytarłam je wierzchem dłoni i zaraz przeczytałam list od nowa, zwracając większą uwagę na poszczególne słowa, a nie tylko na ogólny przekaz.

Mama spodziewała się, że wkrótce umrze. Wszyscy wiedzieliśmy, że tak to się skończy, bo choć przez tyle lat dzielnie walczyła z nowotworem, lekarze nigdy nie pozostawiali nam złudzeń. Zwykle ludzie umierają na białaczkę dużo szybciej, mogliśmy się zatem cieszyć, że przetrwała tak długo. Widziała, jak dorastamy, kończymy szkoły, studia, wchodzimy w dorosłe życie. Co prawda żaden z moich braci jeszcze się nie ożenił, ale była to tylko kwestia czasu. Pewnego dnia urodzą im się dzieci, niestety, mamie nie będzie dane ich zobaczyć. Na pewno ucieszyłby ją ten widok.

Lecz ja nie byłam jednym z braci. Wydawało mi się, że o tym drobnym, acz znaczącym fakcie wszyscy już w rodzinie dawno zapomnieli, ale list uświadomił mi, że się myliłam. Mama pisała bardzo osobiście o mnie jako małej dziewczynce, dorastającej dziewczynie i młodej kobiecie. Zanotowała swoje spostrzeżenia, wspomnienia, przemyślenia. Część z nich sprawiła, że miałam ochotę się roześmiać, inne zmuszały do refleksji, a niektóre były boleśnie przykre. Mama okazała się dobrym obserwatorem i dostrzegała dużo więcej, niż przypuszczałam. Moje kłamstwa, zatajanie prawdy i udawanie, że wszystko jest w porządku, gdy ewidentnie nie było. Zauważyła, że zmagam się z kobiecą stroną mojej natury, że staram się zrozumieć nie tylko, kim jestem, ale również jaka jestem.

Zwinęłam się w kulkę na łóżku i czytałam list raz po raz, aż łązy całkowicie przesłoniły mi widoczność. Jedno zdanie szczególnie mocno ukuło mnie w serce:

Skoro nie wierzysz lustru, uwierz w moje słowa – jesteś piękna.

Nikt nigdy nie nazwał mnie piękną. Gdy byłam bardzo mała, parokrotnie słyszałam, jak ludzie mówili „jakie ładne dziecko”, ale na tym się skończyło. Później nazywali mnie silną, odważną i zwinną. Jednakże im byłam starsza, tym mniej otrzymywałam komplementów, bo nagle wszyscy koncentrowali się wyłącznie na bójkach, ucieczkach i kłótniach. Dobrze ułożona dziewczyna powinna być miła, skromna, nieśmiała i przede wszystkim ładna. Niestety, ja nie zaliczałam się do żadnej z tych kategorii.

Swego czasu Robert lubił sobie żartować, że bicepsy mam większe niż cycki. Z początku się z tego śmiałam, bo śmiali się wszyscy, ale wkrótce zaczęłam szczerze nienawidzić tego porównania. I chociaż wreszcie urosły mi piersi, do tej pory pozostawały w miniaturowym rozmiarze. Zresztą nie była to tylko kwestia biustu – miałam patykowatą figurę, wąskie biodra, prawie nieistniejącą talię. Lata mijały, a jedyne, co się we mnie zauważalnie zmieniało, to mięśnie. Chcąc nie chcąc, w końcu zaakceptowałam przykrą prawdę.

Jesteś piękna.

Słowa te sprawiały, że wewnątrz drżałam. Serce mi przyśpieszało i miałam ochotę znowu się rozpłakać, a przecież tak rzadko mi się to zdarzało. Zdałam sobie sprawę, że chociaż póki co nie potrafię uwierzyć mamie, pewnego dnia chciałabym... móc.



Gaja Kołodziej, *Złodziej stulecia*
 Numer ISBN 978-83-65351-51-7
 Wydawnictwo Lucky, Radom 2017
 ss. 320, oprawa miękka

Adam Lizakowski

Zapiski znad Zatoki San Francisco*

Część pierwsza

Dziennik Pieszycki

(fragmenty)

5 stycznia 1981

Nowy Rok 1981 rozpoczął się balem Sylwestrowym z Haliną w klubie „Mrowisko. Stary zakończył się tragedią – ósmego grudnia w Nowym Jorku został zastrzelony John Lennon, i radością – dziesiątego grudnia 1980 r. Czesław Miłosz otrzymał w Sztokholmie Literacką Nagrodę Nobla. To trzy najważniejsze wydarzenia w moim życiu w ostatnich tygodniach. Każde z nich na swój sposób wpłynęło na moje samopoczucie budząc we mnie uczucia, o których istnieniu nigdy wcześniej nie wiedziałem.

Listopadowy numer „Literatury na świecie” z ubiegłego roku na stronie 390 pisze: *Nagrodę Nobla za rok 1979 otrzymał Czesław Miłosz. Czesław Miłosz jest jednym z największych poetów polskich dwudziestego wieku od czasu romantyzmu. Jest także znakomitym eseistą i godnym uwagi powieściopisarzem. Zajmował się też tłumaczeniem. Jego przekłady należą do najwybitniejszych osiągnięć translatorskich polskiej literatury współczesnej.*

Nie wiem, dlaczego „Literatura na świecie” napisała, że Nobel Miłosza jest za rok 1979, myślę, że za rok 1980, ale może redaktorzy ulubionego przeze mnie miesięcznika wiedzą lepiej. Po raz pierwszy na poezję Miłosza natrafiłem w wakacyjnym numerze „Poezji” z ubiegłego roku, w którym zamieszczono kilka stron wierszy Noblisty. Natomiast mało wiem o nim samym. Nagle dowiaduję się, że Miłosz jest najwybitniejszym polskim poetą od czasów romantyzmu, eseistą, powieściopisarzem, którego dorobku literackiego w ogóle nie znam. Znajduje się kilka jego przekładów

* *Zapiski znad Zatoki San Francisco*. Dziennik Adama Lizakowskiego pisany w latach 1981-1987. Pierwsza nagroda na Międzynarodowym Konkursie Pamiętnikarskim im. gen. Stanisława Maczka w 1996 roku. Autor szuka wydawcy.

w dwutomowej antologii poetów języka angielskiego opracowanej przez Żuławskiego, ale to za mało, aby powiedzieć, że znam jego dorobek poetycki.

Na usprawiedliwienie swoje i „Literatury na świecie” mogę zacytować fragment ostatniego paragrafu tej notki: *Przez wiele ostatnich lat nieraz podejmowano próby przywrócenia poety (i nazwiska) świadomości kulturalnej zwykłego człowieka. Próby te na ogół zawodziły. Nie miejsce tu, by odpowiadać na pytanie, dlaczego tak się działo. A na pytanie to odpowiedzieć trzeba.*

No cóż, komentarza nie potrzeba, ale dobrze się stało, że „zwykły człowiek” czyli ja, będzie mógł nareszcie dowiedzieć się, dlaczego przez tyle lat nie mógł czytać wierszy Miłosza. Przepraszam cię mój pamiętniku, żartuję, wygłupiam się, przecież wiem, każde dziecko wie, dlaczego Miłosza i tylu innych poetów, działaczy politycznych, ludzi sumienia nie można było spotkać na niwie naszej kultury.

12 stycznia 1981

Koniec okresu świątecznego i koniec nastroju świątecznego, powracamy do codziennej normalności, czyli spraw dnia codziennego. Następne 12 miesięcy będzie rządzić nami, tak jak tylko będzie chciało, plus przypadek, plus to co zostało zapisane w gwiazdach, plus sama wiara i nadzieja dyktować będą swoje warunki, na które w wielu przypadkach zgodzimy się, bo nie będzie innego wyjścia. Życie – szkoła kompromisów – pokaże wszystko, co tylko potrafi, i jeszcze więcej. Biblijny Samson czy David to alegoria nas samych, słabych ludzi, którzy biorą się za bary z życiem, które rzuca nimi o ziemię, ale czasem człowiek wygrywa.

Siedzę zawinięty w koc w zimnym mieszkaniu, nad kartką papieru, dumam; co tu napisać takiego, czego jeszcze nie było. Czy prowincja Dolny Śląsk, góry Sowie (moja mała ojczyzna) może być atrakcyjna dla tych ze stolicy. Czy opisywanie tego, co tutaj przeżywam, jak widzę i odbieram świat, może być wydarzeniem literackim? Czymś nowym czego jeszcze nie było? Albo jak połączyć śmierć Lennona z Noblem Miłosza. Nie ma w tym żadnego sensu, rozdział gitarzysty z Liverpoolu definitywnie się zakończył. Natomiast Miłosz ze swoją poezją wszedł w moje życie. Nobel Miłosza otworzył drzwi nie tylko dla mnie, ale dla wielu, którzy potrafią to zauważyć. Mogę powiedzieć – Lennona zastąpił Miłosz. Z jednej wielkiej miłości wpadłem w drugą. Dzięki Lennonowi rozpocząłem naukę angielskiego, dzięki Miłoszowi rozpocznę przygodę z polską literaturą XX wieku.

Początek roku i nowych marzeń – jak sądzę – wiele osób planuje cuda na patyku. Teraz, jak nigdy wcześniej, można pokusić się o snucie planów na cały rok: składanie życzeń, ściskanie rąk, obejmowanie się, całowanie, a gratulowaniu sobie tego wszystkiego, co do tej pory się wydarzyło. Obiecanki cacanki, i tak większość planów nigdy się nie spełni, na nasze szczęście i nieszczęście, i tak jest dobrze, i tak jest pięknie, że możemy żyć z niespełnionymi marzeniami. Tak jest najlepiej dla nas samych, ale my tego nie wiemy. Zamartwiamy się, że coś tam nam w życiu nie wyszło. Stary rok rozdrapujemy na części dni, tygodni i miesięcy, głowimy się, wymądrzamy i tak minie dwanaście miesięcy. Wtedy okaże się, że nie jesteśmy mądrzejsi. A nawet głupsi, więc wszystko pozostawiam dniom, które dopiero nadejdą. Tak będzie najlepiej, najmądrzej, najwygodniej.

A jaki był stary rok 1980? Wspaniały. Narodziny „Solidarności”, zwolnienie ze służby wojskowej z powodów zdrowotnych, poznanie Haliny, literacki Nobel Miłosza. Umarł Lennon, aby Miłosz mógł się narodzić. Na ołtarzu popiołów jednych marzeń rodzą się inne jeszcze piękniejsze, śmielsze dla tych których serce jest dzwonem obwieszczającym życie, a nie tylko pompą.

26 stycznia 1981

Czytam gazety, jakie tylko wpadną w moje ręce. Jest to mi potrzebne jak nigdy dotąd, ponieważ całe społeczeństwo dyskutuje na wszystkie tematy. Pod lupę dyskusji brane są poniedziałkowe teatry telewizji, sport, kolejki po mięso, skończywszy na królowej dyskusji p o l i t y c e. Pieszyckie Towarzystwo Przelewania Pustego w Próżne interesuje się prawie wszystkim. Takiego ożywienia i tylu dyskusji dawno nie było. Oczywiście polityka i sprawa dnia codziennego dominują.

Interesującej, na poziomie rozmowie przysłuchiwałem się w zakładzie fryzjerskim pana Zenka, w której udział wzięli jego klienci czekający cierpliwie w kolejce na strzyżenie głowy. Otóż robotnicy, którzy zupełnie niedawno temu pracowali wytrwale przy budowaniu komunizmu, narzekali, ale pracowali i nie zastanawiali się, czy są szczęśliwi, czy nie, teraz zaczęli domagać się wolnych sobót. Organizują strajki ostrzegawsze, co oczywiście dobrowadza do wszelkiego rodzaju zakłóceń w życiu gospodarczym państwa, a „Trybuna Ludu” pisze o tym na pierwszej stronie. Ale klienci pana Zenka wcale się tym nie martwią, ponieważ jeśli gospodarka zupełnie upadnie to i komunizm upadanie. Czyli im gorzej tym lepiej. A co będzie z fabrykami, w których oni teraz pracują, jeśli przestaną w nich pracować albo fabryki przestaną być opłacalne dla państwa? O tym nikt jeszcze nie mówi.

Nie mam żadnych wątpliwości, że strajki to jakieś tymczasowe rozwiązanie, ale czy rzeczywiście musi cała polska komunistyczna gospodarka skonać, aby mogła narodzić się kapitalistyczna? Prawdę mówiąc, nie wierzę, że w ciągu jednego dnia lub nocy może się to dokonać. Po drugie, robotnicy tak pewnie mówili o swoich racjach, że brzmiało to w moich uszach jak zarozumiałość. To, że byli i są wykorzystywani, że „coś” im się należy, wiem już od dawna. Zgoda, należy im się to od 1945 roku, ale w tym momencie jest całkowity bałagan w kraju (jak można nazwać obecne wydarzenia), którego nawet sam Lech Wałęsa nie potrafi kontrować.

Wcale nie byłbym zdziwiony, gdyby 90 procent wszystkich informacji o tym, co dzieje się w Polsce, zupełnie do przywódcy „Solidarności” nie docierało. Z jednej strony ciągle wizyty zagranicznych gości w Polsce, a z drugiej wyjazdy zagraniczne Wałęsy, np. do Francji bardziej wygląda to na czynienie z „Solidarności” gwiazdy sezonu niż poważne traktowanie przeciwnika, który nadal jest bardzo groźny, a Kreml wręcz nie może doczekać się położenia łapy na tym wszystkim, co się w Polsce rozgrywa. Poza tym argumenty pieszych robotników uświadomiły mi realia, w jakich wszyscy teraz żyjemy. Można pogratulować im tak wielkiej roztropności i rozważi. Ich wypowiedzi do mnie trafiały, szkoda tylko, że z Pieszczy jest tak daleko do władz związkowych w Gdańsku czy w Warszawie.

5 lutego 1981

Robert Czachorowski, kolega, poprosił mnie o małą pożyczkę pieniędzy, które ma zamiar przeznaczyć na uszycie sobie garnituru z jeansu. Robert gdzieś jakimś psim śwędem zwęszył materiał przywieziony przez kogoś, kto był w Niemczech. Niestety musiałem mu odmówić, ponieważ chciał pożyczyć więcej niż moja miesięczna wypłata. Nie dosyć, że mu odmówiłem to jeszcze „wygłosiłem kazanie”, aby nie szalał, koszt całego przedsięwzięcia wyniesie około 25 tysięcy złotych, czyli jakieś pięć jego wypłat. Nie wydaje mi się jednak, że przemówiłem mu do rozsądku. Taki garnitur to dopiero byłby szal, nie mówiąc już o wzdychających dziewczynach we Wrocławiu, do którego się obecnie przeprowadza.

18 lutego 1981

Generał Jaruzelski 12 lutego został premierem rządu komunistów. Poprzedni premier Józef Pińkowski nie wywarł na mnie większego wrażenia. Nawet jego rządów nie zauważyłem. Był i przepadł jak kamień w wodę, jak jakiś bohater dopiero co przeczytanej powieści, o której po odłożeniu

książki zapomina się. Wicepremierem został Mieczysław F. Rakowski, były redaktor naczelny tygodnika „Polityka”. Słowem – wojsko i dziennikarze zaczynają nami rządzić. Czy taki rząd może być stabilny i wiarygodny? Czyba nie. Czarny kolor dziennikarskiej farby gryzie się z kolorem żołnierskiej czerwonej krwi. Wymieszanie kolorów może przypominać błoto. Co to może oznaczać, nie wiem, ale gdybym wybrał się do fryzjera Zenka, na pewno bym się dowiedział. Ludzie w Pieszcach wiedzą wszystko. Jest to dla wielu tutejszych robotników oczywiste i jasne jak słońce w samo południe. Polska będzie wolna wtedy, gdy Rosja upadnie. Nie może być wolnej Polski bez wolnej Rosji, czyli dwa naczynia połączone. Ale jak wywalczyć nie tylko wolną Polskę, ale wolną Rosję, Ukrainę, Litwę itd. Czy jest to możliwe? Gdy Rosja sama w sobie pęknie, wtedy wszystko będzie możliwe.

2 marca 1981

Zima daje się we znaki, węgiel prawie się kończy i nie mam czym palić w piecu. Palę tylko w soboty i niedziele, bo wtedy przebywam w domu najwięcej. W roboczy dzień jeszcze pół biedy – jestem w pracy, wieczorem u znajomych, u Kazia Wondraszka na telewizji. W nocy jest bardzo zimno. Śpię pod grubą pierzyną, ubrany w ciepłe rzeczy. Najgorsze jest poranne wstawanie. Ubieram się dosłownie w 10 sekund. W tym moim komicznym pośpiechu zapinania rozporka, koszuli, wiązaniu butów czai się świadomość niemocy.

Wysłałem kilka wierszy do warszawskiej „Poezji”. Nowy Rok wysypał z rękawa parę nowych utworów. Jest to moje kolejne podejście i chyba nie ostatnie. Niewidzialna konkurencja jest bezwzględna i nigdy jej nie drży ręka przy wyrzucaniu wierszy do kosza na śmieci. Niestety, właściwie nigdy nie wiem, dlaczego moje wiersze zostają odrzucane. „Poezja”, pismo ogólnopolskie, które czytam od pięciu lat, według mnie bardzo nierówno redagowane, nie zawsze ciekawe. Nie zawsze potrafię zrozumieć kryteria redaktorów kwalifikujących wiersze do druku. W sumie nie moja to sprawa oceniać tych, co oceniają czyjąś twórczość, jedyne co mogę zrobić, to powołać się na czas, który rozsądzi, kto miał rację.

Chociaż wiadomo, najpierw drukuje się wiersze swoich przyjaciół i znajomych, później przyjaciół znajomych, następnie polecane przez znajomych. Wiersze poetów lansowanych przez partię, nie mówiąc już o wierszach bufonów, którzy są tuż przy samym korycie poezji w Warszawie. Są też indywidualiści poetyccy nienasyceni rządzą oglądania swojego nazwiska

w gazecie. Słowem, mam pretensję do wszystkich tych, którzy odpowiadają za druk wierszy w Polsce, że nie publikują moich świetnych wierszy, które według mnie prezentują ciekawszą stronę życia, o której oni tam w tych swych zadymionych małych pokojach redakcyjnych warszawsko-krakowskiej kliki poetyckiej nie mają pojęcia. Głowy im ciąży od alkoholu jeszcze nie przefitowanego przez nerki, serce, mózg. Cha, cha, cha...

25 marca 1981

Partia opowiada się za socjalizmem. Zakończył się kolejny, bo XXVI Zjazd radzieckich komunistów. Leonid Breżniew po raz kolejny przewodniczącym KPZR. Nikogo to w Polsce nie dziwi, w Europie Wschodniej też nie, podejrzewam, że i Reagan nie jest tym zdziwiony. Zdziwienie byłoby wtedy, gdyby wybrano kogoś innego. Wtedy gorączkowo rozważano by; co właściwie się dzieje? Kogo się bać? Gdzie szukać przyjaciół? A tak wszystkim jasne – „Radzieccy komuniści nie opuszczą polskich w biedzie”.

Kilka dni temu pobito działaczy „Solidarności” w Bydgoszczy. Społeczeństwo zostało zaalarmowane po raz kolejny bezczelnością milicji, która z nikim się nie liczy. Wiadomo, milicjanci na pewno otrzymali rozkaz – przyzwolenie z Komitemu Wojewódzkiego partii. Znosi się na strajk generalny w całej Polsce. Wałęsa uznał akcję milicji za atak na związek i słusznie, tak właśnie było, nie inaczej. Co to wszystko może oznaczać? Tylko jedno – zwycięstwo zawsze jest po stronie silniejszych.

5 kwietnia 1981

Dwa dni temu, w piątek, w Warszawie, ukazał się pierwszy numer tygodnika „Solidarność”, niestety jeszcze do Pieszyc (moich rąk) gazeta nie dotarła, ale już teraz o tym piszę, bo jest to bardzo ważne wydarzenie. Można powiedzieć historyczne przynajmniej dla nas, którzy przez całe życie, tj. przez 24 lata w moim przypadku lub trzydzieści pięć lat (od zakończenia wojny) zdani byli tylko na „Głos Ameryki” czy „Radio Wolna Europa”. Redaktorem naczelnym został Tadeusz Mazowiecki. Człowiek, o którym w Pieszcach mało kto słyszał, ale prawdopodobnie bardzo prawy, skoro został wybrany na tak wysokie stanowisko. Przynajmniej teraz będą wiadomości z pierwszej ręki, prawdziwe bez skreśleń cenzora (taką mam nadzieję). W przeciwnym razie nie byłoby sensu wydawać jeszcze jednej gazety, która kłamie.

12 kwietnia 1981

Generał Jaruzelski apeluje o zawieszenie na trzy miesiące akcji strajkowych. Jedni uważają to za sprytny wybieg komunistów, którzy potrzebują czasu, aby się pozbierać. Inni widzą w apelu Jaruzelskiego słabość rządów komunistycznych. Są też tacy, którzy mają już dość strajków i nazywają je bałaganem – tak określają jawne manifestacje, niezadowolenie społeczeństwa. Osobiście jestem za strajkami i za tym, aby komuniści jak najszybciej ustąpili, oddając władzę „Solidarności” i jej zwolennikom.

Wszystkim wiadomo, strajki osłabiają naszą gospodarkę, czynią chaos, zamieszanie, ale to i tak mała cena za odzyskaną „wolność tymczasową”, trwającą już dziewięć miesięcy, tj. od sierpnia 1980. Polska wpędza się w jeszcze większą biedę, biedni nie mogą pozwolić sobie na walkę fair play. W tym wszystkim za mało jest inteligencji, czyli ludzi, którzy mogliby na zimno, spokojnie, racjonalnie, z boku przyglądać się i podejmować decyzję. Obie strony są tak gorąco zaangażowane w szarpaninę, że nie mają chwili oddechu, aby odsapnąć i spokojnie rozejrzeć się na boki, coś dopiero mówić o myśleniu.

25 kwietnia 1981

Pierwsi koledzy z Pieszyc grupami po trzech, pięciu wyjeżdżają na Zachód, do Niemiec. Twierdzą, że czuć już lato w powietrzu. Pracy w Polsce będzie coraz mniej, złotówka to nie pieniądź, ale rzecz umowna. Natomiast na Zachodzie z końcem wiosny pracy będzie coraz więcej, więc nie ma po co siedzieć w kraju i głodować. Sam rozmyślałem o wyjeździe, może bym i wyjechał, nawet jeśli nie po pieniądze to z ciekawości, aby na własne oczy zobaczyć ten zakazany legendarny zgniły Zachód, powąchając ten kwiatek bez zrywania go w taki polski romantyczny sposób, z zacisniętymi zębami, oczami pełnymi łez.

4 maja 1981

W tym roku 1 maja wypadł w piątek, czyli cały kraj świętował przez trzy dni, (niektórzy odpracowali sobotę). Komuniści obchodzili swoje święto, ale nie tak hucznie jak zwykle. Brakło dekoracji czyli flag, portretów przywódców i proroków komunistycznych. Ulice nie były tak „pięknie i bogato” udekorowane jak kiedyś. Przyczyn takiego stanu rzeczy jest wiele, począwszy od kryzysu ideologii poprzez brak pieniędzy. Wygląda na to, że komunizm kończy się wraz z brakiem finansów. Sztuka oszukiwania

wykreowana przez tyle lat nagle przestaje być sztukę, a staje się nędzną, głupią farsą. Geniusz trzech filozofów, ojców ludzkości – kończy się w jednym punkcie – pusta kasa. Nie tylko ich, zresztą.

Trzeci Maja po raz pierwszy jest nie tylko świętem kościelnym, ale i państwowym, czyli solidarnościowym. Znam takich, którzy byli na pochodzie pierwszomajowym w piątek, a w niedzielę trzeciego maja poszli do kościoła świętować kapitalistyczne święto przedwojennej Polski. Niestety nie miałem okazji oglądać telewizji i nie wiem, czy były (chyba były) pokazywane migawki filmowe z „bratnich stolic”.

Adam Lizakowski

Jerzy Marciniak

*Mojej kochanej żonie
Grażynie Marciniak-Szczęblewskiej
z Lund*

Krokusy

(albo szlak bojowy Polityka)

Poeta patrzył na wschodzące słońce i płakał. Obok stał Polityk i załamtwał się w spodnie. A wokoło była taka cicha cisza, którą spotkać można już tylko w małych wsiach. W których większość mieszkańców stanowią starzy ludzie i gdzie psy odzywają się rzadko, bo wiedzą, że obcy tutaj przestali przychodzić.

Pobrzeżem drogi szła staruszka i szeptała pod nosem modlitwy. Widząc tych dwóch, przeszła na drugą stronę, a potem skręciła w wąską ścieżkę biegnącą pod górę.

Tą drogą nadchodziły kiedyś wojska. Niemcy bronili się na wzgórzu i w niektórych zabudowaniach, ale oni szli i szli schowani za czołgami. Po południu było już cicho, wieś była wolna i ludzie zaczęli wychodzić z piwnic. W powietrzu czuć było proch i sączył się dym z ruin kościoła. Kilka starszych kobiet z kwiatami pobiegło w stronę strumyka, nad którym zatrzymało się wojsko. Obejmowały żołnierzy, a z oczu ich płynęły łzy. Później cała wieś zebrała się na łące i zaczęto wiwatować zwycięstwo. Trzech poległych pochowano na zboczu góry, gdyż we wsi był tylko mały cmentarz katolicki.

Poranne mgły zaczęły rzednąć i powoli odsłaniała się góra i stojący na jej zboczu pomnik. Staruszka zerwała kilka krokusów rozkwitłych w przydrożnym rowie i podeszła pod pomnik. Z daleka wyglądało to tak, jakby ona najpierw przeżegnała się, później rozglądała na boki, popatrzyła po tych paru kawałkach płyt z kamiennego piedestału i położyła tam krokusy. A później albo przysiadła u podnóża pomnika albo przykucnęła, gdyż widać było jedynie jej kolorową chustę.

Poeta i Polityk podeszli pod drewniany dom z wytartym progiem. Polityk wyjął z teczki arkusz papieru podaniowego z dużym nadrukiem u góry: Prośba – Petycja. Potem poprawił krawat i zastukał w stare, spękane drzwi.

Po chwili rozległ się odgłos niedołącznych kroków i uchyliło okno w jednym z pomieszczeń. Niedołężny starszek musiał znać istotę rzeczy, bo konkretnie i prosto odniósł się do jej sedna:

– Spier...

Zaniósł się jednak suchym kaszlem i druga część wyrazu ugrzęzła gdzieś w jego rozedrganej kratani. Polityk złożył zamaszysty podpis na trzymanej w dłoni Prośbie-Petycji i obaj opuścili podwórze.

Dom po drugiej stronie drogi był murowany, ale mocno zapadnięty w ziemię. Na drzwiach miał wykaligrafowany białą kredą napis:

$K + M + B = \textit{\text{Święta}}$.

Polityk zapukał w drzwi i prawie od razu otrzymał odpowiedź. Była ona w zamiarze podobna do poprzedniej. Wypowiedziana została również starczym głosem i częściowo została zagłuszona nieporadnym szuraniem stóp w sieni.

– Spier...

Polityk złożył zamaszysty podpis na Prośbie-Petycji i spojrzeniem wskazał Poecie bramę.

Najokazalszą budowlą we wsi była remiza Ochotniczej Straży Pożarnej. Związane z nią historie budziły zachwyt jednych, zawiść innych czy niedowierzanie następnych. Jedna z historii związana była z postacią Inwalidy Wojennego, który przy wyzwalaniu wsi nadepnął na minę leżącą w przydrożnym rowie. Do remizy wniosły go kobiety, gdy tylko wymiana ognia nieco ucichła i tam lekarz amputował mu zwisające poniżej kolana kawałki ciała. On do jednej z nich powiedział; chciałem ci nazrywać krokusów. Ona starła mu wtedy łzy z młodej twarzy i oświadczyła się. Po paru miesiącach zostali małżeństwem.

W sali remizy odbywały się wesela, a w karnawale zabawy teneczne. Na jednym z balów przygrywała orkiestra z dużego miasta. O północy zaczęli grać wiązanki walców. I gdy rozległy się pierwsze takty „Na Wzgórzach Mandżurii”, to otworzyły się na oścież drzwi i Inwalida Wojenny wszedł między tańczące pary. Orkiestra zamilkła, tańczący stanęli i zapadła długa cisza. On stał jeszcze chwilę, a później wyszedł. Grający na akordeonie muzyk przyłożył rękę do serca, a później odprowadził wychodzącego wzrokiem. Tańczący zaczęli szeptać między sobą, że do melodii tego walca nie powinno się tańczyć, bo to wyglądałoby tak, jakby ktoś chciał bawić się na grobach poległych żołnierzy. I po tym nastąpiła taka niepisana we wsi umowa, że gdy orkiestra grała tego walca, to ludzie wstawali z miejsc i stali w bezruchu z pochylonymi głowami. A wiele osób trzymało dłonie na sercu.

Poeta i Polityk stanęli na drodze. Jeden miał zapłakaną twarz, bo nie był pewny, czy powinien robić to, co robił, a drugiego oblicze było czerwone i napięte, gdyż znowu załatwiał się w spodnie. Po chwili wyszedł siwiutki, emerytowany strażak i drżącym głosem, przerywanym asmatycznym oddechem, powiedział:

– Spier...

Po czym nachylił się mocno i przytknął dłoń do zsiniałych warg. Polityk szybko wykreował kolejny podpis na Prośbie-Petycji i ruszyli przed siebie.

Poecie szło z poezją tak jak szło, więc częściej szlochał niż nie płakał. Brnął w twórczość zaangażowaną vel polityczną, z której później po cichu i okrakiem próbował się wycofywać, ale zahaczał o krawężniki chodników i pozostawał nadal w tych samych miejscach.

Znany był jego poemat o miłości, ale z czasem i o tym tekście niektórzy zaczęli mówić niezbyt dobrze, a czasami nawet źle. Krytyk z pobliskiego miasteczka, który też pisał wiersze zaangażowane, twierdził, że interpunkcja nie do końca zgadzała się z gramatyką.

A do tego wątpliwy był profil psychologiczny bohaterów, bo gdy dziewczyna chciała, by ją narzeczony rozebrał, to on pytał, czy ma uregulowane składki w Związku Młodzieży Socjalistycznej, jak ona rozebrała się sama i prosiła, by zaczął ją wreszcie całować, to on wytykał jej nieobecność na czynach społecznych, a gdy ona w końcu i jego rozebrała, to on szybko ubrał się z powrotem i wybiegł z parku.

Chodziły też słuchy, że Poeta nie odciął się do końca od uroczystości związanych z Rocznicami Wyzwolenia Wsi. I jak tylko mieszkańcy późną nocą odchodzili od pomnika, to on pojawiał się za strumykiem i obserwował przedpole. A po odejściu Inwalidy Wojennego podbiegał chyłkiem i wyciągał zza koszuli krokusy. Składał je obok innych kwiatów, pośpiesznie szeptał słowa modlitwy i szybko uciekał.

„Dytyramb dla ekipy rozbiórkowej”, który Polityk obiecał wydrukować mu w liczącym się czasopiśmie literackim, też nie rozjaśniał mu twarzy ani nie ocierał płynących z oczu łez. W dalszym ciągu prawie codziennie łkał a kilka dni w tygodniu płakał. Podobno nawet i w czasie snu. Do tego nie zaprzestał kłaniać się Inwalidzie Wojennemu, co psuło mu opinię u polityków zasiadających we władzach samorządowych.

Stanęli na rozstajach dróg i popatrzyli po sobie. Poeta miał w dalszym ciągu zapłakaną twarz, a Polityk czerwoną i mocno napiętą, gdyż załatwiał się w spodnie. Słońce stało w zenicie i kurczyły się cienie. Musiała być dokładnie godzina dwunasta, bo z sąsiedniej wsi dobiegł cichy pogłos

kościelnego dzwonu. Poeta wykonał taki ruch, jakby miał zamiar przeżegnać się, ale zobaczył ostry wzrok Polityka i zatrzymał rękę tak gdzieś na wysokości brody czy ust.

Ucichł pogłos dzwonu i obaj podeszli pod niski sztalugowy dom. Polityk zastukał w drzwi i zaczął nasłuchiwać. Po chwili dobiegły z sieni ciężkie, powolne kroki i drzwi uchyliły się. Zobaczyli twarz staruszki. Na głowie miała grubą, ciemną chustę z frędzlami, która zasłaniała jej część twarzy i połowę ust. Staruszka odsunęła niezgrabnie róg chusty i chciała chyba coś powiedzieć, ale przeciąg nagnał chustę głębiej na jej twarz, że można było jedynie dosłyszeć:

– Spier...

Polityk odwrócił się, machnął niewyraźny podpis na Prośbie-Petycji i nic nie mówiąc, kiwnął na płaczącego Poetę.

Widać było, że Polityk jakby zaczynał markotnieć na twarzy i jakby ztracał lekkość chodu. A Poeta chwilami nie nadążał ścierać z twarzy płynących łez.

Powoli podeszli pod następny dom. Właściciel był znany z tego, że miał poglądy polityczne stałe, niechętnie wobec rządzących. I po upadku PRL-u musiał je nieustannie zmieniać, by tę swoją stałość utrzymywać. Obrazowo przedstawiał on je poprzez klepnięcia się w tylną część ciała. Słownie wyrażał je prostym zdaniem oznajmującym, że poglądy polityczne, ideologię i przekonania ma takie, że największemu wrogowi by nie życzył. Jedynym autorytetem dla niego, i to bez względu na wyniki wyborów, był Inwalida Wojenny.

Właściciel domu musiał być też i przewidujący. Polityk i Poeta nawet nie zdążyli otworzyć furtki, a on już spuścił na nich psy. Przekazał też Politykowi swój pogląd na temat polityki wewnętrznej i zagranicznej kraju oraz poszanowania prawdy historycznej. Ilość słów była skromna, ale pomiędzy ujadania psów można było wyłowić:

– Spier...

Polityk był chyba przygotowany na taki obrót sprawy, bo podpisał bardzo szybko to, co miał podpisać. I od furtki też odszedł jakby szybciej, chociaż jeszcze przed chwilą chodził wolno, bo ciążyły mu mocno spodnie.

Dom Inwalidy Wojennego był wiekowy i z tej starej starości szybko zapadał się w ziemię. Zwłaszcza wytarty próg szedł coraz bardziej i bardziej w dół. Tak, że po ulewnych burzach woda prawie dosięgała jego szczytu.

Mieszkańcy wsi mówili jednak zgodnie, że dom ten rósł i rósł, a wraz z nim wzrastał też i Inwalida Wojenny. Ksiądz przed mszą podchodził

zawsze do Niego i podawał mu rękę. Orkiestra Ochotniczej Straży Pożarnej w każde Jego imieniny przychodziła na podwórze i grała mu pieśni wojskowe. Siostry z pobliskiego zakonu przynosiły mu ciasto własnego wypieku na Boże Narodzenie i Wielkanoc. A każde dziecko ze wsi kłaniało mu się z daleka.

Po upadku PRL-u niektórzy we wsi zaczęli go omijać. Inni szeptać, że Inwalida Wojenny to nie chluba wsi tylko wstyd, bo służył w Ludowym Wojsku Polskim, które szło razem z Armią Czerwoną. A w niektórych gazetach można już było wyczytać, że Inwalida Wojenny to Zdrajca, który wprowadzał niewłaściwy system polityczny ze Wschodu. Orkiestra Ochotniczej Straży Pożarnej zjawiała się u niego w coraz mniejszym składzie. A dzieci niektórych rodziców przestały mówić mu: dzień dobry.

On jednak cały czas milczał i robił to, co robił zawsze. W rocznice Wyzwolenia Wsi nakładał swój mundur wojskowy z odznaczeniami, zrywał w rowie krokusy i siedł z żoną pod pomnik.

Polityk dołożył kilka podpisów i podniósł kciuk ku górze. Wyglądało na to, że ilość podpisów była wystarczająco duża, żeby przeprowadzić prze głosowanie Uchwały w Radzie Powiatu, zgodną z wolą obywateli.

Popatrzyli po sobie i Polityk zaczął iść drogą, którą uciekli ostatni Niemcy żołnierze. A Poeta odczekał chwilę, wytarł z grubsza twarz z łez i zaczął biec poboczem szosy, którą odchodziło wojsko po wyzwoleniu wsi. Bieg jego nie był jednak tak całkowicie prosty, bo dobiegł do góry i zawrócił. Podbiegł pod dom Inwalidy Wojennego i stanął. Patrzył w jego okna i łzy zaczęły mu znowu płynąć po twarzy. Stał chwilę i pognął w stronę wzgórza, gdzie stał pomnik. Jeszcze raz stanął, rozejrzał się na boki, a potem zerwał kilka krokusów z przydrożnego rowu. Jakiś samochód wyjechał zza zakrętu, więc on stanął za szerokim pniem lipy.

Z samochodu wysiadło kilku mężczyzn i zaczęli patrzeć na pomnik. Coś mówili między sobą, trochę się śmiali, a potem zaczęli palić papierosy. Poeta wepchnął krokusy za koszulę i chowając za krzakami dzikich róż, zaczął oddalać się w stronę strumyka, obrośniętego po brzegach starymi topolami.

Poeta wrócił do wsi wieczorem. Starł łzy z twarzy i patrzył, jak za sosnowym lasem znikają ostatnie promienie słońca. I patrzył, jak zapalały się światła w oknach i przestawał sączyć dym z kominów.

Zaczął cicho mówić wiersz, którym miał kiedyś uświetnić rocznicę Wyzwolenia Wsi. Upadł jednak PRL i poeta zrozumiał, że opiewanie tych,

co wyzwolili wieś, jest teraz mocno nieopłacalne, więc nigdy nie wypowiedział go publicznie.

*Odchodzi mrok
Szepcząc wieczorne pacierze*

Załkał i jego słowa stały się nieczytelne. Po chwili popatrzył w stronę wzgórza i dokończył go trochę wyraźniej.

*...wtedy
Ze śpiewem na ustach
Odeszli stąd polegli żołnierze.*

Zakrył dłonią usta, starając się tłumić szloch.

Po chwili wyciągnął zza koszuli krokusy i zaczął chyłkiem biec w stronę wzgórza. Zobaczył jednak siedzącego na cokole Inwalidę Wojennego i stanął. Po chwili zaczął wycofywać się w stronę strumyka.

Mrok gęstniał i ciemniał. Wieś układała się do snu i w oknach gasły światła. Po kwadransie czy dwóch Poeta znowu pojawił się na drodze obok wzgórza. Inwalida Wojenny musiał nadal siedzieć na cokole, bo słyhać było jego starczy, drżący głos, gdy cicho śpiewał pod nosem wojskowe piosenki.

Poeta ze złością rzucił na ziemię krokusy i zaczął iść ścieżką, którą po bitwie uciekali żołnierze niemieccy. Z każdym krokiem cichło jego łkanie.

Jerzy Marciniak

Piotr Müldner-Nieckowski

Bank Oszczędności

Jacek Nowak był kiedyś bandytą, ale teraz już nim nie jest. Teraz patrzył wysoko. Na dachu wielkiego gmachu widniała olbrzymia reklama „Bank Oszczędności”. Jacek tego właśnie szukał. Ruszył do wejścia i dał się porwać drzwiom obrotowym. Wkroczył do gigantycznego korytarza. Zza ściany wyszedł strażnik w mundurze i zastąpił mu drogę.

- A pan w jakiej sprawie? – zapytał.
- Przyszedłem wymienić pieniądze – odparł Jacek.
- Tu nie można wymienić pieniędzy.
- Ale tu jest „Bank Oszczędności”.
- Nie. To tylko reklama banku.
- Dlatego przyszedłem wymienić pieniądze.
- Ale tu nie ma banku. – Strażnik poczerwieniał ze złości. – Proszę

wyjść.

– Dziękuję za informację. Proszę mi wymienić dolary amerykańskie na franki szwajcarskie. A jeżeli nie macie franków, to pesos na euro. A jak nie macie euro, to chciałbym wymienić funty brytyjskie na dinary serbskie.

Strażnik zacisnął pięści, ale po chwili opanował nerwy i powiedział:

- Proszę pana, tu nie ma banku.
- To co tu jest?
- Firma fryzjerska.
- Ale ja widziałem na waszym dachu, że tu jest bank, a golić się nie chcę. – Jacek pogłaskał wąsy i brodę, potrząsnął olbrzymią torbą, którą miał na ramieniu. – Mam tu pełno pieniędzy z różnych krajów.

Strażnik wyjął pistolet.

– Zjeżdżaj stąd albo kula w łeb!

Jacek przeraził się i wybiegł na ulicę. Czekał na niego samochód. Ruszyli z piskiem opon.

Już następnego ranka Agencja Prasowa rozesłała do gazet fotografie i news, z którego wynikało, że banki w całym kraju odmawiają wymiany pieniędzy, i to bez względu na rodzaj waluty. Do klientów strzelają bez ostrzeżenia. Na pewno będzie wojna.

Po południu Jacek z kolegami zebrali się w piwnicy jego domu i zaczęli debatować nad scenariuszem wpędzenia w medialne kłopoty największej elektrowni węglowej.

Savings Bank

Jacek Nowak used to be a bandit, but he is not one anymore. Now, he looks up high. On a roof of a tall building was a huge advertisement: "Savings Bank". Jacek had just been looking for that. He moved towards the entrance and let the revolving door suck him in. He entered an enormous hallway. A security officer in a uniform came out from behind a wall and barred his way.

"What are you here for?" he asked.

"I came here to exchange some money," Jacek responded.

"You can't exchange money here."

"But it's a 'Savings Bank'."

"No, it's only the bank's advertisement."

"That's why I came here to exchange the money."

"But there's no bank here." The guard got red in his face with anger. "Please, leave."

"Thank you for the information. Exchange US dollars for Swiss francs, please. And if you don't have Swiss francs, then pesos for Euros. And if you don't have Euros, then I'd like to exchange British pounds into Serbian dinars."

The guard clenched his fists, however he composed himself and said:

"Listen, there is no bank here."

"So, what's here?"

"A barber shop."

"But I saw on your roof that there is a bank here, and I don't need a shave." Jacek stroked his mustache and beard, shook a huge bag hanging on his shoulder. "I've got a ton of money here from different countries."

The security guard pulled out his gun.

"Get lost! or a bullet in your head!"

Jacek got scared and ran out into the street. A car had been waiting for him. They sped off with squealing tires.

The next morning the Press Agency sent to newspapers the pictures and news that banks in the whole country refuse to exchange money regardless of currency. They shoot customers without a warning. For sure, there will be a war.

In the afternoon, Jacek with his buddies gathered in the basement of his house to discuss a scenario of how to get the biggest coal power plant into trouble with the media.

Translated from Polish by Margaret Touchstone

Wiesława Oramus

Za czym?

Dźwięk przypominający kapanie wody z zepsutego kranu; kropla po kropli uderzające o metaliczną powierzchnię.

Ciemność lub szarość przecięte smugami światła – jakby gdzieś jakieś urządzenie je wypuszczało na białą, gładką, jak z lateksu ścianę? Rzutnik w niewidzialnych rękach?

O wolno płynących rzekach zaczyna się wtedy myśleć, o niebie bez jednej nawet chmurki, pięknym tle dla... chociażby kwitnącej jabłoni, taflి wody rozbijanej przez krople deszczu, zanim stanie się jej częścią. O dźwiękach, o metaliczności śpiewu ptaków, bo i to można wyizolować z porannych ptasich śpiewów, zanim inne odgłosy świata zagłuszą je wraz z nadchodzącym dniem. Rajsłość to metaliczność? Można i to odkryć. Można. Nikt nie przeszkodzi. Nikogo nie obejdzie jakieś, czyjeś odkrycie, dokonane. Przy takiej ścianie, rozświetlonej smugą światła.

Przetoczenie się z boku na bok; płynne, lekkie, bez bólu, jak księżniczki na ziarnku grochu, która sama usunęła sobie ten groch spod prześcieradeł. Pościeliła wszystko od nowa.

Tak jak od nowa swoją twarz odnalazła, pod warstwami łusek, zmarszczek, spierzchnięć po wyprawach w niesprzyjających okolicznościach i złych warunkach atmosferycznych. I nie o urodzie w takich chwilach się myśli. Luster też się już nie potrzebuje. Szkatułka z biżuterią też już gdzieś na dnie szuflad upchana. Jak i wspomnienie komplementów.

Powolność ruchów, płynność przy przetaczaniu się jest taką radością jak ćwiczenia w wodzie; bez obciążania stawów; akrobacje, wręcz balet w zwolnionym tempie, bo nie o dynamikę chodzi ani ilość, czy jakość. O coś innego. Może tylko o tę płynność chroniącą przed bólem? Poczuciem, doznaniem cielesności, materialności swojej, świata i kosmosu? Prapoczątku destrukcji jakiegos stanu?

Ale przecież zdarza się, że... jakby to był początek czegoś, szuka się głosów, szuka się słów, szuka się kontaktu, żeby o praniu, o obowiązkach, miłościach, troskach coś usłyszeć – jedynych, najważniejszych, najpiękniejszych, niepowtarzalnych uczuciach. Cudzych, oczywiście. Słucha się – bez lęku, nawet tak blisko cudzej cielesności, cudzego porządku świata, sacrum i profanum obcych bytów, albo zwykłego mirażu?

A co było prapoczątkiem swojego każdego zaczynającego się i kończącego teraz dnia? Był też początek. Chaosu i wejścia z niego w proces kreowania, szukania czegoś... Czego?

Co to jest? Czym jest, był prapoczątek? Rozbiciem się nocy o dzień, rozbiciem dnia o noc? I niewiedza, co jest w tej chwili, co rozbiło się o co, i co go rozbiło?

Schodzenie z góry i wchodzenie pod górę są przyczyną bólu stawów i mięśni... Takiego samego? Takich samych remediów potrzebują... Masażu i technik relaksacyjnych, i tabletek.

A może dzień się rozbił o noc, noc o dzień... I tu jest prapoczątek... coś tam zadziało, coś tam coś rozbiło, powstało coś nowego? Nowe wymiary? A wszystkie głosy próbujące sprowadzić na utarte ścieżki, wydeptane przez innych szlaki zagłuszyło? Może więc nie ma znaczenie, co o co się rozbiło? I czy to ból z powodu wchodzenia, czy schodzenia. Czasu to wymaga, doświadczenia, pamięci pierwszego upadku z wyraźnym, bardzo wyraźnym, charakterystycznym bólem, doznaniem bólu każdej kosteczki, ścięgna, warstw naskórka, skóry. A może niepamięć kierunku jest celem?

W smudze przecinającej czerń ściany można, po ćwiczeniach cierpliwości, można dostrzec urok pajęczyny, powiększającej się, oplatającej coraz większą przestrzeń. Ćwiczenia w obserwowaniu przyrostu pajęczyny jej twórcy – jak ruchomym punkciku, czasami znikającym, ginącym gdzieś tam, w zaułkach przestrzeni przeznaczonej do wypełnienia pajęczyną.

I ta... nuda? Taka nuda, jak po nachleptaniu się mdłej zupy, pozostawiającej tylko... wrażenie mdłości bezkształtnej, bez smaku brei, zatrzymującej cały układ przeznaczony do strawienia jej. Bezkształt, bezsmak, bezsens, bezuczuciowość, bezemocjonalność... Po jakim czasie przychodzi? W tej przestrzeni jak kwadracie z czarnego lateksu przeciętego smugą światła z rzutnika. Ale... nie dla filmu, nie dla kształtów, pejzaży, obrazów, jakichkolwiek form z tamtego świata za... lateksem? Nie dla tego, co jest też jego nieodłącznym elementem? Bez faktów... bez jakichkolwiek faktów; dzwonienia telefonu, pukania do drzwi, wizyt, dobrych i złych wieści, newsów, zderzeń swoich faktów z cudzymi, rozbijania się jednych o drugie, przenikania, wnikanie, zahaczania, wynikania z... I czegoś tam jeszcze. Wystarczy gładkość lateksu bez faktów.

Może tylko fakt istnienia czajnika, wypełnianego wodą, kontemplacja strumienia wody, większego, mniejszego, struktura pary wodnej, odgłosy zamieniania się wody w parę, bulgotu, zapachu, temperatury, wystarczy?

A można by, jak po smudze światła dotrzeć do nie tylko początku, ale i przyczyny, powodu wykreowania takiego tu i teraz? Ale to mogłoby zawalić ściany, struktury, gładkość lateksu, strukturę smugi światła zgodną z prawami fizyki. I jakieś inne prawa mogłoby to przypomnieć, fakt ich istnienia, przyswojenia, akceptacji. Jakieś porządki rzeczy? Jakieś wymiary, struktury, hierarchie? Ze coś tam jeszcze jest? Po co? Po coś tam?

Że jest też, również... wiek, płeć, stereotypy, szczególne właściwości, prawa biologiczne temu przypisane, grymasy, rysy twarzy, właściwości dźwięków przy śmiechu, płaczu, nienawiści, stuporze, obrzydzeniu, wyuczone czynności i nieprzewidziane reakcje, opowieści z morałem, puentą, początkiem i końcem, logiczne struktury...

I tylko nie ma, dlaczego nie ma tej ekstazy, tego chyba błogostanu, który przytrafił się wtedy, dawno temu, w zwykły dzień, ani lepszy, ani gorszy od innych. W kąpieli bambusowo-różanej, o czym zdecydował jakiś tam dzień promocji na towary ze średniej półki. Zanurzając się w tych pianach, tonąc w zapachach, weszło się w stan nirwany, czego nie zapewniły lata ćwiczeń, medytacji, kształtowania siebie, dla świata, jaki by nie był w całej swej niedoskonałości. A wprowadził w ten stan dźwięk spadających kropel, rozbijających się o taflę wody, zanim stały się jej częścią?

Wyciągnął ją, zmusił do rzygania bambusowo-różaną pianą. Potem odszedł. Nie zniósł, że tak bardzo zmieniło ją to coś, to coś, co zobaczył w jej oczach, a na co nie miał wpływu?

A to coś, spłynęło do kanałów razem z resztkami kryształków soli do kąpieli.

I zostały tylko dni, zaczynające się i kończące. I tęsknota. Ale za czym?

Wiesława Oramus

Jacek Pankiewicz

Zbuntuj się przeciw sobie!

*Nie możemy wyobrazić sobie osoby doskonałej indywidualnie,
bez analogicznej doskonałości w stosunku do innych.*

Kazimierz Dąbrowski

1

Warto być nieraz, i nieszczęśliwym –
żeby się potem szybko ruszyć z miejsca, dojść do czegoś!
albo i do siebie!

I niech kto powie wtedy, że to nie twoje!

A był już niejeden fartownik taki, że się obudził, i od razu... był już u siebie!

Z naukowego punktu widzenia można by go nazwać rekordzistą, mistrzem na skróty w psychologii.

A psychologia to jest taka nauka, która wciąż się rozwija. Młoda jest, to i szuka wciąż nowych sposobów.

Co prawda, mówiło się niegdyś, że jak ktoś jest taki... nie wiadomo jaki, bez wyraźnego charakteru – to idzie na psychologię! tam się wyrobi! i ukształtuje odpowiednio, wszystkiego czego mu brakuje, do głowy sobie nawkłada!

I szli ludzie, choć nieliczni, studiować. Teraz za to jest ich coraz więcej.

Ja oczywiście byłem i od nielicznych wyjątkiem. Nie poszedłem na psychologię – ale na co innego, co też nie dało mi wiele; lecz nic, co z psychologią związane, nie było mi obce, zawsze po drodze człowiek się ćwiczy, wyrabia – no i nie zostaje ten sam.

Z wolnej stopy wciąż studiowałem coś jeszcze, do dziś studiuję. A niech tam i psychologię.

Jeszcze za okupacji, kiedy to żyłem sam w lesie, uczyłem się wszystkiego od wszystkich; a to od Drzew, albo na polanie czy łące od Much, Żuczka, Wiewiórki; tam gdzie wyściełał się przede mną dywan kolorowy z Traw – to i od kwiatów; albo gdzieś pośrodku wzgórza zwanego Olchowika Ogrodem wykładałem się każdego ranka i z godzinkę polegiwałem sobie, może w poczuciu krzywdy, że akurat mnie za wcześniej zbudzono; ale już kołem otaczały mnie Panny Krowy, sapiąc ogrzewały swymi chuchami, bo wiadomo, byłem ten najmniejszy, zawsze podmarznięty chłopcio;

a kiedy już naprawdę przysnąłem, one zrywały się natychmiast i biegiem pędziły gdzie oczy poniosą, do horyzontu może! najczęściej to do dalekiego Lasu, gdzie ich na pewno nie znajdę; pędziły paradnie, często z ogonem zadartym do góry, na modłę końską, bo też i na modzie się znały!

I wtedy to, dzięki tym psikusom, dowiedziałem się, jaką to wysoce zhierarchizowaną strukturę psychiczną mają, zapisaną od wieków pewnie, bo wystarczyło, że najstarsza z nich, Borowianka, łbem coś kiwnie, a wszystkie zrozumiały, i natychmiast to wykonują. Więc zapragnąłem i ja mieć taki własny system porozumiewania z otoczeniem, a choćby i światem całym!

Bo ta Najstarsza wszystko organizowała, ona się pierwsza kładła przy mnie, wszystkie potem kołem nas otaczały, jak ona dawała znak, to zrywały się do ucieczki; lecz ona wstawiała ostatnia – i biegiem w krzaki, bym ich nie dogonił, nie dopadł.

To i długo pracowałem nad tym systemem jakimś, by mieć sposób na nie; lecz Doktorem Freudem nie zostałem.

Z pierwszą usystematyzowaną, być może już naukową strukturą psychologiczną zetknąłem się dopiero w latach sześćdziesiątych, gdy byłem już po studiach jakichś tam, i zapragnąłem liźnąć choćby, uznawanej wtedy za „nowoczesną” dziedzinę; kupiłem książkę pani Nory Nazwiska *Nie Pamiętam*, freudystki, wyłożyła mi w niej nauki swojego mistrza. Spróbowałem je zastosować do siebie, rozpisałem wszystko na planszach – też mi to nic nie pomogło.

Dopiero jak się ukazały książki naszych autorów, Antoniego Kępińskiego, czy przebywającego w „wolnym świecie” wtedy, Kazimierza Dąbrowskiego – od nich się dowiedziałem, czego mi, tak naprawdę, potrzeba! żebym mógł jak najlepiej w głowie, co chcę, poukładać. Już nie być jak zwykły jełop, co to nie zna się na psychologii! – która jak wiadomo nikomu jeszcze nie pomogła, jeśli on sam sobie dobrze nie zrobi. (Co innego moda bardzo już wtedy socjologia – tam się dowiesz o swojej genealogii aż od chłopów pańszczyźnianych, ona do dziś najlepszą jest przepustką do kariery ministerialnej, albo w finansach publicznych, jak to w kapitalizmie.)

Ale przyszły niebawem i lata siedemdziesiąte, na szczęście, bo prawie cała tzw. inteligencja pracująca w Polsce zapragnęła odrobić braki, i po dekadach wtłaczanej wszystkim do głów propagandy, po demoralizacji lat wojny, po okupacji – teraz wszyscy stanęli w kolejce do bibliotek, po „Trud istnienia” Kazimierza Dąbrowskiego oraz po jego teorię dezintegracji pozytywnej, żeby wreszcie sobie wyprzeć z głów różne tam psychozy czy

zespoły maniakalno-depresyjne, których zapasem mogliby obdzielić resztę Europy.

Ja też sprawiłem sobie tę kurację i – w przeciągu kilku lat – stałem się ogólnodostępnym mistrzem praktykującym dla panienek i pań, a czasem nawet i dla siebie przymiarką do ideału.

Żadna jednak z moich kandydatek na doskonałość, nawet jeśli zdołała uwierzyć we mnie – nie przebrnęła etapu następnego, czyli że nie starczało jej cierpliwości na tyle, by opanować samą metodę;

– ty ją stosuj na sobie, ale sama! radziłem gorliwie;

– ależ próbowałam, jakoś mi nie wychodzi!

– a bo??

– a bo kiedy już pozbywam się siebie, tej gorszej, to potem nocami dręczą mnie niepokoje i przychodzi żal! czy aby nie pozbyłam się czegoś najważniejszego w sobie, no i łatwiejszego w użyciu?... i zaczyna mnie boleć głowa!

Większość narodu wtedy jednak poprawiła sobie stan umysłu – bo zbuntowali się przeciw sobie!

No już wiecie, co zaraz nastąpiło?!

a niedługo potem wybuchła „Solidarność”!

bo miała czym i przeciw czemu wybuchnąć!

2

Ale na takie problemy dziś nikt już nie zwraca uwagi!

Wszyscy tylko robią kariery – bo są po socjologii!

A żyć tylko „po swojemu!” chcą.

– tak jak jest wszędzie!

– normalnie chcemy żyć!

– i do żadnego tam „rozwoju osobowościowego” nie musimy się nagiąć!

– trzeba „szczęśliwym być”, ot co!

I zamurowani w rozwoju, za to nadzwyczaj wygodniccy;

choć świat pędzi naprzód, nie stoi w miejscu; oni jak pośrodku rwących nurtów rzeki niewód!

nieruchomo stoją i są.

– Ale my jesteśmy wierni sobie! chwalą się, jeszcze usprawiedliwiają niektórzy.

A jedni drugich rozerwaliby na strzępy!

Jak było i kiedyś. Wiem, pamiętam; zapisałem tamten stan umysłów w moim „Schubercie”. Czytałem go ostatnio – jest dokładnie jak wtedy.

I nie ma już kto ani przeciw komu się zbuntować; choć odruchów co niemiara! ale zaraz jawi się i deficyt woli; bo zastój, jak to przy masowym kształceniu się zdarza, bo niewód; z tego wielki bunt nie wybuchnie.

A człowiek, pisał kiedyś prof. Kazimierz Dąbrowski: „Jednostka ludzka coraz jaśniej zaczyna przeżywać i rozeznawać, że jest skazana na rozwój”. To prawda!

Tylko że nie jednostka taka, której wola coraz bardziej nurza się, aż do stanu abulii, mentalność zaś utrwała się przy głębokich wirach analfabetyzmu.

Czy to już nie są tylko leniwece?

5 października 2017

Opowiadanie z tomu „Jak powstaję”,
który ukazał się w październiku 2017 w wydawnictwie LTW.

Zgadnij kiedy jesteś zdrajcą

1

Pomyślałem –

i upatrzyłem sobie Chmurkę na niebie! najlepszy wybór dla mnie! samotna i niedostępna dla wrogów, zawieszona wysoko i pięknie oświetlona Słońcem, wyspa! możesz się z niej wychylić albo nie – mocno się nie przypalisz! a i kształty ma łagodne, jasność zróżnicowaną, jakby tam szła hen, od najdalszych krańców Kosmosu;

z nią i powędrujesz sobie po Niebie bez dna! masz mieszkanie o wysokich brzegach!

...ale i z dala gdzieś, od Zabytu Kosmosu wysnuwa się inny stwór, poszarpane ostre kształty – to Wielka! jej Czerni jest tak głęboka, że na całej widzialnej Przestrzeni tylko burzę roznosi! i do twojej zbliża się, połknie ją niebawem, mimo łagodnych kształtów, twoją jasną!

mam zostać na swojej, tej Pierwszej?

toż wyrok zagłady!

zniknę razem z nią, połknięty przez przepaścistą Wielką!

i komu – jestem wierny teraz?

2

Słucham muzyki Chopina, tego melancholijnego, nie od francuskich baletów! ona wciąż wierna myślom moim, ja jej!

w niej się zachował świat, którego nie ma! świat który opuścił nas, za pierwszej naszej młodości!

albo myśmy go opuścili, ledwie poznawszy uroki pierwszych doznań.

W muzyce to znajdziesz, nigdzie indziej!

A jak się Autor czuł, tworząc tamten świat?

...jak może się czuć emigrant, pozbawiony przyjaciół; wyrwany z Kraju w obliczu powstania; teraz musi żyć rozdwojony, między paryskim brukiem – a? świat go francuski też wypycha od siebie! Polak na paryskim bruku – to i zaraz suchoty jeszcze! –

w samotności i chorobie człowiek przez wszystkich czuje się zdradzony.

A zdrada napawa goryczą. Ona na wyrost obejmuje sytuację przeszłą i przyszłą.

Kiedy artysta przecież... on pragnie zawsze ogarnąć całość.

3

A między mężczyzną i kobietą jak bywa? – czy zdarza się między wami *Verklärte nacht*? Noc przebaczenia, jak to u Arnolda Schönberga?

Pomyślcie o tym.

Zdrada to jest cholernie męskie i cholernie damskie słowo.

4

A jeśli zdradziłeś mafię na przykład?

Czy w Twoim odczuciu, Czytacz, jest to zdrada?

Przy prawidłowym ustawieniu motywacji – zdradą jest tylko w odczuciu mafii.

Ty możesz co najwyżej – stracić życie.

Lecz jeśli wiedziałeś, że warto było! –

Twoje odczucie zawsze się liczy. Ono ma i cenę, rzecz jasna.

5

Ci z Państwa, młodszy i starsi, którzy chodzili do szkoły, z pewnością wiedzą, co to była rzeź Pragi, i kto jej dokonał?

Wydarzyła się w Powstaniu Listopadowym, dopuścił się jej niejaki Suworow, na bezbronnej ludności cywilnej polskiej.

Dowódca wojsk rosyjskich, Suworow.

U mnie w „Schubercie” jest zacytowany list Ojca do Benjamina; pisze on tam „o czerwonej chorągiewce na tanku T-34”, który z północy na południe pędzi, w kierunku Czechosłowacji, a działo się to w sierpniu 1968.

W jednym z tych *tanków*, okazuje się, jechał, niejaki major Suworow, który opowiedział o tym niedawno publiczności warszawskiej, na swoim spotkaniu autorskim:

– *ja był tagda toże i szpjon!*

– *i wot kagda my zajechali, ja uwiðił zaczem my zdzieś’ jeś’t, i czto diełajem dla sowietskogo impierjalizma!... pośle etogo ja tolko odin miesjacz był w sowietskoj armiji; udar ja na Zapad – uże kak Wiktor Suworow, wrag sowietskogo sistema!*

powiedział też, że do dziś wstydzi się przed narodem czeskim i słowackim za tamto, że pragnie je przeprosić, dlatego pisze.

Czy major Wiktor Suworow był potomkiem tamtego Suworowa? nikt z obecnych na sali nie spytał; choć z pewnością takie pytanie w głowie niejednego Polaka powstało;

ale na sali panowała przyjazna atmosfera, major zdeklarował się jako adorator wybitnego talentu strategicznego marszałka Piłsudskiego (chodzi o wojnę 1920 roku), i w ogóle pełen podziwu dla „wielkiego narodu Polaków” –

wtedy ktoś z obecnych zgłosił łatwiejsze pytanie do majora Suworowa,

– a co sądzi pan o tym, że niektórzy Polacy uważają pułkownika Ryszarda Kuklińskiego za zdrajcę?

– *Pułkownik Ryszard Kukliński zdrajca gawarjut? a toże on pierwszy stał Paljak w NATO! Tiepier całaja Polska jest’ w NATO! I kto tut zdrajca, ja spraszuju! Ja błagadarju całej Polszy w etom!*

W życiu narodów, w życiu rodzin póki co zdarzają się różne chwile; także i przemiany dziwne – z wroga na przyjaciela na przykład!

6

Czy jednak pułkownik Kukliński nie dopuścił się zdrady? to pytanie widać ciągle gnębi niejedną łepetynę polską;

że pomyślał i wykonał, to zgoda; i musiał uciekać z kraju, z narażeniem życia, wszystko to prawda;

ale złożył przedtem przysięgę żołnierską na wierność!

a moją Chmurkę może i też by zdradził – ale Chopina nie!!

i nie dopuścił do samozagłady Kraju, co by nastąpiło w wypadku udziału Polski w napaści Sowietów na Zachód, z planami wojny nuklearnej na terenie Polski.

...bo przedtem pomyślał! z najwyższym wysiłkiem stanął po stronie – –

...a czy myślenie ma dzisiaj jeszcze taką cenę?

onże „zdradzony” nie musiał wiele myśleć; ni kryć się, uciekać!

został sobie na miejscu, by pozarządzać krajem jako dyktator, w imię wrogiego mocarstwa – to raz!

lecz i w tej gorliwości znacznie przesadził! zrobił czego nie musiał –

zdławił na długo ducha wolności w dopiero co obudzonym dla wolności kraju, po długim letargu! bo może i nawet nie pomyślał o sobie, że jest zdrajcą!

...i wszystkiego! bo i naszego pospólnego zaczynania, naszych nowych pomysłów na życie, tych obstalunków nigdy niedokończonych, tak niezbędnych wciąż dla każdego jak powietrze, jak oddychanie! kto nam za to zapłaci?

czy wygnany?!

czy ten, kto na gorszą przyszłość pracował, ciągle za mało myślał?

Jeśli rządysz – świadomość bezcenną zawsze miej

tej jasnej, rozświetlonej nocy Arnolda Schönberga!

– kiedy zdradziłeś ostatnio?

*Jacek Pankiewicz
29 listopada 2017*

Przekłady Krystyny Rodowskiej

Guillermo Carnero

Perpetuum Mobile

*Wkrótce przyjdzie starość; umrzemy
zanim poznamy, co to wolność*

Robert Herrick

Osoby *comme il faut*, przyzwoici ojcowie rodzin
i cała reszta ludzi z zasadami
(zawodowi fotografowie, nauczyciele tańca oraz
inne autorytety)
z dawien dawna urządzali skromny bal przebierańców.
I najgorsze w tym wszystkim nie były śmieszne gesty matron,
tępych zwierząt domowych,
ani paplanina innych przyziemnych stworzeń,
zwoleńniczek porządku i struktury,
lecz to, że przez warstwę tandety i kwiatów z plastyku
przezierała pocziwość ospałych gęsi.

Na obrzeżach, gdy minęliśmy już ostatnie
domy na przedmieściu
– glorria perr secula culorrum – jak powiedział świątobliwy mąż,
przeciągając „r”,
znaleźliśmy o zmierzchu, bez szczególnego wysiłku
niepozorną rupieciarnię po byłym święcie:
mechaniczne misie, rosyjskie baby dla neurotyków
– każda ma w sobie identyczną, tylko mniejszą,
i tak w nieskończoność-
lustra wklęsłe, wypukłe i wklęsło-wypukłe,
jarmarczne budy, gdzie chór niedomytych atletów
wydzierał się ze swą łabędzią pieśnią,
muślinowe maski, obywatela przebrani za perskie osły,
osły perskie przebrane za obywateli,
kompletna historia ubiorów,
i wiele innych rzeczy, takich jak, na przykład, magiczne różdżki,
tekturowe owady,

dość obfita kolekcja kremów dla błaznów,
 butelka z różowej porcelany, gdzie prestidigitator
 przechowywał eliksir,
 który miał mu przydać zrywności podczas występów,
 trzy lub cztery dwustronne marynarki, pamiątniki Fregoliego
 i podręcznik Dworskiej Etykiety z odręcznymi dopiskami
 Oscara Wilde'a i drapnięciem pióra Baudelaire'a.
 Ktoś odkrył, że karuzela mogła kręcić się dalej w najlepsze
 w takt melodii *Chanson de Cour*
 rzępolonej na ukrytych pod stołem organkach,
 rozpoznawalnej przy odrobinie dobrej woli.
 Powiedzcie mi, kiedy tak nocą rozbrzmiewa
 i świeci się muzyka cyrkowa,
 czy warto było żyć dla takiej chwili,
 aby kręcić się w nieskończoność słuchając
 łagodnego trzasku smołowanych desek,
 kręcić się tak aż do śmierci.

Niebezpieczne przyjaźnie

Tam gdzie cud był czymś naturalnym

Bocangel

Jak z woni smoły i siarki,
 wyłania się z zieleni i porzeczkowych kolorów
 portowych dzielnic –
 nostalgiczny zarys białych okrętów
 odpływających w *krainę iluzji*,
 tak dziś wspominam twą miłość której nigdy nie zaznałem.
 Lecz jeśli mam mówić o tamtym czasie,
 zrobię to w duchu owych
 filmideł przesyconych szampanem i łzami;
 te wspaniałe talenty –
 do sprowadzenia na manowce serca,
 którego poruszenia dzieliliśmy z sobą
 i owej inklinacji *contra naturam*,
 aby znajdować szczęście w fantazjach –
 mogłyby stać się, teraz, gdy minęły lata,

co najmniej trzy, niebezpiecznym
i niepotrzebnym ustępstwem na rzecz smutku.
Pewien snobizm, zresztą drugorzędny,
użyty w złej sprawie,
może posłużyć za wytłumaczenie
dla onegdajszej, tandetnej manieri doprowadzania
do skrajności ćwiczeń duchowych;
kino – wyciskacz łez, wraz z jego chorobliwym zadęciem,
wzniosłą architekturą bardzo smutnych losów
i ów tragiczny amant, którego wielbiliśmy
(niewprawny w pieśczościach, lecz o słodkich oczach
zagubionych zawsze w wieczności)
dawały nam odczuć
jakąś iluzję czułości,
upajający posmak gry przypadku i erosa.
Jakżeśmy zmarnowali te lata! – obaj,
z naszą prowizoryczną dojrzałością
i niezłomną wolą, by nie cierpieć bez przyczyny,
wciąż nie umiemy żyć, nadal skłonni
zawierzyć tamtej, chorej przewrotności.

Pierwszy dzień lata we Wragby Hall

Co począć, chyba zostawić sprawy własnemu biegowi?

D. H. Lawrence

Nieśmiało zamglone słońce przez białe zazdrostki
z zielonymi dziurkami, naśladowanie
jakiejś sceny myśliwskiej lub Arkadii, wyszywanej
w ptaki i owoce, budzi w kilimach
a także w drzwiach podbitych aksamitem mgliste
mrowienie snów, przejaśnienie słońc
pośród mroźnego wiatru na ośnieżonych sosnach,
widmowe zjawisko świetlistego kurzu;
oboje, malowane na porcelanowych amforach,
rozstawionych symetrycznie w czterech rogach,
rezonujące dźwiękiem, gdy stopa nadeptnie na lwa,
lub trąci postument na kółkach bogini, rozsiewają go

w zacienionej przestrzeni falujących dzwonów na łądygach wody.
Przez woluty żółte i białe, malowane techniką *sgraffiti*
na ścianach koloru malwy

splata się ze sobą przeczucie liści i grabi,
opar ziemi rozgrzanej pod snopami siana,
falującej w takt oddechu wyżyn,
w rytmie dalekich pszczół.

W pradawnym półmroku domu, gdzie zaledwie
czuje się krążenie pór roku, gdzie jak pośród listowia,
w którym zbiera się wieczny cień lasów,
mrugają fontanny, ściekają minuty
z zegarów na marmur, wirują przed lustrami,
wprawiając w ruch swe kruche dzwoneczki.

Tylko patrzeć,
a wsiąkną wody w te wszystkie atłasy,
marmurowe arlekinę zapatrzą się w szarówkę
zmierzchu.

Panowie gawędzą w salonie – krawaty
z Bond Street – o storczykach lub o fallusach.

Wieczór
ścieka jak muł z brody nieznanego bóstwa
do źródłanych wód nad które wynosi się lotos nocy.
Jak spotkać się z życiem? Nawet krew się wzbrania
wydostać z żył przeciętych. Letni
wieczór usypia ciała. Na sali
karły, surduty, bursztynowe laski.
Aż bezwstydnie zabrzmiałyby tu wersy
starego Anakreonta: „Dajcie, dajcie mi lirę
Homera”.

Nic nie może zakłócić przepływania
godzin. Niech no tylko, w tej ciszy, ktokolwiek
poruszy uschłą gałęzią, i tak śmierć się stanie
tylko kroplą, jeszcze jedną kroplą na alabastrach,
tylko żdźbłem, nowym żdźbłem trawy pośród alei.
I nie rozedrze piorun morskiej fali;
bezwolni, jak winorośl rozpięta na siatce,
chłonąć będą
rok za rokiem – jałową wróżbę życia.

Słowa Tersytyesa

Ta jasna bomba samozapalna, to Helena, wdzięk jej karku
w aureoli świetlistych włosów.

Ci, co ją kochali, są nieśmiertelni, tutaj,

na tej chłodnej ziemi,
lub zestarzeli się ze złamaną lub zwichniętą nogą,
zebrząc na parę kieliszków wina – ja zaś, garbus
i kuternoga, wspominam niekiedy
popędliwą wyniosłość greckich wodzów,
rozważając celowość tamtej walki,
natchnienia paru heroicznych wierszy
na cześć tej kampanii i jej boskiego ciała.

Kto jej nie kochał, będzie prochem,

Wiersze jego dymem.

To starcza niemoc wznieciła tę wojnę

Ostenda

*Posłuszeństwo mną powoduje a nie
zuchwałość –
Villamediana*

*Nasi burzuje odczuwają najwyższą przyjemność
w uwodzeniu cudzych żon.
Manifest Komunistyczny.11.*

Przemierzać ścieżki-kobierce,
pełne mokrych i spuchniętych martwych liści,
omijając szare krawędzie żwiru,
lodowate jak ostrze noża.

Kołyszą się
gałęzie platanów jak bezwolne prześcieradła,
przesycone nocą, wilgocią brzemienną
i błyszczącą.

Także w gąszczu
pulsuje ciemność jaskiń
a słońce wypija z liści

krople rosy –

ciepły podmuch
spowija i rozświetla wyczerpane ciała
w czasie snu; jeśli podstawisz policzek,
poczujesz kształty zwinne, tańczące w powietrzu,
grę refleksów łatwą i bezpieczną:
parę wołów wspinających się po zboczu,
maga, tworzącego labirynty,
cieślę, trędownatego, sokolnika,
co pewni siebie, o świcie wyruszają w drogę,
nie tak jak ja, błakający się po ścieżkach
zasłanych przez martwe liście, mokre i spuchnięte.
Niekiedy pośród drzew prześwitują
miejsca miłe i dobrze mi znane:
malowany stateczek parowy z białą głową
gęsi, całą w listwach i ćwiekach gwoździ,
fale, rozbryzgujące się na płytach posadzki
wielkiej sali tanecznej, dawno opuszczonej,
trytony, co ugrzęzły w śniegach zamarzniętej wody,
plączące lodowymi łzami,
ustronny pokój z łóżkiem, dawno nie ścielonym,
obok ogromnej reklamy – neonu
rzucającego refleksy zielone, czerwone,
jak w koszmarach starych opiómanów
z dziewiętnastego wieku.

Wyskakuje
hieratyczny jelonek: ruszam za nim w pościg.

Na leśnej polance
spozrzegam siedzącą przy źródélku,
w białej tunice, utkanej z materii,
której najostrejsze kolce nie rozedrą.
Biegnę za nią, nie widząc jej twarzy,
a ona się nie wymyka, lecz mnie wiedzie
w najgęstszy matedchnik,
gdzie oboje bładzimy pośród martwych liści.
Gdy tulę ją do siebie, jej twarz się rozwiewa,
ciało paruje i traci kontury, kości

zmieniają się w strugę popiołu,
 a w środku lekko dymiącego kształtu
 błyszczący jasno i czysto drogocenny kamień.
 Zabieram go ze sobą i poprawiam krawat;
 w drodze powrotnej, milcząc w wagonie pociągu,
 obawiam się, że zdradzi mnie jego blask,
 który parzy, olśniewa nawet pod ubraniem.
 Mam okazałą kolekcję kamieni
 i w ciszy własnej biblioteki
 szlifuję je, poleruję, porządkuję,
 a niekiedy także graweruję.
 W cierpieniu rodzi się świadomość.

Przemierzać ścieżki-kobierce,
 pełne mokrych i spuchniętych martwych liści,
 widmowy pejzaż, w którym roi się od demonów,
 przyjmujących na siebie pożądane kształty,
 aby zgubić wędrowca.

Lecz nie zginie ten,
 kto wie, że tylko słowo czeka
 na końcu podróży.

Dzięki niemu miejsca,
 łoża, zmierzchy i świty
 w obleganych, tłumnych hotelach,
 tworzą architekturę doskonałą,
 pustą i bezcielesną jak klepki i wały korbowe
 astronomicznych modeli,
 pustkę wciąż szturmowaną, której bezmiar
 jest na miarę bezmiaru świadomości,
 ogromu jej rzeki
 i głębi.

Guillermo Carnero, (ur. 1947 w Walencji) – hiszpański poeta i historyk literatury. Od 1986 r. wykłada literaturę hiszpańską na uniwersytecie w Alicante i współpracuje z uniwersytetami w Wirginii, Berkeley i Harvardzie jako specjalista od XVIII i XIX wieku oraz hiszpańskiej awangardy. Jest autorem wielu opracowań historyczno-literackich, pu-

blikuje teksty krytyczne na łamach dzienników i pism literackich, m.in. „Insula”, „Letras libres” oraz „El Pais”. Jako poeta należał do grupy tzw. *Novisimos*, którzy w 1970 r. znaleźli się w przełomowej antologii José Marii Castellet’a „Nueve novisimos poetas españoles” (Dziewięcioro najnowszych poetów hiszpańskich). *Novisimos* postulowali całkowitą swobodę formalną, przy jednoczesnym otwarciu na wpływ kultury popularnej i literatury światowej. Carnero należał do radykalnych zwolenników hermetycznego kulturalizmu. Jest autorem wielu książek poetyckich, m.in. „Dibujo de la muerte” (1967, Rysunek śmierci), „Libro de horas” (1967, Księga godzin), „Barcelona, mon amour” (1970), „El azar objetivo” (1975, Obiektywny przypadek), „Música para fuegos de artificio” (1989, Muzyka do sztucznych ogni), „Divisibilidad indefinida” (1990, Nieograniczona podzielność), „Dibujo de la muerte. Obra poética” (1998, Rysunek śmierci. Utwory poetyckie), wyróżnione w 2000 r. prestiżowymi nagrodami: Państwową Nagrodą Literacką i Nagrodą Krytyki.

*Przekład i nota Krystyna Rodowska
Pierwodruk w „Literatura na świecie”, nr 1-2/2007*

Z tłumaczeń Andrzeja Sobola-Jurczykowskiego

Juan José Arreola

Ze zbioru

Konfabularz totalny

Parabola o zamianie

Wykrzykując „Zamieniam stare żony na nowe!”, handlarz objeżdżał ulice miasteczka, ciągnąc za sobą kolumnę malowanych wozów.

Transakcje odbywały się bardzo szybko, po nieubłaganiu stałych cenach. Zainteresowani otrzymali dowody jakości i zaświadczenia gwarancyjne, ale nikt nie mógł wybierać. Kobiety, według słów handlarza, były dwudziestoczyterokaratowe. Same blondynki białej rasy. Bardziej niż blondynki: złociste jak kandelabry.

Widząc nabytek sąsiada, mężczyźni biegli podekscytowani za handlarzem. Wielu zrujnowało się. Tylko pewien nowożeniec zdołał dokonać sprawiedliwej wymiany. Jego żona była jak nowa i nie traciła na porównaniu z żadną z cudzoziemek. Ale nie była tak jasną blondynką jak one.

Zadrzałem na widok okazałego wozu, przejeżdżającego przed oknem. Leżąca wśród poduszek i zasłon kobieta o wyglądzie lamparta spojrzała na mnie porażająco, jakby z bloku topazu. Ogarnięty tym zaraźliwym szaleństwem, o mało nie rozbiłem się o szyby. Zawstydzony odszedłem od okna i zwróciłem spojrzenie ku Zofii.

Była spokojna, haftowała na nowym obrusie te inicjały co zawsze. Obojętna na zamieszanie, nawlekała igłę pewnymi palcami. Tylko ja, który ją znam, zdołałem dostrzec jej ledwie widzialną, delikatną błądź. Na krańcu ulicy handlarz po raz ostatni wykrzyknął swoje niepokojące ogłoszenie: „Zamieniam stare żony na nowe!”. Ale ja pozostałem z oczami wbitymi w ziemię, zamykając uszy na ostateczną sposobność. Na zewnątrz ludzie oddychali atmosferą skandalu.

Zofia i ja zjedliśmy bez słowa kolację, niezdolni do jakiegokolwiek komentarza.

– Dlaczego nie zamieniłeś mnie na nową? – zapytała w końcu, zbierając talerze.

Nie zdołałem jej odpowiedzieć i oboje popadliśmy jeszcze głębiej w pustkę. Położyliśmy się wcześniej, ale nie mogliśmy zasnąć. Rozdzieleni i milczący, graliśmy owej nocy rolę kamiennego zaproszonego¹.

Od tego czasu żyliśmy na bezludnej wyspie, otoczeni hałaśliwym szczęściem. Miasteczko wyglądało jak kurnik wypełniony pawiami. Rozleniwione i lubieżne kobiety spędzały całe dni w łózkach. Pojawiały się o zmroku, olśniewające w promieniach zachodzącego słońca, jak jedwabiste żółte chorągwie.

Pobłażliwi i pokorni mężowie nie odstępowali ich ani na chwilę. Oddając się obsesyjnie przyjemności, zaniedbywali pracę, nie myśląc o jutrze.

Ja w oczach sąsiadów uchodziłem za głupca i straciłem tych niewiele przyjaciół, jakich miałem. Wszyscy myśleli, że chciałem im dać lekcję, ukazując absurdalny przykład wierności. Ze śmiechem wytykali mnie palcami, rzucając mi docinki ze swych zbyt kownych redut. Nadawali mi nieprzyzwoite przezwiska i w końcu poczułem się jak rodzaj eunucha w tym edenie rozkoszy.

Zofia ze swej strony stawiała się coraz bardziej milcząca i nieśmiała. Odmawiała wychodzenia ze mną z domu, aby oszczędzić mi kontrastów i porównań. A co gorsza, z niechęcią spełniała swoje obowiązki małżeńskie. Prawdę mówiąc, oboje cierpieliśmy z powodu miłości tak skromnie małżeńskiej.

Najbardziej obrażało mnie jej poczucie winy. Czuła się odpowiedzialna za to, że nie mam takiej żony jak inni. Od pierwszej chwili zaczęła myśleć, że jej skromny codzienny wygląd nie jest w stanie oddalić obrazu pokusy, jaki nosiłem w myślach. Wobec pięknej agresorki rzuciła się do ucieczki aż do ostatnich zakątków niemego żalu. Na próżno wyczerpałem nasze niewielkie oszczędności, kupując jej, perfumy, biżuterię i stroje.

– Oszczędź mi swojej litości!

I odrzucała wszystkie prezenty. Gdy dokładałem wysiłków, by ją rozpieszczać, odpowiadała wśród łez:

– Nigdy ci nie wybaczę, że mnie nie zamieniłeś!

I zrzucała na mnie całą winę za wszystko. Traciłem cierpliwość. I wspominając tę, która wyglądała jak lampart, pragnąłem z całego serca, żeby znów pojawił się handlarz.

¹ Posąg komandora, zaproszony na wieczerzę przez Don Juana, u wszystkich trzech autorów (przyp. tłum.).

Ale pewnego dnia blondynki zaczęły rdzewieć. Wysepka, na jakiej żyliśmy, stała się ponownie oazą, otoczoną przez pustynię. Pustynię wrogą, pełną dzikich okrzyków niezadowolenia. Olśnieni pierwszym wejściem mężczyźni w rzeczywistości nie zwrócili uwagi na kobiety. Ani dobrze im się nie przyjrzeni, ani nie przyszło im do głowy wypróbować metal, z którego były wykonane. Nie były nowe, były z drugiej, trzeciej, Bóg wie z której ręki... Handlarz wykonał przy nich jedynie kilka niezbędnych reperacji i pokrył je tak cienką warstwą złota tak niskiej próby, że nie przetrwało pierwszych deszczy.

Pierwszy mężczyzna, który zauważył coś dziwnego, udał, że nic nie widzi, i drugi również. Ale trzeci, który był aptekarzem, dostrzegł pewnego dnia w zapachu swojej żony charakterystyczną emanację siarczanu miedzi. Przystąpiwszy z niepokojem do szczegółowych badań, znalazł na powierzchni damy ciemne plamy i podniósł krzyk pod niebiosa.

Bardzo rychło znamiona te ukazały się na twarzach ich wszystkich, jakby wśród kobiet pojawiła się rdzawa epidemia. Mężowie ukrywali jedni przed drugimi defekty swoich żon, dręcząc się samotnie straszliwymi podejrzeniami co do ich pochodzenia. Stopniowo prawda wyszła na jaw i każdy dowiedział się, że otrzymał kobietę podrobioną.

Nowożeniec, który dał się ponieść fali entuzjazmu, jaki wzbudziły zamiany, pogrążył się w głębokim przygnębieniu. Prześladowany wspomnieniem ciała o niezaprzeczalnej bieli, rychło zaczął przejawiać oznaki obłąd. Pewnego dnia zaczął usuwać żrącymi kwasami resztki złota, jakie pozostały na ciele jego żony, i zostawił ją w opłakanym stanie, jak prawdziwą mumię.

Zofia i ja padliśmy ofiarą zazdrości i nienawiści. Wobec tego powszechnego nastawienia uważałem za stosowne przedsięwziąć pewne środki ostrożności. Ale Zofii było trudno ukryć swą radość i postanowiła wyjść z domu w najlepszych strojach, obnosząc się swoim przepychem wśród tego całego spustoszenia. Daleka od przypisywania jakiegś zasługi mojemu postępowaniu Zofia myślała naturalnie, że zachowałem ją z tchórzostwa, ale że nie brakło mi chęci, aby ją zamienić.

Dziś wyruszyła z miasta ekspedycja oszukanych mężów, udających się na poszukiwanie handlarza. Był to doprawdy przykry widok. Mężczyźni wznosili pięści ku niebu, przysięgając zemstę. Kobiety szły w żałobie, zaniedbane i rozczochrane, jak trędowate płaczki. Jedyny, który pozostał, to sławny nowożeniec, o którego stan umysłu wszyscy się obawiają. Dając dowody maniakalnego uporu, mówi, że teraz będzie wierny, aż śmierć

rozdzieli go z jego poczerniałą żoną, tą, którą on sam zniszczył do końca za pomocą kwasu siarkowego.

Nie wiem jakie mnie czeka życie u boku Zofii, kto wie czy głupiej, czy mądrej. Chwilowo zabraknie jej wielbicieli. Teraz jesteśmy na prawdziwej wyspie, otoczonej zewsząd samotnością. Przed odejściem mężowie oświadczyli, że będą szukać nawet w piekle śladów oszusta. I rzeczywiście – mówiąc to, wyglądali wszyscy na potępieńców.

Zofia nie jest tak ciemną brunetką, jak się wydaje. W świetle lampy jej uśmiechnięta twarz wypełnia się blaskami. To tak, jakby ze snu wyłaniały się lekkie, złociste myśli pełne dumy.

Pakt z diabłem

Choć śpieszyłem się i wpadłem do kina biegiem, film już się rozpoczął. Zacząłem szukać wolnego miejsca w ciemnej sali. Usiadłem obok jakiegoś mężczyzny o dystyngowanym wyglądzie.

– Przepraszam – powiedziałem. – Czy nie mógłby mi pan powiedzieć w krótkich słowach, co się wydarzyło dotąd na ekranie?

– Bardzo proszę. Daniel Brown, którego pan tu widzi, zawarł pakt z diabłem.

– Dziękuję. A na jakich warunkach? Mógłby mi je pan przedstawić?

– Z przyjemnością. Diabeł zobowiązuje się dawać przez siedem lat bogactwa Danielowi Brownowi. Oczywiście w zamian za jego duszę.

– Tylko przez siedem lat?

– Kontrakt można przedłużyć. Właśnie przed chwilą Daniel Brown podpisał go własną krwią.

To wystarczyło, aby zrozumieć treść filmu, ale chciałem dowiedzieć się czegoś więcej. Uprzejmy nieznajomy wyglądał na rozsądnego człowieka. Podczas gdy Daniel Brown chował do kieszeni pokaźną ilość złotych monet, zapytałem:

– Pana zdaniem kto na tym stracił?

– Diabeł.

– Jak to? – spytałem zaskoczony.

– Dusza Daniela Browna, proszę mi wierzyć, niewiele była warta w momencie transakcji.

– W takim razie diabeł...

– Straci dużo na tym interesie, gdyż Daniel lubi szastać pieniędzmi, niech pan tylko popatrzy.

Rzeczywiście Brown wydawał pieniądze garściami. Jego dusza wieśniaka nie mogła nad sobą zapanować. Mój sąsiad dodał z wyrzutem:

– Poczekaj, siedem lat szybko minie.

– Wzdrygnąłem się. Daniel Brown budził moją sympatię. Nie mogłem się powstrzymać przed zadaniem pytania:

– Przepraszam, ale czy pan nigdy nie znalazł się w nędzy?

Mój sąsiad, którego profil widziałem niewyraźnie w ciemności, uśmiechnął się słabo. Odwrócił wzrok od ekranu, gdzie Daniel Brown zaczynał już odczuwać wyrzuty sumienia, i rzekł, nie patrząc na mnie:

– Nie wiem, co to takiego nędza.

– W takim razie...

– Natomiast wiem, czego można dokonać podczas siedmiu lat bogactwa.

Starałem się wyobrazić sobie, jakie mogą być owe lata, i ujrzałem Paulinę uśmiechniętą, w nowej sukni i w otoczeniu pięknych rzeczy. Obraz ten wywołał inne myśli:

– Powiedział pan, że dusza Daniela Browna nie była nic warta. Dlaczego więc diabeł tyle mu dał za nią?

– Dusza tego biednego chłopca może nabrać wartości. Wyrzuty sumienia mogą ją wzbogacić – odpowiedział filozoficznie mój sąsiad, dodając złośliwie: – Wówczas diabeł nie straci czasu.

– A jeśli Daniel pożałuje swojego czynu?

Mój rozmówca nie wyglądał na zadowolonego z litości, jaką okazałem. Chciał coś powiedzieć, ale z jego ust wydobył się tylko gardłowy dźwięk. Ja zaś ciągnąłem dalej:

– Bo przecież Daniel Brown mógłby odczuć skruchę, a wtedy...

– Nie byłby to pierwszy raz, kiedy diabłu nie układają się dobrze sprawy. Nieraz już ktoś mu się wyrwał z rąk pomimo kontraktu.

– To rzeczywiście nie bardzo uczciwe – powiedziałem bez zastanowienia.

– Co pan przez to rozumie?

– Jeżeli diabeł się wywiązuje, to tym bardziej człowiek powinien się wywiązać z umowy – wyjaśniłem.

– To znaczy... – i mój sąsiad zawiesił głos z zainteresowaniem.

– Mamy tu Daniela Browna – powiedziałem. – Uwielbia swoją żonę. Niech pan spojrzy, jaki jej kupił dom. Z miłości zaprzedał swoją duszę i powinien dotrzymać słowa.

Mojego towarzysza bardzo zmieszało to rozumowanie.

– Przepraszam – powiedział – ale przed chwilą był pan po stronie Daniela.

– I w dalszym ciągu jestem po jego stronie. Ale powinien się wywiązać.

– A czy pan by się wywiązał?

Nie mogłem odpowiedzieć. Na ekranie Daniel Brown był przygnębiony. Majątek nie mógł sprawić, by zapomniał on o prostym życiu wieśniaka. Jego dom był wielki i luksusowy, ale dziwnie smutny. Przyjęcia i klejnoty nie sprawiały przyjemności jego żonie. Wydawała się tak bardzo zmieniona!

Lata płynęły szybko, a i monety szybko wyskakiwały z rąk Daniela, jak dawniej ziarno. Ale za jego plecami zamiast zboża rósł smutek i rozżalenie.

Powiedziałem z wysiłkiem:

– Daniel powinien dotrzymać słowa. Ja również bym go dotrzymał. Nie ma nic gorszego od nędzy. Poświęcił się dla żony, cała reszta nie ma znaczenia.

– Ma pan słuszość. Pan to rozumie, ponieważ pan też ma żonę, prawda?

– Oddałbym wszystko, żeby tylko Paulinie niczego nie brakowało.

– Nawet duszę?

Rozmawialiśmy półgłosem, ale widać było, że przeszkadzamy ludziom siedzącym obok. Już kilkakrotnie zwrócili nam uwagę. Mój przyjaciel, którego rozmowa ta najwyraźniej bardzo zainteresowała, powiedział:

– Czy nie chce pan, żebyśmy wyszli do poczekalni? Film możemy obejrzeć potem.

Nie mogłem odmówić i wyszliśmy. Spojrzałem po raz ostatni na ekran: Daniel Brown wyznawał z płaczem żonie, że zawarł pakt z diabłem.

Myślałem przez cały czas o Paulinie, o beznadziejnym ubóstwie, w jakim żyliśmy, o niedostatkach, jakie ona pogodnie znosiła, przez co cierpiałem jeszcze bardziej. Zdecydowanie nie rozumiałem Daniela Browna, który płakał z pełnymi kieszeniami.

– Czy pan jest biedny?

Wyszliśmy już z sali i wchodziliśmy do wąskiego korytarza, ciemnego i pachnącego wilgocią. Gdy przeszliśmy za zniszczoną kotarę, mój towarzysz zapytał ponownie:

– Czy jest pan bardzo biedny?

– Dzisiaj bilety do kina kosztują taniej niż zwykle – odpowiedziałem – a mimo to, gdyby pan wiedział, jaką walkę musiałem z sobą stoczyć, żeby

wydać te pieniądze... Paulina uparła się, żebym poszedł; właśnie przez tę dyskusję spóźniłem się na film.

– W takim razie, na jaką opinię zasługuje u pana człowiek, który rozwiązuje swoje problemy tak jak Daniel?

– Musiałbym pomyśleć. Moje interesy idą bardzo źle. Ludziom nie zależy już na dobrych garniturach. Chodzą ubrani byle jak. Reperują swoje ubrania, czyszczą je, przerabiają raz i drugi. Nawet Paulina sama sobie z tym radzi. Łączy różne sztuki, zmienia dodatki, improwizuje nowe stroje; już od dawna nie miała nowej sukni.

– Przrzekam coś sobie u pana uszyć – powiedział mój rozmówca ze współzuciem. – Już w tym tygodniu zamówię u pana parę ubrań.

– Dziękuję. Miała rację żona nalegając, żebym dziś poszedł do kina; kiedy się o tym dowie, będzie bardzo zadowolona.

– Mógłbym zrobić dla pana coś więcej – dodał mój nowy klient. – Na przykład chciałbym zaproponować panu pewien interes, coś od pana kupić...

– Przepraszam – odpowiedziałem szybko – ale nie mamy już nic do sprzedania; ostatnią rzecz, kolczyki Pauliny...

– Niech pan się zastanowi, być może zapomniał pan o czymś...

Pomyślałem przez chwilę. Zapadła cisza, którą mój rozmówca przerwał dziwnym głosem:

– Niech się pan zastanowi. Oto mamy tu Daniela Browna. Zanim pan przyszedł, nie miał nic do sprzedania, a jednak... Nagle dostrzegłem, że rysy tego człowieka stają się bardziej wyostrome. Czerwone światło neonu ze ściany nadawało jego oczom dziwny, podobny do ognia blask. On dostrzegł moje zmieszanie i rzekł czystym i wyraźnym głosem:

– Drogi panie, teraz zbędne byłoby już się przedstawiać. Jestem całkowicie na pana rozkazy.

Zrobiłem instynktownie znak krzyża prawą ręką, ale nie wyjmując jej z kieszeni. Widocznie to odebrało temu znakowi jego moc, gdyż diabeł, poprawiając krawat, powiedział z całym spokojem:

– Mam tu w portfelu dokument, który...

Byłem zakłopotany. Ujrzałem Paulinę stojącą w progu domu, w wypłowiałej sukni, tak jak wyglądała, kiedy wychodziłem: z nachyloną, uśmiechniętą twarzą, z dłońmi ukrytymi w kieszeniach fartuszka.

Pomyślałem, że nasz los spoczywa w moich rękach. Tego wieczora zaledwie mieliśmy coś na kolację. Jutro pojawią się na stole wspaniałe potrawy. A także stroje i klejnoty i wielki, piękny dom. A dusza?

Podczas gdy byłem pogrążony w podobnych myślach, diabeł wyjął szeliszczący arkusz i w jego dłoni zabłysła igła.

„Oddałbym wszystko, byle tylko niczego ci nie brakowało”. Mówiłem tak wiele razy do żony. Wszystko. A dusza? Oto stał przede mną ktoś, kto mógł urzeczywistnić moje słowa. Ale ja nadal się zastanawiałem. Miałem wątpliwości. Czułem zawrót głowy. Nagle zdecydowałem się:

– Zgoda. Ale mam jeden warunek.

Diabeł, który już miał mi ukłuć rękę swoją igłą, wydał się zaskoczony:

– Co to za warunek?

– Chciałbym zobaczyć zakończenie filmu – powiedziałem.

– Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, co się przydarzy temu kretynowi Danielowi Brownowi? A poza tym to fikcja. Niech pan tylko podpisze, dokument jest wystawiony prawidłowo, brak tylko pana podpisu, tu, nad tą kreską.

Głos diabła był pełen obietnic, jak dźwięk złotych monet. Dodał:

– Jeśli pan sobie życzy, mogę natychmiast dać panu zaliczkę.

Wyglądał jak przebiegły kupiec. Odpowiedziałem zdecydowanie:

– Muszę zobaczyć zakończenie filmu. Potem podpiszę.

– Czy daje mi pan słowo?

– Tak.

Weszliśmy ponownie na salę. Ja niczego nie mogłem dostrzec, ale mój przewodnik znalazł z łatwością dwa fotele. Na ekranie, to znaczy w życiu Daniela Browna zaszła zadziwiająca zmiana, spowodowana nieznanymi tajemniczymi okolicznościami.

Pojawił się zniszczony i nędzny wiejski dom. Żona Browna stała przy ogniu przygotowując posiłek. Był zmierzch i Daniel powracał z pola z motyką na ramieniu. Spocony, zmęczony, w zakurzonym roboczym ubraniu, wyglądał jednak na szczęśliwego.

Opierając się na motyce, pozostał przy drzwiach. Żona podeszła do niego z uśmiechem. Oboje patrzyli na kończący się dzień, który obiecywał spokój i wypoczynek nocny. Daniel popatrzał z czułością na żonę i przebiegając potem wzrokiem schludne ubóstwo domu, zapytał:

– Czy nie żal ci naszego poprzedniego bogactwa? Czy nie brak ci tych wszystkich rzeczy, jakie mieliśmy?

Kobieta odpowiedziała powoli:

– Danielu, twoja dusza jest więcej warta niż to wszystko...

Twarz wieśniaka jaśniała, jego uśmiech rozszerzał się, zdawał się wypełniać cały dom, cały krajobraz. Z uśmiechu tego wyłoniła się muzyka

i zaczęła stopniowo rozmywać obrazy. Wówczas z ubogiego i szczęśliwego domu Daniela wydobyły się białe litery, które rosły i rosły, aż zapełniły cały ekran, oznajmiając koniec.

Nie wiedząc jak, znalazłem się nagle wśród tłumu wychodzącego z sali, potrącając wszystkich dookoła i przepychając się gwałtownie. Ktoś pochwycił mnie za ramię i starał się zatrzymać. Wyswobodziłem się energicznie i nagle znalazłem się na ulicy.

Była noc. Zacząłem iść szybko, coraz szybciej, aż w końcu pobiegłem. Nie odwracałem głowy ani nie zatrzymywałem się aż do samego domu. Wszedłem najspokojniej jak umiałem i zamknąłem dokładnie drzwi.

Paulina czekała na mnie.

Zarzucając mi ręce na szyję, powiedziała:

– Wyglądasz na wzburzonego.

– Nie, tylko...

– Czy nie podobał ci się film?

– Tak, ale...

Byłem zmieszany. Podniosłem dłonie do oczu. Paulina przyglądała mi się, a potem nie mogąc się opanować, zaczęła się śmiać, śmiać się wesoło ze mnie, a ja, osłupiały i speszony, nie wiedziałem co powiedzieć. Wśród śmiechu wykrzyknęła z czułym wyrzutem:

– Czy to możliwe, żebyś zasnął w kinie?

Te słowa uspokoiły mnie. Wskazały mi drogę. Odpowiedziałem za-wstydzony:

– To prawda, zasnąłem.

A potem dodałem:

– Miałem sen, zaraz ci go opowiem.

Kiedy skończyłem, Paulina powiedziała, że był to najlepszy film, jaki jej mogłem opowiedzieć. Wyglądała na zadowoloną i bardzo się śmiała.

Ale kiedy kładłem się spać, zobaczyłem, jak ukradkiem kreśli popiołem znak krzyża na progu naszego domu.

Juan José Arreola (1918-2001) – pisarz meksykański, jeden z twórców realizmu magicznego. Wydał zbiory opowiadań „Confabulario”, „Varia invención” i „Palindroma” oraz powieść „La feria” („Uroczystość”,

Wydawnictwo Literackie, Kraków 1972). Jest również autorem sztuki teatralnej „La hora de todos” („Godzina dla wszystkich”, tytuł ten nawiązuje do powieści Francisca de Quevedo, drukowanej w Polsce w przekładzie Kaliny Wojciechowskiej pt. „Godzina dla każdego”). Utwory Arreoli były tłumaczone na wszystkie ważniejsze języki.

Przekład i nota Andrzej Sobol-Jurczykowski



Rys. Dorota Suwalska

BIESIADY LITERACKIE

W KAŻDY OSTATNI WTOREK MIESIĄCA O GODZ. 18.30

Prowadzą:

Wacław Holewiński
Piotr Müldner-Nieckowski
Małgorzata Karolina Piekarska

Goście, z którymi rozmawiamy:

pisarze, wydawcy, redaktorzy, reżyserzy, językoznawcy
muzycy, plastycy, historycy – twórcy i krzewiciele kultury

Stały felieton:

Piotr Wojciechowski

Zawsze rekomendacje trzech ważnych książek. Trzy ważne wiersze ważnego poety

DOM LITERATURY

Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 87/89

Wejście obok schodów ruchomych przy Placu Zamkowym. Piętro I

STAJNIA LITERACKA

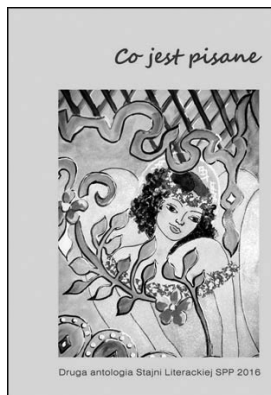
Oddział Warszawski Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w ramach **Warszawskiej Szkoły Pisania** zaprasza wszystkich poetów, prozaików, dramatopisarzy, którzy zaczynają swoją przygodę z literaturą, a przede wszystkim członków **Stajni Literackiej**, na

comiesięczne, wtorkowe spotkania warsztatowe.

Godzina 16.

Członkiem Stajni Literackiej SPP może zostać każdy, kto przyjdzie na spotkanie, zgłosi akces i poda swoje dane personalne wraz z adresem e-mail.

Opiekun Stajni: *Piotr Müldner-Nieckowski*
www.spp.warszawa.pl, stajnia@spp.warszawa.pl



Co jest pisane.
Druga antologia
Stajni Literackiej SPP.
Oddział Warszawski SPP,
Warszawa 2016
W planach: *Antologia 2018*



Baletnica paryska. Rys. Katarzyna Boruń-Jagodzińska